OCALENI Z EGZEKUCJI
Wstrząsające relacje ofiar niemieckich mordów na Woli

CUD KRZYWOUSTEGO
Jego narodziny stały się sprawą wagi państwowej

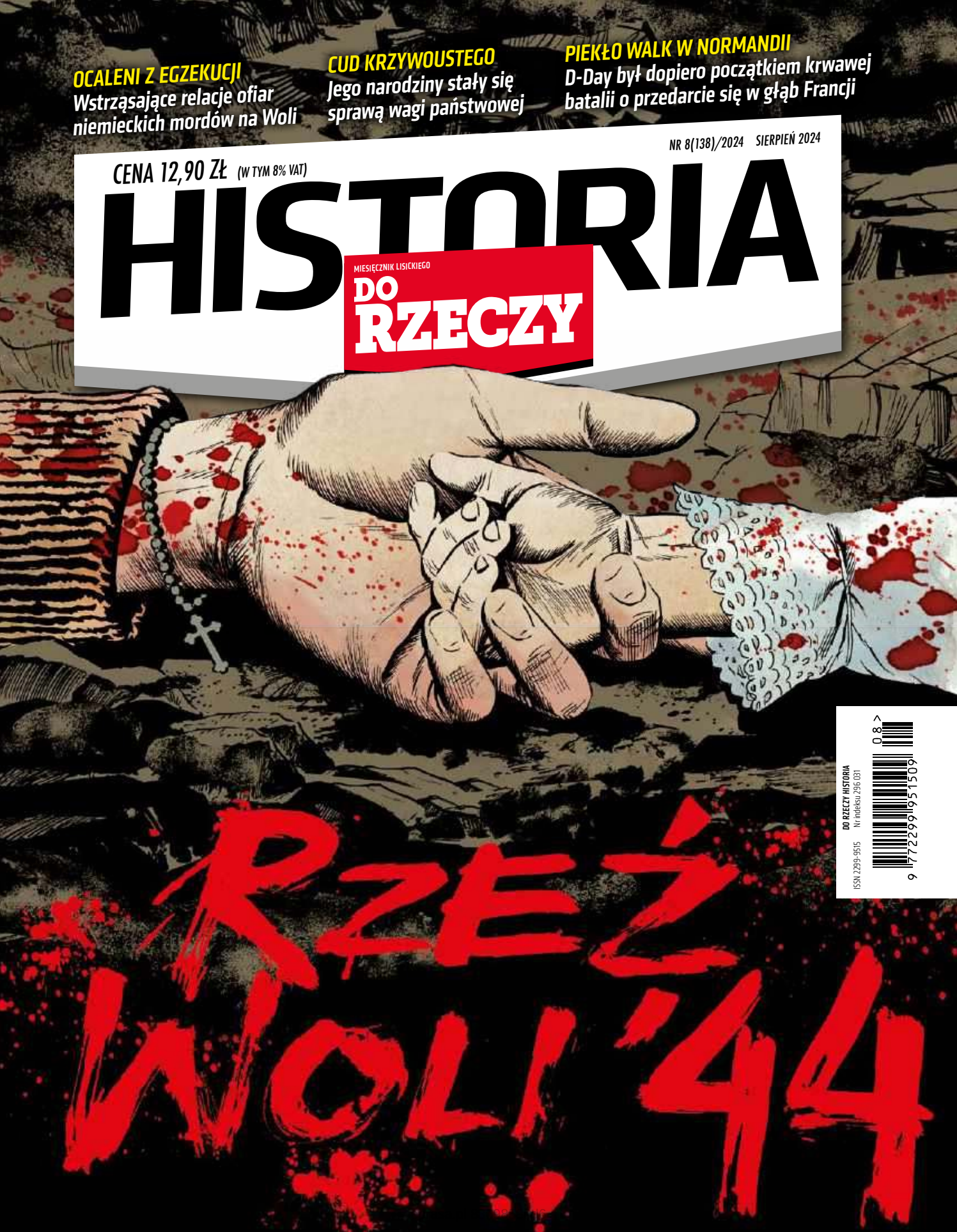
PIEKŁO WALK W NORMANDII
D-Day był dopiero początkiem krwawej batalii o przedarcie się w głąb Francji

NR 8(138)/2024 SIERPIEŃ 2024

CENA 12,90 ZŁ (W TYM 8% VAT)

HISTORIA

MIESIĘCZNIK LISICKIEGO
DO RZECZY

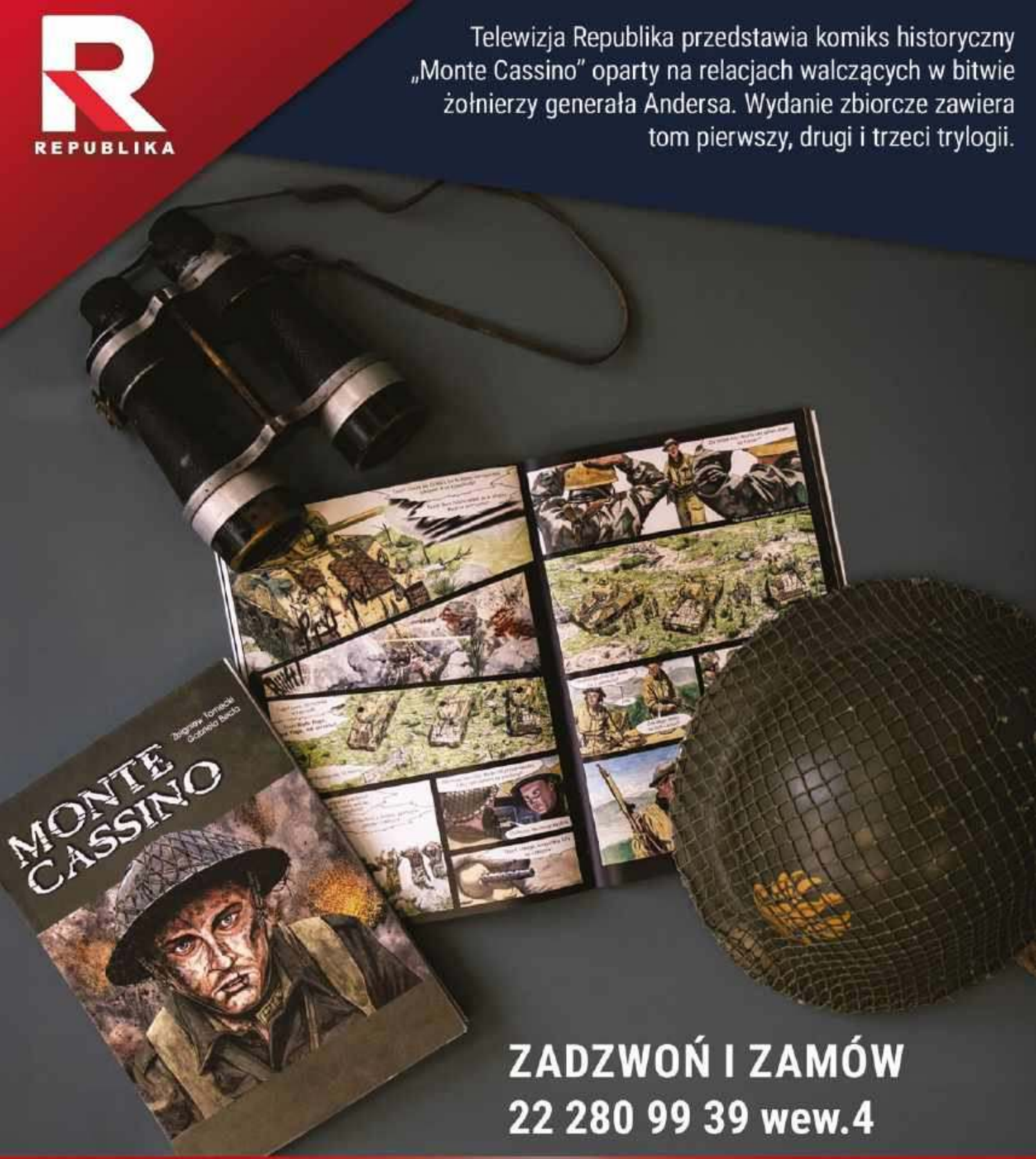


RZEŹ WOLI '44

DO RZECZY HISTORIA
ISSN 2299-9515 Nr indeksu 296 031

REPUBLIKA

Telewizja Republika przedstawia komiks historyczny „Monte Cassino" oparty na relacjach walczących w bitwie żołnierzy generała Andersa. Wydanie zbiorcze zawiera tom pierwszy, drugi i trzeci trylogii.



ZADZWOŃ I ZAMÓW
22 280 99 39 wew.4

RepublikaTV | @RepublikaTV | Telewizja Republika | @RepublikaTV

Telewizję Republika oglądać można drogą satelitarną, przez sieci kablowe oraz w lokalnych multipleksach naziemnych MUX w: Katowicach, Warszawie, Trójmieście, Wrocławiu, Częstochowie, Tomaszowie Mazowieckim, Jeleniej Górze, Legnicy, Głogowie, na Śląsku i w części woj. opolskiego i małopolskiego. Aktualna lista MUX dostępna jest na serwisie www.tvrepublika.pl – gdzie także obejrzysz TV Republika na żywo. Wszystkie programy znajdziesz na kanale YouTube: @Telewizja_Republika.

ADRES:
HISTORIA DO RZECZY
Batory Office Building II
Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa
tel.: +48 22 529 12 00, *fax:* +48 22 529 12 01
e-mail: historia@DORZECZY.PL
www.HISTORIA.DORZECZY.PL
PROWADZĄCY: ANNA SZCZEPAŃSKA

REDAKCJA MIESIĘCZNIKA **„HISTORIA DO RZECZY"** JEST INTEGRALNĄ CZĘŚCIĄ REDAKCJI TYGODNIKA „DO RZECZY".

REDAKCJA:
Redaktor naczelny: **Piotr Włoczyk**
Redaktorzy: **Tomasz Stańczyk, Anna Szczepańska**

STUDIO GRAFICZNE:
Wojciech Niedzielko (szef studia),
Marta Michałowska, Jakub Tański (skład),
Jacek Nadratowski (obróbka zdjęć)
Fotoedycja: **Edyta Bortnowska, Przemysław Traczyk**

KOREKTA: Anna Zalewska, Magda Zubrycka-Wernerowska

OKŁADKA: Krzysztof Wyrzykowski

PORTAL DORZECZY.PL
redaguje **Karol Gac**
z zespołem: **Zuzanna Dąbrowska, Małgorzata Puzyr, Anna Skalska, Anna Szczepańska, Marcin Bugaj, Damian Cygan, Jan Fiedorczuk, Grzegorz Grzymowicz, Dawid Sieńkowski, Łukasz Żygadło**

WYDAWCA:
Orle Pióro SA
Batory Office Building II,
Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa
tel.: +48 22 347 50 00, fax: +48 22 347 50 01
Wydawca tytułu, Orle Pióro, wchodzi w skład Grupy Kapitałowej PMPG Polskie Media SA, notowanej na GPW.

PMPG POLSKIE MEDIA SA

ZARZĄD PMPG POLSKIE MEDIA SA:
Katarzyna Gintrowska, Jolanta Kloc

ZARZĄD ORLE PIÓRO SA:
Katarzyna Gintrowska, Paweł Lisicki

BIURO REKLAMY:
reklama@dorzeczy.pl; tel.: 500 112 386

PUBLIC RELATIONS:
(PR manager), pr@pmpg.pl

DYSTRYBUCJA I PRODUKCJA
Adam Borzęcki
a.borzecki@pmpg.pl, +48 500 112 424

DRUK Walstead Starachowice

PRENUMERATA WYDAWNICZA
Joanna Gosek, Joanna Nowakowska
+48 508 040 664, +48 539 953 631
Od pn.-pt. w godz. 10:00-16:00
e-mail: prenumerata@pmpg.pl
https://subskrypcja.dorzeczy.pl/

PRENUMERATA KOLPORTERSKA
Kolporter sp. z o.o. (instytucjonalna)
tel.: +48 (41) 367 88 88
e-mail: prenumerata.warszawa@kolporter.com.pl
www.kolporter.com.pl
Garmond, tel.: +48 (12) 422 14 85
e-mail: prenumerataprasy@poczyta.pl
www.poczyta.pl/prenumerata#prasa
GLM sp. z o.o., tel.: +48 (22) 649 41 61
www.glm.pl
Poczta Polska
https://prenumerata.poczta-polska.pl/

Redakcja nie odpowiada za treść ogłoszeń ani nie zwraca materiałów niezamówionych. Zastrzegamy sobie prawo do skracania i adiustacji tekstów oraz zmiany ich tytułów. Na podstawie art. 25 ust. 1 pkt 1b prawa autorskiego wydawca wyraźnie zastrzega, iż dalsze rozpowszechnianie materiałów opublikowanych w miesięczniku „Historia Do Rzeczy" jest zabronione.

© ℗ Wszystkie materiały w miesięczniku chronione są prawem autorskim. Wszelkie prawa zastrzeżone. Dalsze rozpowszechnianie artykułu tylko za zgodą wydawcy. Regulamin i warunki licencjonowania materiałów prasowych na www.dorzeczy.pl/regulamin/.

Ze starych klisz / Warszawa, listopad 1934 r.

Uroczystości w rocznicę rzezi Pragi, dokonanej przez Rosjan, przy grobie gen. Jakuba Jasińskiego



FOT. NAC

Od redaktora



Piotr Włoczyk

Wola – masowy grób

Pamiętam ten widok, jakby to było dziś: wielki karabin maszynowy stał naprzeciw nas na tych swoich dwóch rozkraczonych podpórkach. Z boku zwisała taśma z błyszczącymi w słońcu nabojami. Nad karabinem spokojnie stał sobie niemiecki żołnierz, który za moment miał nas wszystkich rozstrzelać – wspominał 10 lat temu w rozmowie ze mną Wiesław Kępiński, jeden z ocalałych z rzezi Woli (zmarł w zeszłym roku w wieku 90 lat). Jedenastoletni Wiesio był świadkiem istnego piekła na ziemi. Niemcy i ich cudzoziemscy pomagierzy wyrzucali mieszkańców wolskich kamienic z piwnic i pędzili ich na rzeź. Jednych mordowano w opustoszałych halach fabrycznych, innych rozstrzeliwano na ulicach. Na początku sierpnia 1944 r. Niemcy zamienili tę warszawską dzielnicę w jeden wielki masowy grób. Tylko nielicznym, jak właśnie Wiesławowi Kępińskiemu czy Wandzie Lurie, udało się wtedy uciec śmierci. Słuchając ich relacji, trudno nie odnieść wrażenia, że niespodziewany ratunek był dziełem niebios.

Jak podkreśla w rozmowie z „HDR" prof. Stephan Lehnstaedt, niemiecki historyk, autor wydanej właśnie za Odrą książki o Powstaniu Warszawskim, „na Woli w pierwszych dniach sierpnia widać taktykę stosowaną wcześniej przez Niemców wobec mieszkańców terenów wiejskich. Po raz pierwszy zostało to wtedy wdrożone w terenie zurbanizowanym". Ludność Woli miała zostać w całości eksterminowana, tak jak wsie m.in. na Zamojszczyźnie. Ten sposób pacyfikacji oporu gwarantował Niemcom, że na danym terenie nie będą już mieli „problemów". I dlatego nawet na tle ogromu masakr dokonanych przez Niemców w trakcie Powstania Warszawskiego rzeź Woli przeraża skalą i okrucieństwem tego mordu.

W 80. rocznicę wybuchu powstania w stolicy Polski przyglądamy się relacjom ocalałych z rzezi Woli i przypominamy o makabrycznych kulisach tej niemieckiej masowej zbrodni. ©℗

eprasa.pl 88698580d6

/ TEMAT NUMERU

.6 JAKUB OSTROMĘCKI
Wola zgładzona

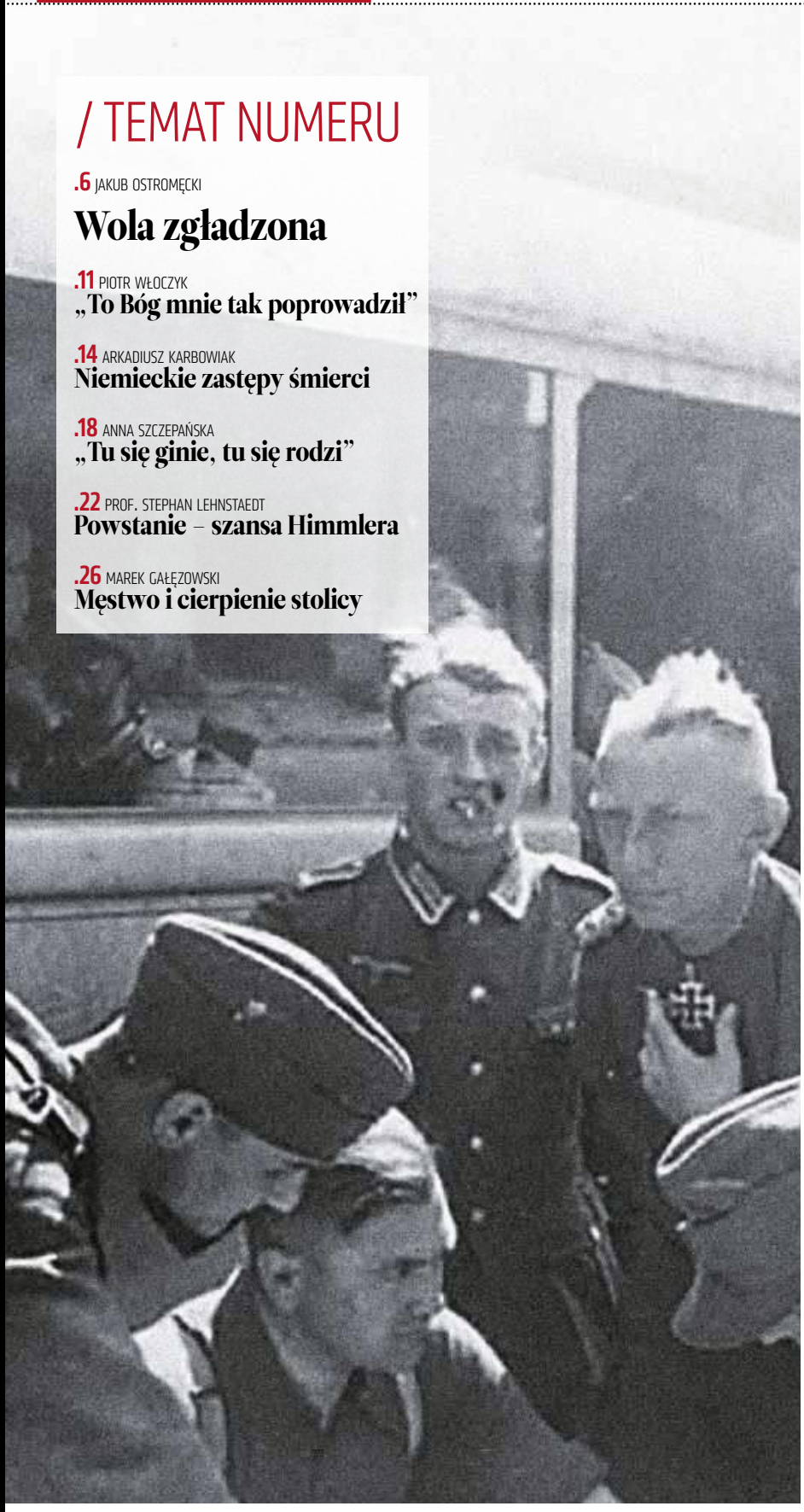
.11 PIOTR WŁOCZYK
„To Bóg mnie tak poprowadził”

.14 ARKADIUSZ KARBOWIAK
Niemieckie zastępy śmierci

.18 ANNA SZCZEPAŃSKA
„Tu się ginie, tu się rodzi”

.22 PROF. STEPHAN LEHNSTAEDT
Powstanie – szansa Himmlera

.26 MAREK GAŁĘZOWSKI
Męstwo i cierpienie stolicy



/ CZASY I LUDZIE

.30 AGNIESZKA CUBAŁA
Szczęście w rynsztoku

.36 LESZEK LUBICKI
Cudowne narodziny syna Marsa



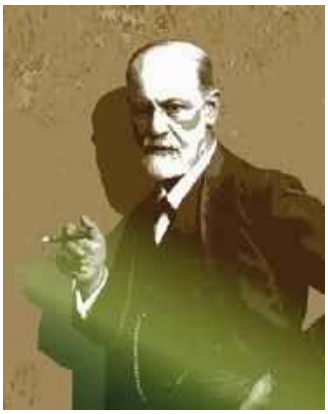
.40 MIKOŁAJ IWANOW
Stalinowskie Łużyce

.44 SŁAWOMIR KOPER
Cesarz legenda

.48 TOMASZ STAŃCZYK
Licytacja Piłsudskiego

.52 MICHAŁ MACKIEWICZ
Legionowy Mannlicher

.54 DAMIAN MARKOWSKI
Od wrogości do sojuszu



.58 ANDREW NAGORSKI
Ostatnia wojna Freuda

.61 PIOTR SEMKA
Farciarze na tronie

eprasa.pl 88698580d6

/ CO CZYTAĆ



.64 KRZYSZTOF MASŁOŃ
Wasylewskiego życie rzeczywiste

.68 RECENZJE

/ FELIETONY

.66 RAFAŁ A. ZIEMKIEWICZ
Z pradziejów ośmiu gwiazdek

.69 PIOTR SEMKA
Madziarzy pokój miłujący

/ BATALIE I WODZOWIE

.74 MARTIN MORGAN
Normandzkie piekło

/ TECHNIKA



.78 TYMOTEUSZ PAWŁOWSKI
Tiry zamiast torów

/ POD PRĄD

.81 PIOTR ZYCHOWICZ
Nigdy więcej powstań

/ KOMIKS



.82 KRZYSZTOF WYRZYKOWSKI I MACIEJ JASIŃSKI
Dramat operacji „Ostra Brama”

REKLAMA



eprasa.pl 88698580d6



Generał SS i policji Heinz Reinefarth (z Krzyżem Żelaznym) na Woli

FOT. COMMONS WIKIMEDIA, BUNDESARCHIV BILD

1944 r. / Wymordowanie dzielnicy karą za nieposłuszeństwo

Wola zgładzona



Jakub Ostromęcki

Pierwsze dni Powstania Warszawskiego to niemiecki szał zabijania na Woli. Piekło tamtych mordów przyćmiewa wszystkie inne niezliczone zbrodnie popełnione w sierpniu i we wrześniu 1944 r. na mieszkańcach stolicy Polski

Szczupły, prosto trzymający się starzec o mocnych, regularnych i zimnych rysach powtarzał w myślach zaklęcie, które już kilka razy uratowało go od więziennej celi. Cywile? Przecież tam, zza ruin, z piwnic, z okien strzelały do nas również kobiety i dzieci. Nie dało się ich odróżnić od wojska. Zresztą to nie było wojsko. W większości bez mundurów, wyposażenia, z samymi ledwo widocznymi opaskami. Bandy (musiał cały czas uważać na to słowo)... Polacy usadowili się w gęsto zamieszkanych kamienicach. Strzelali z nich do nas i my w odpowiedzi strzelaliśmy w kamienice. To sami Polacy z AK powinni zastanowić się, czy mądrze było zajmować pozycje wśród cywili. Przykro z powodu tych kobiet, starców i dzieci, którzy tam zginęły, ale walka w mieście zawsze jest okrutna.

Starzec odwrócił się od plaży i dziarsko pomaszerował do swojej willi. Pogoda nad Morzem Północnym była parszywa i wietrzna. W takich chwilach zawsze odzywały się w nim demony przeszłości, przypominał sobie ulice zalane krwią, płonące stosy ciał, masowe egzekucje kobiet i dzieci, meldunki podwładnych, których chwalił za wykonane zadanie. Starał się stłamsić wyrzuty sumienia żelazną siłą ducha, ćwiczoną od małego przez surowych belfrów, pastorów, kaprali i profesorów. Musieliśmy być wtedy okrutni. To był przykład dla innych, którzy ośmieliliby się zagrozić naszemu żywiołowi, wyższej kulturze, przeszkadzać w obronie Europy przed azjatyckimi hordami Stalina. Tych słów oczywiście

eprasa.pl 88698580d6

głośno nie mówił. Heinz Reinefarht, szanowany adwokat, burmistrz Westerland, poseł do Landtagu Szlezwika-Holsztynu, zbrodniarz, kat warszawskiej Woli, znów w myślach widział kominy miejskich elektrowni, hale fabryczne, kamienice…

Dwumetrowe stosy

Armia Krajowa na Woli poniosła porażkę już w pierwszych dniach powstania. Tajny skład broni w ogrodach Ulricha przy ul. Górczewskiej został zupełnie przez przypadek zajęty przez część dywizji „Hermann Göring". Nie udało się zdobyć obwodowej linii kolejowej, na której natychmiast pojawił się niemiecki pociąg pancerny, a także położonego na dawnym polu elekcyjnym składu paliw Naftusia i szkoły przy ul. Zawiszy. Zdobyto skład mundurów i magazyn broni w jednej ze szkół na Młynowie, ale to zdecydowanie za mało, aby utrzymać dzielnicę. I dlatego powstańcy ostatecznie okopali się na barykadach w okolicy zajezdni tramwajowej w części Woli przylegającej do Śródmieścia. Reduta ta, atakowana piechotą, czołgami, ostrzeliwana z pociągu pancernego, bombardowana, broniła się do wieczora 5 sierpnia, a do 11 sierpnia Niemcy zabezpieczyli newralgiczny korytarz prowadzący z Woli na most Kierbedzia.

Do 4 sierpnia Niemcy zachowywali się na Woli tak samo jak w przypadku innych pacyfikacji. Schwytanych powstańców rozstrzeliwali na miejscu, a dla zasiania terroru wywlekali też mężczyzn z kamienic, z których według nich prowadzono ogień, i prowadzili ich pod mur. Prewencyjnie, na oślep ostrzeliwali też kamienice przy ul. Wolskiej, tu i ówdzie wrzucając do oficyn lub piwnic granaty. Można powiedzieć, że w pewnym sensie był to okupacyjny dzień powszedni, ale jeszcze nie hekatomba. Ta nadeszła dopiero 5 sierpnia.

Ludobójczy rozkaz wymordowania wszystkich warszawiaków „za karę", za rozpoczęcie powstania, został wydany ustnie przez Himmlera, który z kolei osobiście konsultował się z Hitlerem. 5 sierpnia rano SS-Gruppenführer Heinz Reinefarth, dowodzący atakiem na



Harcerka Walentyna Krzemińska, jedna z ofiar rzezi na Woli FOT. COMMONS WIKIMEDIA

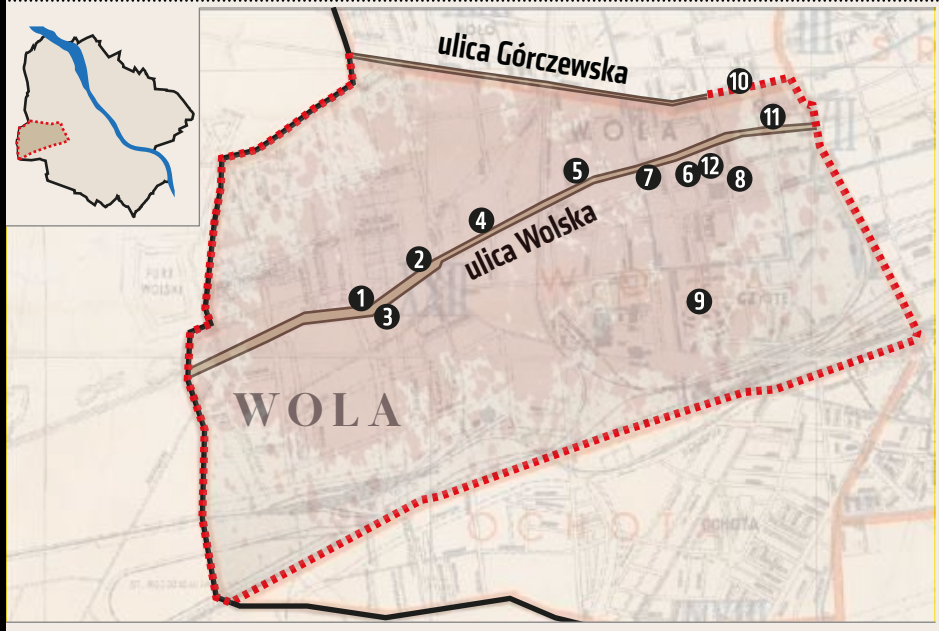
ulicach Wolskiej i Górczewskiej, wydał szczegółowe rozkazy podlegającym mu jednostkom: policjantom, żandarmom, żołnierzom batalionów Dirlewangera (a w zasadzie Herberta Meyera, bo krwawego dowódcy przestępczego pułku wtedy w Warszawie jeszcze nie było) i Azerom. W szpicy natarcia na wolskie barykady szedł batalion Meyera. Ponosił koszmarne straty. 5 sierpnia ruszył do walki, mając prawie 400 żołnierzy. Po dwóch dniach zostało ich 40. Niemcy wyładowywali swoją wściekłość na cywilach, mordując ich jak popadnie. Nie mieli jednak czasu na organizację masowych, systematycznych rozstrzeliwań – te były dziełem policjantów i żandarmów na tyłach. W autobusie ustawionym na rogu ulic Wolskiej i Syreny, niedaleko kościoła św. Wojciecha, w samym sercu wolskiego pandemonium, mieścił się punkt dowodzenia Reinefartha. Adwokat pacyfikator musiał więc widzieć wszystko. Po wojnie zaprzeczył oczywiście, że wydał rozkaz eksterminacji cywilów.

Paradoksalnie do najbardziej krwawych mordów w czasie rzezi Woli doszło nie tam, gdzie powstańcy bronili się zajadle, ale tam, gdzie ich prawie nie widziano. Do eksterminacji Niemcy przystąpili z właściwą sobie skrupulatnością i poszanowaniem dla granic administracyjnych: oszczędzili dom stojący kilka metrów przed granicą Warszawy. Mieszkańcy następnego dnia musieli już drżeć o życie. Zbrodnia przebiegała według schematu. Niemcy, rzucając obelgi, kazali wychodzić wszystkim na ulicę, stawiali pod murem domu i natychmiast rozstrzeliwali. Po południu wybrali jednak bardziej „wydajną" metodę. Ofiary koncentrowali na dużych podwórkach lub halach fabrycznych i tam zabijali je za pomocą karabinów maszynowych. Cywilów z Górczewskiej pędzili pod wiadukt i hale na Moczydle, a z Wolskiej do kościoła św. Wawrzyńca, skąd podstępem, perfidnie, pod pretekstem wezwania na roboty, wyprowadzali po kilkanaście osób i mordowali. Sprawcy dzielili się krwawą robotą. Po rozstrzelaniu całej kamienicy większość plutonu szła mordować dalej ku Śródmieściu, na



Niemcy przed fabryką Ursusa, miejscem masowych rozstrzeliwań FOT. COMMONS WIKIMEDIA

eprasa.pl 88698580d6



MASAKRY NA WOLI

granica administracyjna Warszawy
granica dzielnicy Wola
miejsca masakr

1 – kościół św. Wawrzyńca
2 – wejście do parku Sowińskiego
3 – fabryka rowerów Kamińskiego
4 – kamienica Hankiewicza
5 – kościół św. Wojciecha
6 – fabryka Franaszka
7 – fabryka Ursus
8 – zajezdnia tramwajowa
9 – Szpital Wolski
10 – Szpital Karola i Marii
11 – Szpital św. Łazarza
12 – Szpital Zakaźny św. Stanisława

RYS. MARZENA WŁOCZYK/WWW.POLONA.PL

miejscu zostawało zaś tylko kliku Niemców, dobijając rannych strzałami z pistoletu. Mało kto jest w stanie przez kilka godzin mordować bezbronne kobiety i dzieci, toteż – jak by to określił Himmler – „słabości typowe dla intelektualistów" mordercy topili w wódce.

Szczęśliwi ci, którzy nie posłuchali Niemców i zamiast wyjść na ulicę, pokrywali się w stosach węgla czy na strychach. Czekali głodni, poparzeni, ranni. Im później wyszli, tym większe szanse mieli na przeżycie, jeśli oczywiście nie spłonęli żywcem w podpalonym domu. Na podwórkach i w halach przy ulicach Wolskiej i Górczewskiej stosy trupów wznosiły się często na dwa metry. Na ulicach – jak wspominał jeden z ocalonych – „szło się po rozjeżdżonych ciałach, ślizgał się człowiek po tych ciałach". Oszczędzonym mężczyznom Niemcy kazali palić stosy ciał, stąd w czasie powojennych ekshumacji wydobywano jedynie spopielone szczątki niemożliwe do zidentyfikowania.

Wola bez ładu

Przedwojenna Wola była typową dzielnicą robotniczą, zbudowaną, jak to w Kongresówce bywało, bez ładu i składu. Przypominała Radom, łódzkie Bałuty lub Widzew. Okazałe kamienice sąsiadowały tu z obskurnymi jednopiętrowymi biedadomkami bez solidnej podmurówki, często z drewna, które już przed wojną były zaniedbane, krzywe, zapadnięte. Liczne zakłady przemysłowe stały obok sadów czy poletek pomidorów. Sporo było tu szpitali – ale i dziś jest to charakterystyczna cecha dzielnicy. W domach gnieździło się po kilka osób w jednym pokoju. W ludzkim mrowiu przeważali klasa robotnicza, handlarze, kierowcy, technicy, gospodynie domowe. Lud Woli był mało mobilny, za to każdy miał gdzieś w okolicy bliższego lub dalszego krewnego.

Po drugiej wojnie światowej włodarze Warszawy wykroili kawał Śródmieścia i przyłączyli go do Woli – dzięki temu dziś dzielnica może się pochwalić całkiem pokaźną liczbą drapaczy chmur i jednymi z wyższych dochodów w Warszawie. Przed wojną Wola był jednak mniejsza, bardziej wysunięta ku zachodowi. Granica ze Śródmieściem biegła ulicami Okopową i Towarową, natomiast na zachodzie Wola – i tym samym Warszawa – kończyła się w okolicach cmentarza Wolskiego. Przez środek dzielnicy, z północy na południe, tak samo jak dziś, biegła kolejowa linia obwodowa. W sierpniu 1944 r. był to bardzo ważny cel zarówno dla Niemców, jak i dla powstańców. Największy ruch ku centrum Warszawy biegł ul. Wolską. W Śródmieściu ulica ta przechodziła w Chłodną, Elektoralną, Senatorską i przez pl. Teatralny łączyła się z mostem Kierbedzia. W sierpniu 1944 r. była to kluczowa arteria o znaczeniu strategicznym.

Na Woli były rejony, gdzie przez cały okres powstania nie było egzekucji, natomiast ulice Wolska i Górczewska co kilkaset metrów usiane były miejscami kaźni, każde o innej charakterystyce, przeznaczeniu, wyglądzie. Trzeba je wymienić. Niedaleko granicy miasta, na Wolskiej, znajdował się późnobarokowy, istniejący do dziś kościół św. Wawrzyńca, leżący przy cmentarzu prawosławnym. Kilkadziesiąt metrów dalej na wschód znajduje się wejście do założonego kilka lat przed wojną parku Sowińskiego. Była to przedwojenna chluba dzielnicy, mająca zmienić jej smutne oblicze. W 1944 r. stała się przedsionkiem piekieł.

Po drugiej, południowej stronie ulicy stała fabryka rowerów Kamińskiego – w PRL na jej terenie zbudowano zakłady Skala produkujące przyrządy kreślarskie, a dziś znajduje się tu Wyższa Szkoła Rehabilitacji. Dalej, ku Śródmieściu, po tej samej stronie ulicy wznosiła się okazała, górująca nad pobliskimi domkami kamienica Hankiewicza.

Równolegle do Wolskiej biegnie Górczewska. Tak samo jak Wolska przebiega ona pod wiaduktem kolei obwodowej. W miejscu, gdzie ulica się obniża, oraz w pobliskich warsztatach kolejowych mordowano ludzi całymi tysiącami. Dziś przy wiadukcie stoją metalowa tablica pamiątkowa i krzyż, a w pobliżu dawnych hal kolejowych znajduje się wielki, zadbany kompleks odkrytych basenów, gdzie w słoneczne dni wypoczywają tysiące warszawiaków.

Na Wolskiej, już na wschód od wiaduktu, pnie się w górę niegdyś najokazalsza budowla dzielnicy, neogotycki ceglany kościół św. Wojciecha. Dalej, bliżej Śródmieścia, znajdowały się dwie fabryki – papiernicza Franaszka i mechaniczna Ursus (będąca zresztą filią słynnego zakładu znajdującego się pod Warszawą, gdzie produkowano ciągniki i tankietki). Tych fabryk już nie ma – za PRL istniały tu zakłady fotochemiczne Foton, a teraz

eprasa.pl 88698580d6

wznoszą się apartamentowce. Z fabryką Franaszka od wschodu sąsiadowała istniejąca do dziś zajezdnia tramwajowa. To z niej powstańcy wyprowadzili tramwaje, robiąc z nich najmocniejszą w tej części Warszawy barykadę.

W kwartale Płocka-Górczewska-Karolkowa-Wolska znajdowały się aż cztery szpitale: najbardziej na zachód, przy ul. Płockiej, okazały i, jak na tamte czasy, nowoczesny Szpital Wolski, przy granicy ze Śródmieściem szpitale Karola i Marii oraz św. Łazarza, a przy ul. Wolskiej Szpital Zakaźny św. Stanisława.



Jedno z miejsc niemieckich zbrodni. Dzień Zaduszny 1945 r. FOT. COMMONS WIKIMEDIA

Głosy z piekieł

Dokładny przebieg rzezi znamy z relacji świadków, którzy przeżyli własną egzekucję. Ich wspomnienia cytowane w tym artykule pochodzą z książki Piotra Gursztyna pt. „Rzeź Woli. Zbrodnia nierozliczona" oraz z bazy świadectw pod zbiorczym tytułem „Zapisy Terroru II. Warszawa. Zbrodnie niemieckie na Woli w sierpniu 1944 r." wydanej przez Ośrodek Badań nad Totalitaryzmami im. Witolda Pileckiego. Jedną z takich ocalałych była 11-letnia Marysia Cyrańska, którą kule Niemców raniły w lewe ramię, policzek i skroń. „Mnie na plecach stanął żołnierz niemiecki, przez co później mnie bardzo plecy bolały i miałam nawet startą skórę od gwoździ, którymi buty były nabite". Po kilku godzinach wygrzebała się ze stosu trupów i uciekła do rodzinnej kamienicy przy ul. Elekcyjnej. Doczekała tam dni, gdy Niemcy zamiast mordować kobiety, zaczęli przepędzać je Wolską do obozu w Pruszkowie.

Na ulicach Wolskiej i Górczewskiej szalał terror, a kilkaset metrów na północ i południe od tych arterii żyli ludzie kompletnie nieświadomi rozgrywającej się tragedii, nieniepokojeni przez Niemców. Wiesław Kępiński, mający wówczas 11 lat, uciekł wprost spod ognia kaemu w okolicach parku Sowińskiego. Ranny przedostał się na północ od cmentarza: „Jest domek jednorodzinny murowany, studnia czerpana, jakieś dwie panie chodzą po ogródku… Tam egzekucja, a tutaj cisza, nic się nie dzieje, zupełnie inny świat". Kępiński w następnym domostwie znalazł swoją matkę chrzestną, ale nie ufając za bardzo szczęściu, przeniósł się do ciotki pod Warszawę, gdzie doczekał końca wojny. Podobną historię przeżył student medycyny Jan Napiórkowski, który uciekł mordercom z podwórka, na którym piętrzył się już stos trupów, nieopodal wiaduktu nad Górczewską. Gursztyn tak relacjonuje chwile jego ucieczki: „Chłopak biegł co sił, zrzucając z siebie biały fartuch. Wpadł na sąsiednie osiedle domków jednorodzinnych […]. Przebiegł pół kilometra. Ukrył się w grzędach pomidorów. Potem, gdy odpoczął, wychylił się i zobaczył ludzi – okolicznych mieszkańców. Patrzyli na niego jak na wariata, gdy podbiegał do nich i powiedział, co wydarzyło się na Woli". Nie każdy uciekinier miał szanse trafić pod dobrą opiekę. Dziewięcioletnia Ala, której Niemcy wymordowali całą rodzinę w okolicy fabryki Kamińskiego, przeżyła egzekucję ukryta pod stosem ciał i doczekała ewakuacji. Trafiła na wieś do kompletnie pozbawionego empatii chłopa, który pomiatał nią jak parobkiem.

Najstraszniejszy był los dzieci. Niemcy i Azerowie perfidnie mordowali je na oczach matek. Wacława Szlacheta, mieszkająca w dalszej części Woli, w pobliżu domu Hankiewicza wspominała: „Widziałam, jak żołnierz niemiecki podszedł do wózka, w którym leżały kilkumiesięczne bliźnięta mej sąsiadki Jakubczyk, i zastrzelił je". Wacława Gałka widziała, jak mordują jej sześcioletniego syna: „Chłopczyk, również nietrafiony, zaczął płakać ze zmęczenia, narzekając, że mu zdrętwiały kolana. Płacz dziecka, choć cichutki, usłyszał żandarm. Podszedł i strzelił – krew dziecka zbryzgała matkę". Gałka zeznawała: „Ściekła na mnie i zapewne dlatego uważano mnie za zmarłą". Jan Grabowski z Wolskiej 123 relacjonował: „Po mnie żandarm trzy razy przeszedł butami, sam ranny nie byłem, ale żona i dzieci zostały zamordowane. Słyszałem, jak żandarm mówił, by zabić mego 5-miesięcznego synka, który płakał, po czym posłyszałem strzał, i dziecko ucichło". Hanna Maciejewska widziała, jak przy Górczewskiej „Niemiec chwycił niemowlę i rozbił je »o róg wejścia klatki schodowej«". W pobliżu kościoła św. Wojciecha Jadwiga Łukasik i jej matka widziały, jak „uciekał mężczyzna, trzymając na rękach malutką, może dwuletnią dziewczynkę. Miała blond loki. Za nim biegł Niemiec, krzyczał: »halt«, dobiegł, wyrwał dziecko i wrzucił je do płonącego domu. Mężczyzna z desperacji rzucił się na Niemca. Chwilę się mocowali, ale Niemiec miał broń i zastrzelił nieszczęśnika, ładując w niego cały magazynek".

Wbite butelki

Mordom towarzyszyły gwałty. Danuta Wiśniewska, pacjentka oszczędzonego Szpitala Zakaźnego, „zobaczyła scenę, gdy »kałmuk« [zapewne Azer – przyp. red.] wyrwał z tłumu młodą dziewczynę. Oderwał ją od matki i zgwałcił. Potem zamknął ją w szoferce porzuconego samochodu i podpalił. Dziewczyna zginęła w strasznej męczarni". Janina Rozińska, która ukrywała się w pobliskiej zajezdni tramwajowej, wspominała: „Wyglądając od czasu do czasu, widziałam, iż na chodniku ul. Młynarskiej […] SS-mani gwałcili młode kobiety i dziewczynki lat ok. 12, następnie je dobijając". Inna relacja ocalałego z rzezi ukazuje jeszcze większy rozmiar zwyrodnienia: „Jak spodnie podciągnął, butelkę trzymał, dziewczynka leżała – nogi rozłożone – doszedł, przechylił się, butelkę w krocze jej

eprasa.pl 88698580d6

wsunął i nogą popchnął. Wtedy widzieliśmy z daleka, że ziemia się zakrwawiła". Ofiary gwałtów z butelkami wbitymi w genitalia widziano i w innych częściach dzielnicy.

Niemcy nie oszczędzili też szpitali. W Świętym Łazarzu oraz w Karolu i Marii Niemcy mordowali pacjentów, lekarzy i pielęgniarki w salach chorych i pokojach operacyjnych. W Szpitalu Wolskim na miejscu wymordowali tylko część chorych i personelu. Dyrektor dr Józef Piasecki, dr Janusz Zeyland i kapelan szpitalny ks. Kazimierz Ciecierski zostali zabici strzałami w głowę w gabinecie dyrektora. Resztę pacjentów, często świeżo po operacji, półnagich, popędzili w kierunku wiaduktu nad Górczewską i hal na Moczydle. Sceny pędzenia chorych przypominały piekielne kaźnie znane z obrazów Boscha. Gursztyn opisuje oprawców, którym nie starczała przemoc, a którzy chcieli ludzi jeszcze upokorzyć: „Jeden z pacjentów, ze sterczącą ręką umieszczoną w szynie odwodzącej, musiał wyjść całkowicie nagi. Chwilę wcześniej pielęgniarka zmieniła mu opatrunki i nie zdążyła go ubrać. Mężczyzna szedł, nie dość, że nagi, to jeszcze obryzgany krwią z odsłoniętych ran […]. »Co się dzieje, co za ohyda, nadzy ludzie biegają po ulicy! – ryczał niemiecki podoficer«". Większe szczęście miał Szpital Zakaźny św. Stanisława. Egzekucje domniemanych powstańców wstrzymała tu interwencja znających doskonale niemiecki lekarzy Pawła Kubicy i Joanny Kryńskiej. Wkrótce kwaterę urządził sobie tutaj sam Oskar Dirlewanger, co uchroniło szpital od rzezi.

W masie zwyrodnialców spotkać można było też takich, którzy okazywali ludzkie uczucia. Na samym początku rzezi, przy ul. Sowińskiego, ochrona kolei, żyjąca w pewnej symbiozie z niektórymi mieszkańcami, uratowała rodzinę Janowskich przed egzekucją. Dwaj żandarmi w jednym patrolu mogli zachować się zupełnie inaczej – tego doświadczyła 11-letnia wspomniana wyżej Marysia Cyrańska, gdy natknęła się na Azerów lub rosyjskojęzycznych policjantów. Jeden chciał ją zabić, ale inny posłuszny nowym rozkazom, które pozwalały oszczędzać kobiety, kazał ją pędzić poza Warszawę.

Aniela Osiadacz z Wolskiej 105 wspominała: „W tym czasie, gdy rozstrzeliwano z karabinu maszynowego mężczyzn, mój mały dwuletni synek podszedł do jednego z pilnujących nas Mongołów [zapewne Azerów – przyp. red.] i pocałował go w rękę, a starszy, 10-letni syn prosił, aby nas uratował od śmierci. Mongoł pozwolił nam odejść, ale zbił mnie w okropny sposób kolbą karabinu, tak że krew rzuciła mi się ustami. Opuszczając podwórko, widziałam stos mężczyzn leżących – tam też został zabity mój mąż – i rozpoczętą egzekucję kobiet".

Ta sama opisana wyżej para kobiet, która widziała Niemca wrzucającego dziewczynkę w płomienie, uratowała się dzięki innemu Niemcowi. „Matka Jadwigi Łukasik znała niemiecki, uprosiła jednego z Niemców – który zresztą trochę mówił po polsku – aby wypuścił ją, dziecko i kilka znajomych osób […]. Powiedział im, kiedy mogą wyjść – musiała to być godzina 14, gdy zmieniała się warta – i którą stroną ulicy powinny uciekać, aby nie paść ofiarą ostrzału. Dodał, że będzie strzelał, ale żeby nie zatrzymywały się, bo on będzie tylko udawał, że celuje do nich".

„Wybawiciel" von dem Bach

Późnym popołudniem 5 sierpnia na Woli pojawił się Erich von dem Bach – dowódca wszystkich sił niemieckich tłumiących powstanie, nie tylko tych na Woli. Oficer wstrzymał egzekucje kobiet i dzieci – nie z dobroci z serca, ale z czystego pragmatyzmu. Okrucieństwo wzmagało opór Polaków, a kilkuset policjantów i żandarmów przydałoby się bardziej w walce niż na tyłach. Mordy zelżały, ale wszystko zależało od tego, kiedy posłaniec na motorze dowiezie pisemny rozkaz von dem Bacha do egzekutorów. Cześć pododdziałów otrzymała go dopiero późnym wieczorem, choć teren Wolskiej i Górczewskiej nie był przecież nie do przebycia. Anielę Przybylską Niemcy odnaleźli w jednej z kamienic przy Wolskiej 151 dopiero 24 sierpnia. Chcieli ją zabić na miejscu, ale kobieta wybłagała darowanie życia. Dwa tygodnie wcześniej nie mogłaby na to liczyć.

„500 tys. rąk do pracy to wygrana bitwa" – miał powiedzieć Hitler. Od 12 sierpnia zatem również mężczyźni, jeśli tylko nie byli uznani za „wyglądających na powstańców", byli zdrowi i nie stawiali oporu, mogli liczyć na ocalenie życia – oczywiście równało się to wywózkom na roboty przymusowe. Mordy zdarzały się oczywiście i później. W okolicach cmentarza prawosławnego Niemiec zastrzelił dziewięcioletniego chłopca, który ukrywał się przez kilka dni w zrujnowanej kamienicy, ponieważ nie spodobało mu się, że dygocze ze strachu. Strzelano do ociągających się z wymarszem do obozu w Pruszkowie, do kalek czy desperatów, którzy oddalili się od kolumny, chcąc napić się ze studni. Ci, którzy przetrwali wyczerpujący marsz i nie trafili np. do pracy przymusowej w sudeckich sztolniach, mieli jednak szanse na przeżycie.

Rzeź Woli nazywamy ludobójstwem. Z etycznego punktu widzenia jest to zrozumiałe. Prawnie sytuacja jest jednak skomplikowana. William Schabas, jeden z czołowych ekspertów prawa międzynarodowego i rozliczania zbrodni ludobójstwa, twierdzi, że łatwiej byłoby wykazać, że była to zbrodnia wojenna lub zbrodnia przeciwko ludzkości. Argumentuje to tym, że Polacy mieszkający dosłownie kilka metrów za granicą Warszawy uniknęli śmierci czy nawet wypędzeń, a żyli pod tą samą okupacją, co wymordowani mieszkańcy Woli stanowiący pewien ułamek całego narodu polskiego.

Pięćdziesiąt tysięcy czy – jak chcą inni badacze – 15 tys. pomordowanych mieszkańców Woli. Szacunki są tu mocno rozbieżne. Ludobójstwo czy zbrodnia przeciwko ludzkości – rzeź Woli jest w istocie zbrodnią nierozliczoną. Ani von dem Bach, ani Reinefarth nie ponieśli odpowiedzialności za swoje czyny. Von dem Bach został wprawdzie skazany w RFN, ale nie za rzeź Woli, lecz za udział w nazistowskich morderstwach politycznych jeszcze sprzed wojny. Uparcie twierdził, że „uratował" warszawskich cywilów. Zachodnioniemiecki sąd nie był też w stanie wskazać, która konkretnie jednostka popełniała mordy na Woli. Reinefarth całą winę zwalał na „Azjatów", „Rosjan" i Dirlewangera. Ten ostatni nic jednak na ten temat nie mógł już powiedzieć, bo w 1945 r. zatłukli go na śmierć polscy strażnicy we francuskiej strefie okupacyjnej.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 88698580d6



Wanda Lurie była w ciąży podczas egzekucji. Syn Mścisław to jedyne jej ocalałe dziecko, wówczas w jej łonie FOT. ARCHIWUM RODZINNE



Wiesław Kępiński FOT. K. SKŁODOWSKI/FORUM

5 sierpnia 1944 r. / Uratowani z egzekucji

„To Bóg mnie tak poprowadził”



Piotr Włoczyk

Ona została wraz ze swoimi dziećmi zapędzona przez Niemców na egzekucję, którą cudem przeżyła. On miał zginąć rozstrzelany ze swoimi rodzicami i bratem. Cudownie ocaleni z zagłady Woli do końca życia dawali świadectwo o cierpieniach polskich ofiar

Jej nazwisko przywołał Krzysztof Kąkolewski w rozmowie z emerytowanym generałem SS Heinzem Reinefarthem, katem Woli. „Pani Lurie była w ciąży. Pańscy podkomendni zapędzili ją w grupie kilku tysięcy na podwórze fabryki na Woli wraz z trojgiem małych dzieci. Trzymając się za ręce, podeszli do ściany. Dzieci zginęły od salwy, ona, ranna, wygrzebała się w nocy spod stosu trupów. Potem urodziła dziecko, które przeżyło w jej łonie śmierć rodzeństwa” – powiedział Kąkolewski.

„5 i 6 sierpnia 1944 roku zdarzyły się różne rzeczy, o których ja nie wiedziałem […]. Przestępstwa wojenne zostały dokonane, to jest ustalone, ale ja to wiem z przewodu sądowego. Byli to ludzie Dirlewangera i Kamińskiego, którzy myśleli, że nadeszła godzina zemsty” – odpowiedział nazistowski zbrodniarz, który w latach 1951–1967 był burmistrzem uzdrowiska Westerland leżącego na wyspie Sylt na Morzu Północnym. Rozmowa z Reinefarthem to fragment wstrząsającej książki „Co u pana Słychać?” Kąkolewskiego, w której zebrał on swoje wywiady z niemieckimi zbrodniarzami (książka ukazała się w 1975 r.).

Historia Wandy Lurie musiała się pojawiać w rozmowie z katem Woli. Kobieta przeżyła własną śmierć w trakcie rzezi Woli, była świadkiem mordu na trojgu swoich dzieci i zagłady setek innych osób. Nie bez przyczyny Lurie nazywana była „polską Niobe” (i taki podpis znalazł się też na jej nagrobku).

Błyszczące naboje

Rodzina państwa Lurie mieszkała w czasie okupacji w Kolonii Wawelberga na Woli. W dniu wybuchu powstania kobieta zeszła z dziećmi do piwnicy swojej kamienicy. Wanda Lurie (ur. 1911 r.) była w ciąży, do rozwiązania brakowało kilka tygodni. W piwnicy przebywała do 5 sierpnia wraz ze swoimi dziećmi: 11-letnim Wiesławem, 5-letnią Ludmiłą i 3,5-rocznym Lechem.

„Tego dnia o godzinie 12.00–13.00 wkroczyli na podwórko żandarmi niemieccy oraz Ukraińcy, wzywając

eprasa.pl 88698580d6



Mieszkańcy Woli, którzy uniknęli masakry. Kościół św. Stanisława Biskupa przy ul. Wolskiej

FOT. COMMONS WIKIMEDIA, BUNDESACHIV BILD

ludność do natychmiastowego opuszczenia domu. Kiedy mieszkańcy piwnic od strony podwórza wyszli, żandarmi wrzucili do piwnic granaty zapalające. Zapanował popłoch i pośpiech – wspominała Lurie w grudniu 1945 r., zeznając przed Okręgową Komisją Badania Zbrodni Niemieckich (cyt. za „Zapisy terroru" Instytutu Pileckiego). – Nie mając przy sobie męża, który nie powrócił z miasta, ociągałam się z opuszczeniem domu, miałam nadzieję, że pozwolą mi zostać. Musiałam jednak opuścić dom. Wraz z dziećmi i z rodziną Gulów wyszłam na Działdowską. Domy na ulicy już płonęły. Usiłowałam przejść początkowo w stronę Górczewskiej, ale na Działdowskiej stało dużo Ukraińców i żandarmów, którzy nie pozwolili mi przejść w tym kierunku, a kazali mi udać się na ulicę Wolską".

Niemcy pognali następnie kobietę, wraz z dziećmi, na teren fabryki Ursus mieszczącej się przy ul. Wolskiej 55. Według jej szacunków na placu przy fabryce zgromadzonych było ok. 500 cywilów.

Przy tej samej ulicy, ale kilkadziesiąt numerów dalej, swój dramat przeżywał 11-letni Wiesław Kępiński.

– Pamiętam ten widok, jakby to było dziś: wielki karabin maszynowy stał naprzeciw nas na tych swoich dwóch rozkraczonych podpórkach. Z boku zwisała taśma z błyszczącymi w słońcu nabojami. Nad karabinem spokojnie stał sobie niemiecki żołnierz, który za moment miał nas wszystkich rozstrzelać – wspominał w rozmowie ze mną wydarzenia z 5 sierpnia 1944 r. Wiesław Kępiński.

Rodzina państwa Kępińskich tuż po wybuchu Powstania Warszawskiego schroniła się w podziemiach cerkwi stojącej naprzeciw ich kamienicy przy ul. Wolskiej 147. W prawosławnej świątyni ukryli się mieszkańcy pobliskich domów. Oprócz 11-letniego Wiesława byli tam też jego ojciec, matka, młodszy brat, a także starszy brat, który w cerkwi schronił się ze swoją ciężarną żoną i jej młodszą siostrą.

5 sierpnia ok. południa ludzi ukrywających się w cerkwi przeraził łomot karabinowych kolb uderzających w piwniczne okienka. Niemcy wyprowadzili wszystkich z cerkwi i popędzili ich w kierunku pobliskiego rowu ciągnącego się wzdłuż ul. Wolskiej. – Na początku naszej grupy szedł mój ojciec. Ja szedłem na końcu wraz z matką, która niosła na rękach mojego malutkiego braciszka Sylwusia. Mama cały czas powtarzała jak w amoku: „Zabiją nas, zabiją". Ja z kolei pociągałem lekko za rękaw niemieckiego żołnierza, który prowadził nas na śmierć. Starałem się w ten sposób zwrócić na siebie jego uwagę. Pamiętam, że mówiłem do niego, żeby nas nie zabijał – wspominał Wiesław Kępiński. – Ale akurat to, że szedłem na samym końcu, okazało się dla mnie ratunkiem.

Wanda Lurie zeznawała, że do fabryki Niemcy wpychali po sto osób. W pewnym momencie jedno z dzieci zobaczyło w środku przez uchyloną bramę zwłoki rodziców i brata, w związku z czym zaczęło w szale krzyczeć, wołając matkę i ojca. „Niemcy i Ukraińcy bili go i odpychali, gdy usiłował wedrzeć się do środka. Nie mieliśmy wątpliwości, że na terenie fabryki zabijają. Nie wiedzieliśmy, czy wszystkich. Ja trzymałam się z tyłu, stale się wycofując, w nadziei, że kobiety w ciąży przecież nie zabiją – opowiadała „polska Niobe". – Na podwórku fabryki zobaczyłam zwały trupów do wysokości jednego metra. Trupy leżały w kilku miejscach, po całej lewej i prawej stronie pierwszego podwórza. Wśród ciał rozpoznałam zabitych sąsiadów i znajomych. Środkiem podwórza wprowadzono nas w głąb, do wąskiego przejścia na drugie podwórze. Tu Ukraińcy i żandarmi ustawili nas czwórkami. Mężczyźni szli z rękoma podniesionymi w górę. W grupie prowadzonej było ok. 20 osób, w tym dużo dzieci lat 10–12, często bez rodziców. Trupy leżały na prawo i na lewo, w różnych pozycjach. Naszą grupę skierowano w kierunku przejścia między budynkami. Leżały tam już trupy. Gdy pierwsza czwórka dochodziła do miejsca, gdzie leżały trupy, strzelali Niemcy i Ukraińcy w kark od tyłu. Zabici padali, podchodziła następna czwórka, by tak samo zginąć. Przy ustawianiu ludzie krzyczeli, błagali lub modlili się.

Wiesław Kępiński w rozmowie ze mną ze szczegółami opisał swoją egzekucję, która – być może – odbywała się równolegle z dramatem Wandy Lurie. Jak wspominał, uratowało go to, że szedł na końcu grupy przeznaczonej do egzekucji. „Wał ziemi, przy którym nas ustawiono, był niższy właśnie przy końcu, a poza tym nie było w tym miejscu krzaków. Gdy staliśmy już ustawieni w szeregu, w pewnym momencie po prostu odwróciłem się i po dwóch–trzech krokach byłem już na szczycie wału. Wtedy jeden z Niemców strzelił – opowiadał Kępiński. – I bardzo dobrze, że strzelił, bo to mnie uratowało. Upadłem i sturlałem się na drugą stronę tego wału.

Chłopak zginął – tak musieli pomyśleć Niemcy. Tymczasem kula ugodziła Wiesława Kępińskiego centymetr od kręgosłupa, ale szczęśliwie przeleciała na wylot, nie uszkadzając żadnego ważnego organu. – Straciłem przytomność na pewien czas. Być może były to sekundy, a być może minuty. W każdym razie nie słyszałem odgłosów egzekucji. Niemcy byli pewni, że udało im się mnie zabić, ale mały Wiesio wstał i uciekł – uśmiechał się Wiesław Kępiński.

Trzy dni pod trupami

Wanda Lurie była prowadzona na śmierć w ostatniej czwórce. Już prawie udało jej się ubłagać Ukraińca, za łapówkę w postaci trzech złotych pierścion-

eprasa.pl 88698580d6

ków, by wyprowadził ją wraz z dziećmi. Zauważył to jednak Niemiec nadzorujący egzekucję i nie dopuścił do ucieczki.

„Zaczęłam go błagać o życie dzieci i moje, mówiłam coś o honorze oficera. Odepchnął mnie jednak tak, że się przewróciłam. Uderzył też i pchnął mojego starszego synka, wołając: »Prędzej, prędzej, ty polski bandyto«. W międzyczasie wprowadzono nową partię Polaków. Podeszłam więc w ostatniej czwórce razem z trojgiem dzieci do miejsca egzekucji i trzymając prawą ręką dwie rączki młodszych dzieci, lewą rączkę starszego synka. Dzieci szły, płacząc i modląc się. Starszy, widząc zabitych, wołał, że i nas zabiją – zeznawała kobieta. – W pewnym momencie Ukrainiec stojący za nami strzelił najstarszemu synkowi w tył głowy, następne strzały ugodziły młodsze dzieci i mnie. Przewróciłam się na prawy bok. Strzał oddany do mnie nie był śmiertelny. Kula trafiła w kark z lewej strony i przeszła przez dolną część czaszki, wychodząc przez prawy policzek. Dostałam krwotoku ciążowego. Wraz z kulą wyplułam kilka zębów. Czułam odrętwienie lewej części głowy i ciała. Byłam jednak przytomna i, leżąc wśród trupów, widziałam prawie wszystko, co się działo dookoła".

A działy się tam piekielne sceny. Niemcy wprowadzali nowe ofiary, rozstrzeliwali je, a ciała padały na Wandę Lurie. Egzekucje trwały cały dzień. Dopiero wieczorem skończył się ten szał zabijania. Postrzelona kobieta musiała jednak cały czas udawać trupa, ponieważ Niemcy krążyli jak sępy nad ciałami, przeszukiwali ubrania zamordowanych, zdejmowali z palców pierścionki, zrywali łańcuszki.

„Mnie samej zdjęto z ręki zegarek, nie zauważyli przy tym, że jeszcze żyję. W czasie tych okropnych czynności pili wódkę, śpiewali wesołe piosenki, śmiali się. Obok mnie leżał jakiś tęgi, wysoki mężczyzna w skórzanej kurtce, który długo rzęził. Niemcy oddali pięć strzałów, zanim skonał. Te strzały raniły mi nogę. Leżałam tak przez długi czas w kałuży krwi, przyciśnięta trupami. Myślałam tylko o śmierci, jak długo będę się jeszcze męczyć" – opisywała Wanda Lurie.

Kobieta leżała tak – co może być symboliczne – trzy dni. Dopiero trzeciego dnia, gdy w miejscu kaźni zapanowała przeraźliwa cisza, kobieta wyszła z tego fabrycznego „grobowca". Jak wspominała, siłę dało jej kopnięcie jej dziecka – dzięki temu wiedziała, że ma jeszcze dla kogo żyć. Wanda Lurie trafiła następnie w grupie cywili do kościoła św. Stanisława, który stanowił dla nich schronienie. Ranna kilka dni leżała przy ołtarzu. Następnie została przewieziona, wraz z innymi rannymi z kościoła, do obozu przejściowego w Pruszkowie. 20 sierpnia urodziła syna Mścisława.

„Obecnie nie czuję się zdrowa – zeznawała w grudniu 1945 r. – Jakkolwiek muszę pracować, by wychować dziecko po strasznych przeżyciach".

Szpila w ranie

Ranny Wiesław Kępiński ukrył się w grobowcu na terenie cmentarza prawosławnego. Jak wspominał, nie był w stanie siedzieć tam zbyt długo, ponieważ przerażały go trumny. Po wyjściu z grobowca znów uśmiechnęło się do niego szczęście – mieszkająca obok cmentarza kobieta opatrzyła jego rany. Następnie trafił pod opiekę swojej matki chrzestnej, która mieszkała w pobliżu ul. Wolskiej. – Bardzo długo goiła mi się ta rana. To było bardzo unerwione miejsce. Podczas powstania każdą większą eksplozję czułem w środku, jak by mi ktoś szpilę wkładał w tę ranę – mówi Wiesław Kępiński. – Po wielu latach zacząłem analizować tę sytuację. Dlaczego akurat ja szedłem na końcu grupy ludzi prowadzonych na egzekucję? Inaczej pewnie nie udałoby mi się uciec. Jestem przekonany, że to Bóg mnie tak poprowadził. Nie tylko zresztą podczas tej egzekucji, ale także później, gdy wskazywał mi, gdzie mam się ukryć, żeby przetrwać.



Cerkiew na Woli. W jej pobliżu miał zginąć Wiesław Kępiński FOT. COMMONS WIKIMEDIA, ADAM GRYCUK

Powstanie przeżyli też starszy brat Wiesława – Stanisław, który trafił na roboty do Niemiec, oraz ich siostra Henia, która jesienią 1944 r. zabrała młodszego, rannego brata do wsi pod Skierniewicami, gdzie spędzili kilka następnych miesięcy.

– Wracając wiosną 1945 r. do Warszawy, cały czas się modliłem, żeby udało mi się odnaleźć resztę rodziny. Łudziłem się, że być może oni również zdołali jakoś przeżyć egzekucję. Szukałem na parkanach jakiejś kartki z wiadomością od rodziców. Niczego takiego nie znalazłem, ale na miejscu straceń w rowie obok cerkwi zauważyłem leżącą na ziemi podziurawioną kulami książeczkę ubezpieczeniową rodziców. Mój tata miał ją przy sobie w chwili śmierci. Musiał ją trzymać w okolicy piersi. Wtedy przestałem się łudzić. Ta książeczka czekała tam na mnie tyle czasu... To było najgorsze uczucie – dotarło do mnie, że jestem sam na tym świecie – mówił Wiesław Kępiński.

Po wojnie kolejny razy uśmiechnęło się do chłopca szczęście – sierotę przygarnęli pod swój dach Anna i Jarosław Iwaszkiewiczowie. – Napisałem kiedyś „Balladę o pewnej rodzinie", w której opisuję, jak to moi rodzice zakochali się w sobie – ona Stasia, a on Stanisław. Potem pojawiła się bieda, ciągle się kłócili, aż w końcu przyszła egzekucja – opowiadał Wiesław Kępiński. – Szli na śmierć i nawet nie mieli czasu, żeby wybaczyć sobie wszystko to, co było między nimi nie tak. Następuje salwa i tak się kończy „Ballada o pewnej rodzinie"...

Wiesław Kępiński zmarł w zeszłym roku, dożywając 90 lat. Wanda Lurie odeszła do wieczności w 1989 r. Po rzezi swojej dzielnicy zrobiła listę sąsiadów i znajomych, którzy zostali zamordowani. Po wojnie jako pierwsza upamiętniła pomordowanych w fabryce Ursus, robiąc prowizoryczny nekrolog. W 2018 r. zmarł dr Mścisław Lurie, którego kopnięcie zmobilizowało ranną matkę do walki o życie. Syn „polskiej Niobe" dbał o pamięć o swojej matce i do końca życia dawał świadectwo o cierpieniu polskich ofiar rzezi Woli.

„Nie wiem, ile Pan Bóg ma dla mnie jeszcze lat – mówił rok przed śmiercią w rozmowie z „Gościem Niedzielnym". – Ale wierzę, że skoro zechciał ocalić życie mojej mamy i moje, to miał w tym cel".

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 88698580d6



Iwan Frołow (w środku), dowódca pułku RONA, ze swoim sztabem

FOT. COMMONS WIKIMEDIA, BUNDESARCHIV BILD

1944 r. / Zbrodnie wojenne podczas Powstania Warszawskiego

Niemieckie zastępy śmierci



Arkadiusz Karbowiak

Warszawiaków mordowały głównie siły SS i policji, a nie Wehrmacht. W szeregach oddziałów niszczących stolicę Polski i zabijających jej mieszkańców nie brakowało też cudzoziemców ze wschodu

Wybuch Powstania Warszawskiego zmusił Niemców do przerzucenia do polskiej stolicy jednostek wojskowych i policyjnych, których zadaniem miało być szybkie stłumienie zrywu. Już 3 sierpnia 1944 r. SS-Reichsführer Heinrich Himmler powołał SS-Gruppenführera Heinza Reinefartha na stanowisko dowódcy mających ruszyć do Warszawy oddziałów pacyfikacyjnych. Reinefarth pełnił wówczas funkcję wyższego dowódcy SS i policji w Warthegau (Kraj Warty). Nie do końca wiadomo, co zadecydowało o tej nominacji, gdyż nie posiadał on żadnego doświadczenia w kierowaniu walkami w mieście. Rano 4 sierpnia 1944 r. Reinefarth stanął przed dowódcą 9. Armii gen. Nicolausem von Vormannem w jego pruszkowskiej kwaterze. Jednocześnie do Warszawy zaczęło docierać 16 kompanii wojska i policji – 45 oficerów oraz 2695 żołnierzy i policjantów. W ich składzie znajdowały się dwa wywodzące się z Schutzpolizei późniejsze niesławne „mord-bataliony" nazwane od nazwisk dowódców Batalionem Policyjnym Burkhardt (ppłk Max Burkhardt) i Batalionem Policyjnym Peterburs (mjr Friedrich Peterburs, zastąpiony został po kilku dniach na skutek załamania nerwowego po dokonanych przez oddział mordach przez mjr. Gerharda Sarnowa). Bataliony wsparte były przez kilka kompanii Gendarmerie Einsatzkommando Walter.

Jednostki policyjne

To właśnie głównie jednostki Orpo (policji) złożone z Niemców, Austriaków i volksdeutschów w tzw. czarną sobotę 5 sierpnia rozpoczęły masową rzeź mieszkańców Woli. Masakr dokonywano w dużych obiektach, m.in. w znajdujących się przy ul. Wolskiej 55 budynkach przedwojennej Fabryki Silników i Armatur, Państwowych Zakładów Inżynierii oraz Zakładów Mechanicznych „Ursus", a także na terenie zajezdni tramwajowej przy ul. Wolskiej 2. To właśnie tam dopełnił się tragiczny los olbrzymiej liczby polskich mężczyzn, kobiet i dzieci. Ofiarami egzekucji padali także cywile napotkani przez atakujące pozycje powstańcze oddziały szturmowe. Nie jest jasne, jakie rozkazy otrzymały jednostki niemieckie podczas porannej narady, która odbyła

eprasa.pl 88698580d6

się 5 sierpnia w sztabie Kampfgruppe Reinefarth. Biorąc pod uwagę późniejsze zachowanie żołnierzy niemieckich, można sądzić, że co najmniej nakazano im postępować wobec wszystkich napotkanych Polaków – czy to powstańców, czy cywilów – w sposób bezwzględny, co w praktyce oznaczało, że wszystkich bez różnicy mordowano. Rozkazy te zmienione zostały na nieco bardziej „liberalne" (oszczędzające kobiety i dzieci) przez przybyłego 5 sierpnia do Warszawy SS-Obergruppenführera Ericha von dem Bacha, wyznaczonego na dowódcę sił zwalczających powstanie.

Reinefarth podzielił swoje siły na Grupy Uderzeniowe „Południe", „Środek" i „Północ". Główną jednostką szturmową Grupy Uderzeniowej „Środek" był SS-Sonderregiment (pułk) Dirlewanger. Rano 5 sierpnia liczący 365 żołnierzy I batalion pułku został przerzucony z Bemowa i zajął pozycje wyjściowe do natarcia. Rozpoczęło się ono od toru kolejowego na Woli i przebiegało m.in. ul. Wolską. Atakujących wspierały lotnictwo oraz broń ciężka. Zasadniczym celem dirlewangerowców było dotarcie do mostu Kierbedzia, co miało pozwolić Niemcom na opanowanie jednej z głównych arterii komunikacyjnych przebiegających przez Warszawę. Podczas przebijania się przez miasto dirlewangerowcy, zgodnie z wytycznymi nakazującymi działać bez pardonu, dokonywali w wielu miejscach egzekucji na jeńcach oraz cywilach. W ten sposób esesmani, wkraczając do Miejskiego Szpitala Zakaźnego św. Stanisława, zamordowali 12 osób. Jego odważnemu dyrektorowi, dr. Pawłowi Kubicy, udało się na szczęście przekonać SS-Obersturmführera Heinza Hartlieba, lekarza przydzielonego do pułku Dirlewangera, do powstrzymania egzekucji.

Niemcy nie mieli podobnych skrupułów wobec 23 mieszkańców (w tym czworga dzieci) ul. Grabowskiej, których zamordowali. Kolejnym miejscem zbrodni był Szpital Wolski. Esesmani zamordowali tam dyrektora dr. Józefa Piaseckiego, prof. Janusza Zeylanda i księdza kapelana Kazimierza Ciecierskiego. Około 360 osób ewakuowanych ze szpitala rozstrzelali prawdopodobnie policjanci lub żandarmi. Podobnie dramatycznie zakończyło się życie wielu pacjentów ze szpitala św. Łazarza, choć w tym wypadku możliwe, że egzekutorami byli azerscy legioniści. Tymczasem trzydniowe walki toczone pomiędzy 5 a 7 sierpnia (od tego dnia z udziałem II batalionu SS-Sonderregiment Dirlewanger dowodzonego przez SS-Sturmbannführera Josefa Steinhauera) zakończyły się przedarciem się esesmanów do Ogrodu Saskiego i Pałacu Brühla, gdzie przebywali odcięci przez powstańców komendant wojskowy Warszawy gen. Reiner Stahel i gubernator dystryktu warszawskiego Ludwig Fischer. Ceną za ten sukces były olbrzymie straty. Siły I batalionu skurczyły się do 41 ludzi (w celu uzupełnienia strat w dniach 9–10 sierpnia przybyło 450 żołnierzy z więzienia Anklam). Szacuje się, że w trakcie akcji eksterminacyjnej na Woli od kul plutonów egzekucyjnych zabitych zostało ok. 15 tys. warszawiaków (taką liczbę ustalił na bazie wieloletnich badań znany regionalista i badacz wojennej historii Woli Marek Strok; wyższe szacunki wydają się błędne). W mordach tych mieli swój udział, choć nie aż tak znaczący jak policjanci, żołnierze pułku specjalnego SS Dirlewangera. Wykazywane przez nich wówczas okrucieństwo nie było jednostkowym przypadkiem, lecz mieściło się w schemacie działalności dirlewangerowców.



Bronisław Kamiński, dowódca brygady SS RONA

FOT. COMMONS WIKIMEDIA, BUNDESARCHIW BILD

Kryminaliści w szeregach

Pułk specjalny SS był oddziałem karnym, w którym służyli (w celu zrehabilitowania się) żołnierze skazani za różnego rodzaju wykroczenia i przestępstwa. Geneza powstania Wilddiebkommando „Oranienburg" (inna nazwa jednostki Dirlewangera) sięga roku 1940, kiedy to do jednostki trafia 55 kłusowników zwolnionych z dalszego odbywania kary. W ten sposób realizowane były marzenia Himmlera, który chciał stworzyć w ramach Waffen-SS oddział strzelców wyborowych. Na jego czele został postawiony SS-Obersturmführer Oskar Dirlewanger, weteran pierwszej wojny światowej, freikorpsów, a także walczącego w Hiszpanii Legionu Condor. W 1934 r. za kontakty seksualne z 13-letnią członkinią BDM (kobieca organizacja młodzieżowa) sąd skazał go na karę dwóch lat pozbawienia wolności. Ponadto został wydalony z NSDAP, SA, pozbawiony tytułu doktora, a także możliwości posługiwania się stopniem porucznika rezerwy.

W 1940 r. sąd w Stuttgarcie unieważnił wyrok sądu rejonowego i Dirlewanger, uznany za niewinnego, rozpoczął starania o przyjęcie do Waffen-SS, które wsparł jego uplasowany wysoko w hierarchii SS przyjaciel, SS-Obergruppenführer Gottlob Berger, pełniący funkcję szefa Głównego Urzędu SS. W efekcie 1 lipca 1940 r. Dirlewanger rozpoczął służbę w Waffen-SS, a zaledwie po dwóch miesiącach awansowano go na stopień SS-Hauptsturmführera. Równocześnie jednostka otrzymuje nazwę SS-Sonderkommando Dirlewanger. 94 proc. jej członków stanowią kłusownicy, 1 proc. żołnierze z zarzutami dyscyplinarnymi, a 5 proc. personel Waffen-SS bez zarzutów. Te proporcje w nadchodzących latach będą ulegać zmianom – zwiększać się będzie liczba żołnierzy z zarzutami dyscyplinarnymi i zwykłych więźniów z obozów koncentracyjnych (jesienią 1944 r. do pułku/brygady trafią nawet komuniści z KPD), a zmniejszać się będzie liczba kłusowników. We wrześniu 1940 r. jednostkę przemieszczono na terytorium Generalnego Gubernatorstwa. Podwładnych Dirlewangera skierowano do służby wartowniczej w obozie pracy dla Żydów w Starym Dzikowie. Pobyt na terytorium GG trwający do początku 1942 r. zakończył się przerzuceniem jednostki na ziemie białoruskie.

Podczas służby na Białorusi batalion zasłynął z niesłychanego okrucieństwa wobec cywilów uznawanych zbiorowo za pomocników partyzantów. W trakcie prawie 50 akcji antypartyzanckich esesmani Dirlewangera zabili ok. 13 tys. osób zamieszkujących

eprasa.pl 88698580d6



Instytut Radowy, jedno z miejsc niemieckich zbrodni na Ochocie FOT. NAC

179 spalonych wsi. Najbardziej znaną jest wieś Chatyń, w której dirlewangerowcy wraz z ukraińskimi policjantami ze 118. batalionu Schuma zamordowali 149 mieszkańców.

Krzyż Rycerski za rzeź

Niezależnie od tych zbrodni oddział Dirlewangera notował sukcesy w walce partyzantami. Od 1942 r. zaczął się rozrastać i wówczas zmienił się radykalnie skład etniczny batalionu, przez co stracił on charakter czysto niemiecki. Zainteresowanie naborem „wschodnich" ochotników wynikało z konieczności uzupełniania strat, które jednostka Dirlewangera ponosiła. Wśród pierwszych przybyłych cudzoziemców znajdowało się 11 podoficerów i 49 funkcjonariuszy ze szkolnego ukraińskiego batalionu Schuma, którzy utworzyli ukraiński pluton. Wkrótce dołączyli do nich Rosjanie, tworząc trzy osobne kompanie oraz jedną mieszaną niemiecko-rosyjską baterię artylerii. Cudzoziemskie kompanie, a w zasadzie to, co z nich zostało po walkach frontowych toczonych w pierwszej połowie 1944 r., nie wzięły udziału w walkach w Warszawie. SS-Sonderregiment Dirlewanger, będąc główną siłą uderzeniową Grupy Korpuśnej von dem Bacha, utracił podczas walk w polskiej stolicy ok. 2715 żołnierzy (zabitych rannych i zaginionych), co oznaczało starty na poziomie... 314 proc. Dirlewanger za pacyfikowanie powstania (w Warszawie pojawił się dopiero 8 sierpnia) otrzymał awans na SS-Oberführera i Krzyż Rycerski. Nie zdołał jednak uciec przed karą. Zmarł 7 czerwca 1945r. w areszcie w Altshausen po trzech dniach intensywnego bicia przez polskich wartowników służących w armii francuskiej.

Podczas powstania w siłach Grupy Uderzeniowej Środek, poza Pułkiem Specjalnym SS Dirlewanger, znajdowały się uczestniczące w zbrodniach na polskich cywilach jednostki azerskie przedstawiane często jako ukraińskie. Były to głównie II batalion Sonderverband „Bergman" dowodzony przez mjr. Huberta Mertelsmanna, liczący 228 żołnierzy, oraz I/111 Azerbejdżański Batalion Polowy kpt. Wernera Scharrenberga. W drugiej połowie sierpnia dołączyły do nich dwa bataliony 1. Wschodniomuzułmańskiego Pułku SS, w którym obok Turkmenów, Kazachów, Kirgizów i Uzbeków służyli także Azerowie. Wchodzącą w skład pierwszego z tych batalionów 7. kompanię, której dwa plutony zostały zdziesiątkowane na wolskich cmentarzach przez żołnierzy AK, przydzielono do Grupy Uderzeniowej Północ mjr. Maxa Recka, mającego pod swą komendą 292-osobowy batalion z V szkoły Podchorążych Piechoty w Poznaniu oraz 116-osobową kompanię z SS-Junkerschulle Treskau. Przy jego grupie działało Einsatzkommando Grupy Uderzeniowej Reck. Była to jednostka dokonująca selekcji i egzekucji na zapleczu, podległa Einsatzkommando z Grupy Bojowej Reinefarth. Oprócz nich egzekucji dokonywało Sonderkommando 7a kierowane przez SS-Sturmbannführera Gerarda Basta.

Stosunkowo liczne były jednostki kozackie, choć rzadko prowadziły one działania na pierwszej linii walk, zazwyczaj znajdując się w oddziałach blokujących dostępu do Warszawy. W walkach na Starym Mieście i Czerniakowie brał udział 572. Batalion Kozaków Dońskich dowodzony przez płk. Zinowiewa. Poza nim w stolicy stacjonowały 580. Dywizjon Kawalerii, 209. kozacki batalion Schuma, kozacki IV batalion 57. Pułku Bezpieczeństwa, 69. Oddział Kozacki i 3. kubański pułk kozaków. Funkcje typowo defensywne, aczkolwiek nie zawsze, wypełniał przedstawiany jako ukraiński 13. białoruski batalion Schuma der Sipo, który stacjonował w niemieckiej dzielnicy policyjnej.

Zbrodnie Kamińskiego

Największym cudzoziemskim oddziałem tłumiącym powstanie był 1700-osobowy zbiorczy pułk należący do Szturmowej Brygady SS RONA Waffen-Brigadeführera Bronisława Kamińskiego – Rosjanina, w którego żyłach płynęło sporo polskiej krwi. Kamiński zintensyfikował współpracę z Niemcami, inicjując założenie autonomicznego (względem niemieckiej administracji okupacyjnej) tworu, czyli tzw. Republiki Łokockiej (dawne obwody orłowski oraz kurski), gdzie mieszkało co najmniej 600 tys. ludzi.

Bezpośrednimi zwierzchnikiem Kamińskiego w dziele kolaboracji był gen. Rudolf Schmidt dowodzący 2. Armią Pancerną. Zaakceptował on powstanie rosyjskich struktur policyjno-administracyjnych. Nie ulega wątpliwości, że współpraca była owocna dla obu stron. Rosjanie poprzez ustanowienie sprawnie działającego quasi-państewka dostarczali Niemcom żądane kontyngenty oraz zapewniali spokój na tyłach, angażując do zwalczania bolszewickiej partyzantki tzw. Milicję

eprasa.pl 88698580d6



Ludową – Volksheer – przemianowaną potem na RONA (Rosyjską Ludową Armię Wyzwoleńczą). Losy wojny na wschodzie tak się potoczyły, że „kamińcy", jak nazywano ronowców, po wycofaniu się z rodzinami i współpracownikami z Łokockiej Republiki przez Witebszczyznę, Nowogródczyznę i Białostocczyznę, trafili do leżącego w Rzeszy Raciborza.

31 lipca 1944 r. Kamiński spotkał się z Himmlerem. Dzień później wybuchło w Warszawie powstanie, Kamiński na polecenie Himmlera wydzielił z brygady do walk w mieście specjalny pułk wsparty bronią pancerną, który 3 sierpnia pojawił się na Okęciu. Następnego dnia w godzinach przedpołudniowych wziął udział w pierwszym natarciu na Ochocie. Pułkiem złożonym zasadniczo z Rosjan (służyli w nim pojedynczy Białorusini i Ukraińcy) dowodził Waffen-Sturmbannführer Iwan Frołow. Ronowcy, choć wspierani przez niszczyciele czołgów Hetzer, nie mogli pochwalić się szczególnymi osiągnięciami. Brakowało im motywacji do walki z AK, a „zachęta" w postaci pozwolenia na masową grabież raczej rozpraszała uwagę podkomendnych Frołowa, niż ich mobilizowała. Faktyczne efekty działań rosyjskich esesmanów wypadały nader słabo. Ronowcy nie tylko skupiali się na grabieżach, lecz także zajmowali się piciem alkoholu i gwałtami. Traktowanie kobiet jako trofeum doświadczyło wiele warszawianek przebywających w utworzonym na Ochocie obozie przejściowym – tzw. Zieleniaku. Wiele z nich nie tylko zgwałcono, lecz także zamordowano.

Jednak wbrew wojennym i powojennym niemieckim narracjom prezentującym rosyjskich esesmanów jako głównych oprawców polskich cywilów zbrodnie ronowców (np. w Instytucie Radowym przy ul. Wawelskiej 15 czy na Kolonii Staszica), noszące nierzadko charakter kryminalny, są – jeśli chodzi o ich skalę – nieporównywalne z metodycznymi mordami niemieckich formacji policyjnych. Brak większych sukcesów Rosjan w walce z powstańcami widoczny był również po przeniesieniu pułku do Śródmieścia i umieszczeniu go od 17 sierpnia w składzie Kampfgruppe Rohr. Jej dowódca, gen. Günther Rohr, otwarcie dawał znać, że czuje wobec „kamińców" odrazę, a wzrosła ona zapewne jeszcze bardziej po zgwałceniu trzech członkiń BDM. Ostatecznie gen. Rohr sprawił, że pod koniec sierpnia żołnierze RONA przeniesieni zostali do Puszczy Kampinoskiej, gdzie walczyli z partyzantami ze Zgrupowania „Kampinos". Trudno oszacować wielkość strat, które ronowcy ponieśli w Warszawie. Dowódca pułku oceniał je na 15 proc., ale prowadzący dziennik szeregowiec Iwan Waszenko określił je na 500 zabitych i rannych do 17 sierpnia (ok. jednej trzeciej stanu osobowego).

Ostatecznie Niemcy z nieznanych powodów zlikwidowali Kamińskiego (kulisy i szczegóły jego śmierci są tajemnicze), a powstała z żołnierzy RONA rosyjska 29. Dywizja Grenadierów SS została rozwiązana – jej żołnierze trafili do 1. Dywizji Sił Zbrojnych KONR-ROA. Oddziały ROA, popularnie nazywane własowcami, tworzone od grudnia 1944 r., nie brały udziału w powstaniu, choć to uczestnictwo jest im nagminnie przypisywane.



Aktor Mariusz Maszyński, jedna z ofiar zbrodni na Ochocie

FOT. COMMONS WIKIMEDIA

Ukraińcy w powstaniu

Podobnie wygląda sprawa wszędzie widzianych rzekomo przez warszawiaków Ukraińców, którzy mieli mordować Polaków. W rzeczywistości stanowili oni jedynie niewielki procent sił antypowstańczych. Ukraińcy służyli zasadniczo w dwóch jednostkach. Pierwszą był 219-osobowy kontyngent wywodzący się z 31. Batalionu Schuma der Sipo (formacja nazywana Wołyńskim Legionem Samoobrony, utworzona pod koniec 1943 r. na bazie wołyńskich kadr konspiracyjnych OUN-M). Dowodził nim płk Petro Diaczenko, były oficer kontraktowy WP, były szef sztabu Siczy Polskiej, współpracownik Abwehry nadzorujący kontakty z polską konspiracją antysowiecką, oficer Sonderstabu R. Ukraińscy legioniści brali udział w walkach na Powiślu w pierwszych dwóch, może trzech tygodniach września (zginęło ich 10, a 34 odniosło rany). Drugą nieco liczniejszą jednostką był przebywający w Warszawie od 10 września 1944 r. 34. Policyjny Pułk Strzelecki. W jego dwóch batalionach służyło 533 Ukraińców. Mniejsze grupy Ukraińców, poza diasporą mieszkającą w Warszawie, znajdowały się wśród załogi więzienia na Pawiaku, oddziałach Werkschutzu oraz w grupie tłumaczy KG Reinefarth, którą stanowili podchorążowie ze Szkoły Podoficerskiej SS w Owińskach (SS-Junkerschule Treskau).

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

BIBLIOGRAFIA:

Kowtun, Żukow, ***„29. Dywizja Grenadierów SS »Kamiński«";*** *Kuberski H.,* ***„Walki SS-Sonderregiment Dirlewanger o Wolę a egzekucje zbiorowe ludności cywilnej",*** *„Dzieje Najnowsze" 2021; Kuberski H.,* ***„Wschodnioeuropejscy ochotnicy cudzoziemscy w niemieckich oddziałach Ostheer, SS i policji pacyfikujących Powstanie Warszawskie. Casus »własowców«, Kałmuków i SS Galizien...",*** *„Dzieje Najnowsze" 2015; Kuklińska S.,* ***„Oskar Dirlewanger";*** *Majewski M.,* ***„Przyczynek do dziejów Ukraińskiego Legionu Samoobrony",*** *„PiS" 2005, nr 4/2 (8).*

eprasa.pl 88698580d6



Rodzina opuszczająca Warszawę podczas zawieszenia broni we wrześniu 1944 r.

FOT. DOMENA PUBLICZNA

Wśród gruzów / Codzienność powstańczej Warszawy

„Tu się ginie, tu się rodzi”



Anna Szczepańska

W trakcie koszmaru powstania w Warszawie toczyło się także normalne życie. Ludzie musieli coś jeść, szukali rozrywki, zakochiwali się, rodziły się dzieci. Jak wyglądała codzienność warszawiaków? Czy w sytuacji, kiedy w każdej chwili można było zginąć, dało się zwyczajnie funkcjonować?

W czasie Powstania Warszawskiego aprowizacja była jedną z największych bolączek zarówno żołnierzy, jak i ludności cywilnej. Już we wcześniejszych latach wiele skwerów zamieniono na poletka, a na trawnikach uprawiano warzywa. Te miejsca okazały się bezcenne po wybuchu powstania, kiedy Warszawa została odcięta od zapasów z zewnątrz. Niektórzy żywność gromadzili na własną rękę, kiedy dowiedzieli się, że w każdej chwili może dojść do zrywu. Przywództwo Armii Krajowej zbierało zapasy, przemycając je głównie z pobliskich wiosek. Były to przede wszystkim długoterminowe produkty, tj. ziemniaki, kapusta, cukier, mąka, kawa, smalec i alkohol. Jeżeli tylko było to możliwe, to z owoców i warzyw robiono przetwory, które przechowywano w ukryciu w piwnicach licznych warszawskich kamienic. Choć było to niezwykle ryzykowne, to czasami spoza miasta udawało się przywieźć także świeże mięso lub jajka. Ponadto korzystano z zapasów zgromadzonych przez Radę Główną Opiekuńczą oraz klasztory.

Początek powstania wprawił powstańców w euforię. Część mieszkańców również przywitała z radością rozpoczęcie walk. Idących na front żołnierzy z biało-czerwonymi opaskami na rękach witano w wielu miejscach entuzjastycznie. Bywało, że na ich widok wyciągano poukrywane wcześniej zapasy, w tym coraz rzadziej spotykane rarytasy: droższy alkohol, słodycze. Sanitariuszka Alina Kliszowska ps. Ala Sowa wspominała po latach, jak krótko po rozpoczęciu powstania ugościła ją zupełnie obca kobieta: „Wprowadziła mnie na któreś piętro, to było chyba na Złotej czy w okolicach, usmażyła jajecznicę. W pierwszych dniach jeszcze prąd był, to wszystko było. Potem już nie było i prądu, i wody”. Łączniczka Janina Dutkiewicz wspominała natomiast: „Na początku, w pierwszych dniach Powstania, nas częstowali alkoholem, wywieszali flagi i w ogóle

eprasa.pl 88698580d6

[nastawienie ludności – przyp. red.] było bardzo przyjazne".

Uzbrojone w chochle

Choć na początku sierpnia wydawało się, że jedzenia jest dużo, to szybko okazało się, że zgromadzone zapasy nie wystarczą na długo. Ludzie zmuszeni byli coraz bardziej ryzykować, aby zdobyć pożywienie. W końcu z ulic zaczęły znikać bezpańskie koty i psy; prawdziwym rarytasem była konina. Brakowało warzyw i owoców, a więc produktów, które były bogate w witaminy. Tym samym, kiedy udało się zdobyć na Niemcach zapasy przecieru pomidorowego, powstańcy mogli świętować. Żartowano, że teraz mogą jeść zupę pomidorową z makaronem lub dla odmiany makaron z sosem pomidorowym.

Sytuację aprowizacyjną w mieście nadzorowali (a przynajmniej starali się to robić) okręgowy delegat rządu RP na Warszawę Marceli Porowski „Sowa" oraz komisarz żywnościowy Franciszek Dederka „Pieniążek". Kiedy wybuchło powstanie, wydali oni rozkaz otwarcia sklepów, które wcześniej Niemcy kazali zamknąć. Zdecydowano, że podstawowe produkty nadal będą sprzedawane na kartki. Jednocześnie zabroniono sklepikarzom sztucznego podwyższania cen. Takie praktyki krytykowała też powstańcza prasa. W piśmie „Warszawa Walczy" pisano: „Napiętnować należy samowolną akcję niektórych właścicieli sklepów kształtujących ceny sprzedawanych przez siebie towarów według swojej fantazji. Tego rodzaju postępowanie skazuje mniej zamożną ludność stolicy na konieczność rezygnowania z kupna artykułów pierwszej potrzeby, m.in. kartofli, których istnieją jeszcze spore zapasy".

Żołnierze nie mogli jednak liczyć wyłącznie na życzliwość cywilów czy kaprysy sklepikarzy. Gdzie zatem stołowali się powstańcy? W całej Warszawie powstawały kuchnie polowe. Nie wiadomo, jak wiele ich było; większość otwarto spontanicznie. Najbardziej znana powstańcza stołówka mieściła się w niezwykle eleganckiej i popularnej przed wojną restauracji Adria przy ul. Moniuszki. Posiłki przyrządzały też zakonnice w znajdujących się na terenie Warszawy klasztorach. Tak zwane gospody były organizowane również przez mieszkańców. Na ciepły posiłek mógł liczyć każdy warszawiak.



Oczekiwanie na przydział żywności
FOT. STANISŁAW DOBRZYŃSKI/MPW

Jeszcze przed Godziną „W" zadbano, by wszystkie stołówki były dobrze zaopatrzone. Pracujące w nich (głównie) kobiety przyrządzały smaczne i sycące dania, głównie zupy. Każdy otrzymywał porcję mięsa oraz warzyw lub kaszy. Halina Regulska, pracująca w jednej z kuchni, wspominała: „My czekałyśmy na nich z gotowym obiadem. Uzbrojone w miski, łyżki i chochlę rozlewałyśmy zupę. Uważałam, żeby nalewać sprawiedliwe porcje i każdemu do miski włożyć trzy kawałki mięsa. Oni – zgłodniali – wodzili oczami za ruchem mojej ręki. Siadali, gdzie popadło, na ławkach, na stołach, na podłodze. Zupa smakowała im bardzo".

Ciekawa relacja na temat powstańczych stołówek została zamieszczona w piśmie powstańczym „Z Pierwszej Linii Frontu" z 14 sierpnia 1944 r.:

„Jesteśmy w kuchni, jednej z tych kuchni, które powstały w ogniu powstania, które żywią całą Warszawę walczącą. Na małej przestrzeni uwijają się liczne postacie. Ta kraje, ta sieka, ta obiera ziemniaki. Ta znów miesza warząchwią w dużym kotle. Za pół godziny będzie zupa. Może tymczasem pani kierowniczka udzieli nam informacji:

– Punkt odżywczy powstał 1 sierpnia. Pierwszy posiłek podałyśmy o 17. Kilka pań, odciętych od swych posterunków, zorganizowało tę placówkę w prywatnym mieszkaniu. Obecnie pracuje nas 8, a ponadto z 7 dalszych domów przynoszą gotowe jedzenie. Produkty dostarczyły nam PCK, oddziały AK, od których otrzymaliśmy niedawno ćwierć krowy. Lecz przede wszystkim zapasy ofiarowali mieszkańcy tego domu i sąsiednich kamienic. Ofiarowują ochotnie wszystko, od pęczaku począwszy, a na winie skończywszy [...].

Na posterunku przy kotle stoją dwie panie z chochlami w rękach. Zaczyna się przewijać korowód. A więc przede wszystkim ludność cywilna. Mieszkańcy domów spalonych i wysiedlonych przez Niemców, bezdomni, odcięci od swych ognisk. Wydawanie idzie sprawnie. Każdy dostaje miskę zupy, lokuje się z nią, gdzie może, w klatce schodowej, przy improwizowanych stołach, na schodach [...]. Punkt ten żywi 3 oddziały wojskowe, 2 szpitale i 1 wydział administracji cywilnej. Ilość obiadów wydanych codziennie wynosi przeciętnie około 400".

Tak optymistyczny obraz wojującej Warszawy szybko ustąpił jednak miejsca niepewności i obawom o los – zarówno

eprasa.pl 88698580d6

swój, jak i całego zrywu. Jedzenia w stolicy zaczęło brakować już po kilkunastu dniach. Na początku września sytuacja była już bardzo trudna i miała się tylko pogarszać.

Plujka, koty i fasola

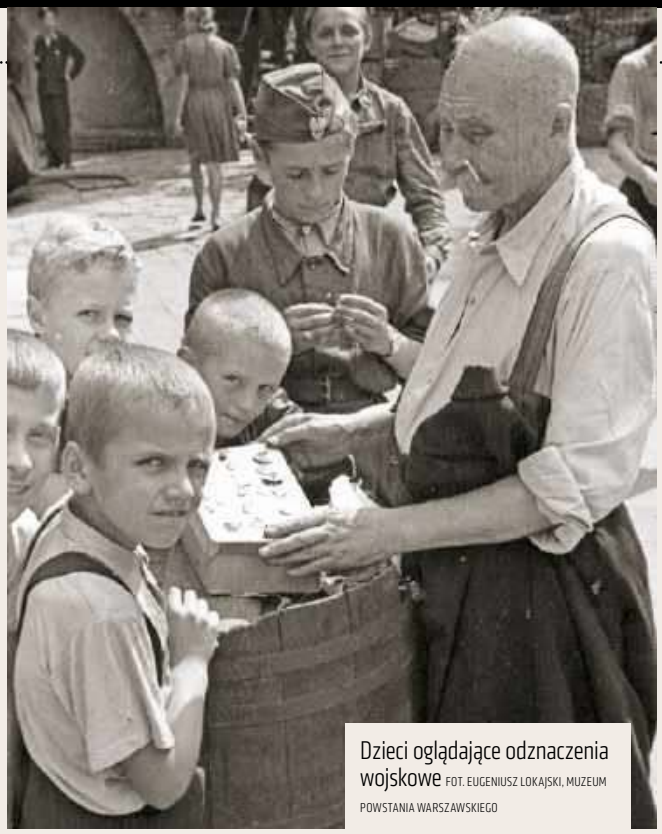
Każdy wypad po wodę albo warzywa, które pozostały jeszcze na poletkach rozsianych po całej Warszawie, niósł ze sobą wielkie ryzyko. Niemcy wiedzieli, że tam, gdzie można zdobyć pożywienie, lub tam, gdzie znajdują się studnie, pojawią się powstańcy. W tych miejscach ustawiano snajperów. W ten sposób wyprawa po prowiant stawała się nie mniej niebezpieczna niż walka na pierwszej linii.

Kiedy warszawiakom do minimum skurczyły się zapasy wołowiny, wieprzowiny czy drobiu, zaczęto szukać innych źródeł mięsa. Najczęściej sięgano po koninę. Wiele koni padło w czasie walk; należało je tylko ściągnąć z ulicy w bezpieczne miejsce i tam oprawić. Nie było to jednak łatwe zadanie. Tam, gdzie znajdowały się padłe konie, Niemcy także czyhali w ukryciu na powstańców. W końcu ludzie zaczęli wyłapywać gołębie, czasem też inne ptaki, a później nawet psy i koty. Do legendy przeszła „potrawka z kota", którą ugoszczony został podobno sam gen. Tadeusz Komorowski „Bór". Ponoć generał, niezrażony wątpliwej jakości przysmakiem, miał zjeść danie z apetytem i pochwalić kucharza. Z czasem o mięso było coraz trudniej. Jedzono więc głównie kaszę i fasolę, które czasami kraszono tłuszczem, jeśli udało się go pozyskać.

O dużym szczęściu mogli mówić powstańcy z Mokotowa, którzy zdobyli niemieckie zapasy przecieru pomidorowego – to na jakiś czas urozmaiciło ich dietę. Na Powiślu natomiast żołnierze zajęli niemiecki browar Haberbuscha przy ul. Ceglanej (sam właściciel nigdy nie popierał NSADP, a jego syn został przez Niemców rozstrzelany w 1943 r.; firma została przejęta przez Niemców jeszcze w 1939 r.). Dzięki zajęciu budynków należących do browaru powstańcy przejęli też zapasy jęczmienia. Z tego nieoczyszczonego ziarna przygotowywano najbardziej znaną potrawę Powstania Warszawskiego, czyli tzw. zupę plujkę. Nazwa wzięła się stąd, że w czasie jedzenia bezustannie trzeba było wypluwać łuski. Jak tę potrawę wspominali mieszkańcy? Pan Jerzy Radzikowski opowiadał: „Jeżeli chodzi o tych »Zawiszaków«, którzy razem ze mną kwaterowali na Mokotowskiej 28, gdzie była duża stanica harcerska, to tam wyżywieniem była tak zwana zupka pluj-pluj. To była zupa ugotowana z rozgotowanego jęczmienia, więc to było niesamowite świństwo, co tam mówić".

Im dłużej trwało Powstanie Warszawskie, tym głód częściej zaglądał w oczy zarówno powstańcom, jak i cywilom. Choć raz po raz przetrząsano zrujnowane kamienice, domy, mieszkania, to coraz trudniej było znaleźć coś do jedzenia. Zdesperowani ludzie sięgali nawet po popsutą żywność.

Na tym tle prawdziwym cudem były… krowy. Zwierzęta były trzymane w piwnicach w kilku miejscach na mapie Warszawy, często blisko szpitali. Ich istnienie było utrzymywane w wielkiej tajemnicy z obawy, że wygłodniali powstańcy od razu przeznaczą zwierzęta na kotlety.



Dzieci oglądające odznaczenia wojskowe FOT. EUGENIUSZ LOKAJSKI, MUZEUM POWSTANIA WARSZAWSKIEGO

Krowy miały bowiem inne zadanie – dawały mleko niezbędne dla prawidłowego rozwoju noworodków i dzieci, których w Warszawie nie brakowało. Najbardziej „znaną" krową była ta trzymana przy ul. Żelaznej, która przetrwała podobno całe Powstanie Warszawskie. Gdyby nie ludzie, którzy dbali o te zwierzęta, wiele dzieci nie przeżyłoby wojny.

One muszą przeżyć

W ogarniętej powstaniem Warszawie problemy aprowizacyjne dotykały wszystkich Polaków tak samo, jednak być może najbardziej dotkliwe były dla matek, które musiały myśleć nie tylko o własnym przetrwaniu, lecz także o życiu swoich dzieci. Liczne relacje kobiet, które robiły wszystko, aby ich dzieciom udało się przetrwać piekło wojny, zostały zamieszczone w książce Anny Herbich pt. „Dziewczyny z powstania". Jedno ze wspomnień należy do babci autorki, Ireny Herbich. Jej słowa pokazują, z jaką determinacją kobiety walczyły o życie dzieci: „Najważniejszy był Jacuś, którego niosłam na rękach. Obiecałam sobie, że zrobię wszystko, żeby uratować to dziecko. Że po prostu musi przeżyć. To dodawało mi siły. Czułam, że mam zadanie, na którym muszę się skoncentrować. Może dlatego nie straciłam w tym wszystkim głowy" – mówiła pani Irena.

W czasie powstania urodziło się wiele dzieci. Początkowo każdy poród wywoływał radosną euforię nie tylko wśród rodziny, lecz także wśród towarzyszy niedoli, np. wśród sąsiadów, z którymi wspólnie ukrywano się w piwnicach. Sanitariuszka Hanna Kramar-Mintkiewicz mówiła po latach: „Na początku był jeden wielki entuzjazm. Zresztą w jednym domu na Mokotowie urodziła się dziewczynka i myśmy tam biegały, żeby zobaczyć to niemowlę, bo to było dla nas jakieś takie kontrastowe, tu giną, tu się rodzi".

Choć było to skrajnie trudne, to starano się zapewniać dzieciom wszystko, co

eprasa.pl 88698580d6

niezbędne. Kaftaniki, koszulki czy pieluszki szyto, z czego tylko się dało. Ludzie przemierzali zniszczone ulice, buszując po zrujnowanych sklepach i mieszkaniach w poszukiwaniu materiałów, które mogły nadać się na odzież dla dzieci. A ubranek potrzebowano wiele. Były to bowiem najczęściej rzeczy jednorazowego użytku. Ponieważ warszawiacy mieli bardzo utrudniony dostęp do wody, musieli zapomnieć o praniu. Brudnych pieluszek nikt nie prał; po prostu je wyrzucano, szukając kolejnych.

Niemowlętami, które straciły rodziców, zajmowali się najczęściej harcerze. Dzieci zanoszono do punktów sanitarnych i szpitali i tam wspólnie, na ile siły całej drużyny pozwalały, opiekowano się nimi. Harcerze oraz Wojskowa Służba Społeczna niosły ponadto pomoc matkom ukrywającym się w zakamarkach zdemolowanej stolicy. Przynoszono im jedzenie, wodę, czasem ubranka dla dzieci.

Dzieci karmiono natomiast wszystkim, co się dało. Niedożywione kobiety nie miały często pokarmu, zatem nie mogły karmić piersią. Noworodkom podawano więc krowie mleko, mleko w proszku, kaszę mannę. Jednej z kobiet ukrywający się wraz z jej rodziną lekarz pediatra poradził, aby podawała dziecku rzadką „zacierkę" w postaci rozbełtanego w wodzie chleba i cukru.

Chwile radości

Warszawiacy w ciemności, ciasnocie, wyrwani ze swoich domów, często odseparowani od najbliższych musieli walczyć z brudem, robactwem, głodem, chorobami, a w miarę upływu czasu – z rosnącym zwątpieniem i ze strachem przed dostaniem się w niemieckie ręce. Mimo to próbowano nadać życiu w ukryciu choć odrobinę kolorytu. Czytano książki, grano w karty, śpiewano i żartowano. „W zmienionych warunkach – spora grupa kabareciarzy rzuciła się w kierunku barykad, by nieść słowa otuchy, śpiewać, tańczyć, recytować powstańcom […]. W powstaniu działały grupy harcerzy prowadzących teatrzyki dla dzieci, rozweselające ludzi w piwnicach i rannych w szpitalach […]. Chwile radości i wzruszenia, które dawały dzieciom owe teatrzyki czy pisemka, miały pomóc w kolejnych niełatwych chwilach po wypędzeniu z domów" (P.P. Grzybowski, „Śmiech życia i śmierci").

Namiastkę normalnego życia stanowiły słynne powstańcze śluby. Po 1 sierpnia 1944 r. zawarto ok. 250–300 takich związków. Dowództwo Armii Krajowej postanowiło ten proceder nawet usystematyzować, wydając 18 sierpnia odpowiedni rozkaz. „To zjawisko było tak powszechne, że wydany został specjalny rozkaz dotyczący ślubów powstańczych. Regulował w świetle prawa sposób zawierania małżeństw w czasie Powstania Warszawskiego i dotyczył dokumentacji. Zgodnie z rozkazem do zawarcia związku małżeńskiego potrzebne były dokumenty zezwalające od szefa oddziału, niepełnoletni musieli okazać pozwolenie od rodziców, musiała być zgoda kapelana. Ale ponieważ w warunkach wojennych niejednokrotnie było to niemożliwe, to księża kapelani sami brali na siebie odpowiedzialność za udzielenie ślubu" (T. Kowalik, P. Słowiński, „Powstanie Warszawskie w 100 przedmiotach").

Ceremonie ślubne trwały krótko – w przypadku ślubu Jana Nowaka-Jeziorańskiego i Jadwigi Wolskiej było to zaledwie siedem minut. Za obrączki służyły kółeczka do firanek, zawleczki z puszek od konserw – cokolwiek, co miało okrągły kształt i dało się wsunąć na palec. Nie brakowało par, które ślubując sobie miłość, wierność i uczciwość małżeńską w powstańczej rzeczywistości, przeżyły potem wiele szczęśliwych lat. Takim małżeństwem byli np. państwo Alicja i Bolesław Biegowie, którzy przeżyli wspólnie aż 75 lat. Niestety, były i pary, którym dane było nacieszyć się sobą zaledwie kilka tygodni. Dla młodych, którzy decydowali się na ślub, zawarcie małżeństwa było manifestem niezgody na otaczającą ich rzeczywistość, a zarazem wyrazem wiary i nadziei, że czeka na nich nowe, lepsze życie.

Warszawiacy, którym udało się przetrwać niemiecką okupację, a później Powstanie Warszawskie, przeżyli prawdziwe piekło. Gdy po wojnie zaczęli wracać do swojego ukochanego miasta, musieli budować wszystko od zera, mając w pamięci straszne obrazy niedawnych wydarzeń. Nie wszyscy sobie z tym radzili. Jak zauważył Władysław Szpilman: „Od jutra będę musiał zacząć nowe życie. Jak zaczynać życie, gdy ma się za sobą tylko śmierć?".

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

WYBRANA BIBLIOGRAFIA:

Archiwum Historii Mówionej Muzeum Powstania Warszawskiego; *Grzybowski P.P.,* ***„Śmiech życia i śmierci";*** *Herbich A.,* ***„Dziewczyny z powstania";*** *Kowalik T., Słowiński P.,* ***„Powstanie Warszawskie w 100 przedmiotach";*** *Urzykowski T.,* ***„Zupka plujka z wkładką z psa. Co jeszcze jedli powstańcy?".***



Ślub podczas powstania FOT. EUGENIUSZ LOKAJSKI, MUZEUM POWSTANIA WARSZAWSKIEGO

eprasa.pl 88698580d6



Niemiecki oddział na placu Teatralnym
FOT. COMMONS WIKIMEDIA, BUNDESARCHIV BILD

Wywiad / Z prof. Stephanem Lehnstaedtem, niemieckim historykiem, autorem książki „Der Warschauer Aufstand 1944”

rozmawia Piotr Włoczyk

Powstanie – szansa Himmlera

– O ile dla Wehrmachtu Warszawa nie miała znaczenia, o tyle już dla Himmlera jak najbardziej. Chciał pokazać, że potrafi zwalczać opór – mówi historyk

PIOTR WŁOCZYK: Kiedy Niemcy zrozumieli, że Warszawa stanie do walki?

PROF. STEPHAN LEHNSTAEDT: Przez cały lipiec trwały wśród niemieckich dowódców rozmowy na ten temat – czy dojdzie do powstania czy nie. Niemcy mieli informacje, które wskazywałyby, że Armia Krajowa szykuje się do walki w stolicy, ale z drugiej strony ich dowództwo było przekonane, że polskie podziemie zachowa się w tej sytuacji racjonalnie.

Czyli?

Zakładali, że AK rozpocznie powstanie w momencie, gdy Armia Czerwona przeprawi się w Warszawie przez Wisłę. Niemcy zrozumieli, że polskie podziemie pójdzie w stolicy do walki dopiero dzień przed wybuchem powstania.

Co ciekawe, w wielu niemieckich dyskusjach na temat sensu tego zrywu widać podobne argumenty, które pojawiały się podczas rozmów gen. Tadeusza Komorowskiego i jego najbliższych współpracowników. Niemal do samego końca Niemcy uważali, że samotna walka Polaków nie miałaby sensu, bo byłaby samobójstwem. I dlatego tak długo byli przekonani, że nic się nie stanie.

Jak wiele uwagi Niemcy poświęcali powstaniu po jego wybuchu?

Jakkolwiek to brutalnie zabrzmi, Powstanie Warszawskie nie było dla Niemców większym problemem. Dowództwo Wehrmachtu stwierdziło, że armia nie będzie się tym zajmowała, ponieważ wszystkie jej siły trzeba było angażować przeciw Armii Czerwonej. Dlatego stłumienie powstania powierzono SS. I w raportach dowództwa niemieckiej armii nie ma prawie nic na temat powstania w Warszawie. Niemieccy dowódcy wiedzieli, że tylko Armia Czerwona może zająć Warszawę i sami Polacy nie będą w stanie tego dokonać.



Sowieckie wojska pancerne poniosły porażkę w okolicach Radzymina 3 i 4 sierpnia, przez co Armia Czerwona została zatrzymana przez Niemców na ok. 10 dni. Do dowództwa niemieckiej armii docierały meldunki z jednoznacznym przekazem: jeżeli Armia Czerwona będzie chciała przekroczyć Wisłę, to nie da się jej zatrzymać i w takim przypadku powstanie będzie sukcesem. Jeżeli jednak Sowieci nie przerzucą swoich wojsk na drugą stronę rzeki, to zryw będzie można spacyfikować.

eprasa.pl 88698580d6



Azerbejdżański batalion SS
FOT. COMMONS WIKIMEDIA, BUNDESACHIV BILD

Dla Wehrmachtu była to więc w gruncie rzeczy operacja policyjna?

Tak. Dowództwo Wehrmachtu dużo bardziej przejmowało się powstaniem na Słowacji, które wybuchło pod koniec sierpnia. Po pierwsze dlatego, że Słowacy byli sojusznikami III Rzeszy. Po drugie, w powstaniu brała udział armia słowacka. Nie była to duża armia, ale wciąż zaangażowane w były regularne siły zbrojne sojusznika. Stłumienie słowackiego zrywu nie wyglądało na trudne zadanie, ale Wehrmacht podchodził do niego poważnie.

Niemieckiej armii nie obchodziło, jak SS spacyfikuje Warszawę, choć generałowie Wehrmachtu narzekali na zachowanie SS, które mordowało początkowo bez opamiętania. I dlatego mordy po ok. 10 dniach zostały ograniczane. Generał SS Heinz Reinefarth wydał 8 sierpnia rozkaz, by jego podkomendni nie zabijali tylu cywilów co do tej pory. Rozumowanie było proste: jeżeli będziemy zabijali tylu warszawiaków, to powstańcy nigdy się nie poddadzą. Skoro będą wiedzieli, że tak czy inaczej czeka ich śmierć, to za nic nie złożą broni.

Nie ulega wątpliwości, że Stalin kazał swojej armii zatrzymać się, by biernie obserwowała śmierć Warszawy?

Nie jestem znawcą historii ZSRS, jednak oczywiste jest, że Armia Czerwona nie była zainteresowana pomocą AK walczącej w Warszawie. Żołnierze Armii Berlinga dostali wprawdzie pozwolenie na przekroczenie Wisły, ale były to siły symboliczne. To oczywiste, że gdyby tylko Sowieci chcieli, to sforsowaliby rzekę. Sowieci mogli zapobiec masakrze i to nie byłoby dla nich zbyt skomplikowane. Generał SS Erich von dem Bach, który odpowiadał za stłumienie powstania, powtarzał wtedy, że ma nadzieję, iż Sowieci nie przerzucą swoich sił przez rzekę, bo inaczej nie odniesie w Warszawie swojego „zwycięstwa". Von dem Bach był bardzo zadowolony, że Armia Czerwona czekała po drugiej stronie rzeki, ponieważ zależało mu na „glorii" człowieka, który stłumił powstanie w Warszawie. W pierwszej połowie sierpnia Armia Czerwona miałaby zapewne problem z przeprawieniem się przez Wisłę, ale już w drugiej połowie miesiąca byłaby to w stanie zrobić. Jedynym problemem była wola polityczna Kremla.

Szał mordowania na Woli jest chyba czymś niezwykłym w skali całej wojny?

Na Woli w pierwszych dniach sierpnia widać taktykę stosowaną wcześniej przez Niemców wobec mieszkańców terenów wiejskich. Po raz pierwszy zostało to wtedy wdrożone w terenie zurbanizowanym. Mój kolega, Daniel Brewing, jest jednym z niewielu zagranicznych historyków, którzy zajmują się niemieckimi zbrodniami na Polakach. Dokładnie przeanalizował on sposoby zwalczania przez Niemców oporu m.in. na Zamojszczyźnie. Niemcy niszczyli w takich przypadkach całe wsie i mordowali ich mieszkańców tylko dlatego, że gdzieś w okolicy działali partyzanci. Ta ludobójcza polityka prowadzona na prowincji teraz przeniesiona została na ulice Warszawy.



Heinz Reinefarth FOT. COMMONS WIKIMEDIA

Nie milknie dyskusja na temat skali rzezi Woli. Która liczba bardziej pana przekonuje – 15 tys. czy może jednak 50 tys. ofiar?

Wydaje mi się, że było to raczej ok. 30 tys. pomordowanych. Ale to tylko szacunki. Niemcy, mordując na Woli, nie robili żadnych statystyk. To był szał zabijania, wrzucanie ludzi na stosy, które potem były podpalane. Nikogo wtedy nie interesowało po stronie niemieckiej, czy było to 15 tys. czy 50 tys. ludzi. Ciała był popielone i to bardzo utrudnia historykom dotarcie do prawdy w tej kwestii.

Totalne zniszczenie Warszawy wymagało użycia mnóstwa materiałów wybuchowych, których już wtedy brakowało Niemcom. Dlaczego okupanci postanowili w ten sposób zmarnować te zasoby?

To była decyzja czysto polityczna. W świecie polityki liczą się symbole i władze III Rzeszy uznały, że należy zetrzeć stolicę Polski w proch. Co ciekawe, gen. Eberhard Kinzel, dowódca sił Wehrmachtu w okolicy Warszawy, narzekał, że SS zużywa na burzenie stolicy Polski zbyt dużo dynamitu, który przydałby mu się do powstrzymywania Armii Czerwonej. Złożył skargę do Himmlera, ale odpowiedź nie pozostawiała wątpliwości – SS mogło użyć tyle dynamitu, ile potrzeba było do zniszczenia Warszawy.

Nie ma wprawdzie w tej sprawie pisemnego rozkazu Hitlera, ale wiemy, że podczas jego spotkania z Himmlerem padły słowa, iż Warszawa ma zostać zniszczona. O ile dla Wehrmachtu Warszawa nie miała znaczenia, o tyle już dla Himmlera jak najbardziej. Chciał pokazać, że potrafi zwalczać opór. Również dla Josefa Goebbelsa Powstanie Warszawskie było ważnym zagadnieniem, oczywiście pod kątem propagandowym.

Jak chciał to wykorzystać?

Goebbels widział w tym potencjał, by pokazać Sowietów jako zdrajców. W swoim dzienniku pisał, że polscy powstańcy w Warszawie będą „skatynizowani".

Jaki to miało sens, skoro powstańcy ginęli z rąk Niemców, a nie Sowietów?

Oczywiście to miało sens tylko w pokrętnej nazistowskiej logice. Ale niemiecka propaganda faktycznie głosiła, że

eprasa.pl 88698580d6

powstańcy zostali zdradzeni przez Sowietów. I oczywiście winiono też zachodnich aliantów za zachęcanie Polaków do oporu.

W Niemczech ukazała się właśnie pańska książka o Powstaniu Warszawskim, którą napisał pan na zamówienie Bundeswehry. To pierwsza książka niemieckiego historyka na ten temat od 60 lat... Dlaczego niemiecka armia wyszła z taką inicjatywą?

Myślę, że to element szerszego zjawiska. Po 24 lutego 2022 r. Niemcy nagle odkryli, że mamy też sojuszników we wschodniej Europie, nie tylko na zachodzie. Skoro nasi wschodni sojusznicy są teraz, w związku z zagrożeniem ze strony Rosji, ważniejsi, to Bundeswehra postanowiła wyjaśnić swoim żołnierzom, co jest naprawdę ważne dla Polaków pod kątem historycznym. I tak właśnie Bundeswehra poprosiła mnie o napisanie książki o powstaniu – bardzo ważnym wydarzeniu dla Polaków.

Książka miała premierę w maju. Jakie dotarły do pana opinie ze strony czytelników?

Jest jeszcze zbyt wcześnie, by coś o tym powiedzieć, ponieważ jednostki Bundeswehry dopiero ją zamawiają. Na premierze było naprawdę sporo osób, ale nie od dziś wiadomo, że wśród Niemców bardzo niewielka jest świadomość tego, co się działo w trakcie okupacji niemieckiej nie tylko w Warszawie, lecz także w Polsce. Zilustruję to przykładem tekstu w „Der Tagesspiegel", jednej z poczytnych berlińskich gazet. Dziennikarz przesłał mi link do bardzo pozytywnej recenzji mojej książki w internetowej wersji tego tytułu, ale zaznaczył, że to nie on wybierał zdjęcia. Oczywiście jedno ze zdjęć przedstawiało powstanie w getcie warszawskim... Na szczęście w wersji papierowej gazety redakcja poprawiła ten błąd. To pokazuje, jak mała jest u nas wiedza na temat Powstania Warszawskiego.



Niemiecki oficer podczas walk na placu Teatralnym FOT. COMMONS WIKIMEDIA, BUNDESACHIV BILD



Niemieccy saperzy w ruinach Zamku Królewskiego FOT. ALFRED MENSENBACH, COMMONS WIKIMEDIA

To i tak mniejsza skala wpadki niż wtedy, gdy prezydent RFN Roman Herzog w 1994 r., udzielając wywiadu przed wizytą w Polsce, pomylił powstanie z 1943 r. z tym większym zrywem, do którego doszło rok później...

Tak, to częsty błąd. Niemcy wiedzą więcej o tym pierwszym powstaniu. Ale widać jednak, że rośnie zainteresowanie historią Polski, również Powstaniem Warszawskim. To samo dostrzegam w odniesieniu do Ukrainy. My, Niemcy, odkrywamy właśnie, że Europa to nie tylko państwa na zachód od Odry.

W czym tkwi problem? Niemieckich zbrodni w trakcie wojny były tak dużo, że wiedza o tłumieniu Powstania Warszawskiego nie jest w stanie się przebić?

Myślę, że jest tu coś na rzeczy. Ale brakuje też czasu na lekcje historii. W niemieckich szkołach historia przerabiana jest dwa razy. Pierwszy raz od starożytności do współczesności do X klasy. Potem, na kolejnym etapie edukacji, uczniowie przerabiają materiał historyczny jeszcze raz. W podstawówce, w zależności od regionu Niemiec, na lata 1933–1945 przeznacza się od sześciu do ośmiu godzin.

Przerabia się 1933 r., gdy Hitler doszedł do władzy, pokazując ten mechanizm, potem pogromy z 1938 r. – jak Niemcy stali się antysemitami lub, w najlepszym przypadku, biernymi obserwatorami antysemickiego szału. A potem Holokaust.

Tylko tyle godzin przeznacza się na wszystkie zbrodnie III Rzeszy?!

Niestety tak. Zdaję sobie sprawę z tego, że to jest problem. Nawiasem mówiąc, na powojenną historię Niemiec przeznacza się podobnie mało czasu.

A jak to wygląda po X klasie?

Na drugą wojnę światową przeznacza się trochę więcej czasu, ale niewiele

eprasa.pl 88698580d6



Zamek Królewski wysadzony w powietrze przez Niemców FOT. M. WOLGAIEWICZ, COMMONS WIKIMEDIA

więcej. Tu jednak sytuacja jest skomplikowana, bo landy same ustalają program nauczania po X klasie.

Czyli na temat okupacji w Polsce niemieccy uczniowie dowiedzą się niewiele. A o wojnie z ZSRS?

Bardzo niewiele się mówi o tych sprawach, właściwie nic. Zazwyczaj w ogóle się nie porusza okupacji krajów europejskich, ale to też zależy od nauczyciela. Holokaust przykrywa wszystko inne.

Nie wiedziałem, że jest aż tak źle. Niemieckie władze posypują głowę popiołem za zbrodnie popełnione w trakcie wojny i to powinno cieszyć, ale przecież bez edukacji niemieckie społeczeństwo nie będzie rozumiało, za co dokładnie ci politycy przepraszają.

Niestety, historia nie jest uważana w Niemczech za ważny przedmiot. Generalnie niemiecki uczeń, kończąc szkołę średnią, będzie znał pojęcie „Auschwitz", ale nie będzie mu nic wiadomo o Powstaniu Warszawskim ani o inwazji na Polskę czy też o okupacji Grecji lub części ZSRS.

Czy w Berlinie zostanie w końcu zbudowany pomnik polskich ofiar niemieckich zbrodni? Wiele lat już na to czekamy...

Myślę, że to nie jest zagrożone. Pomnik ma stanąć przed Bundestagiem, który wydał już na to zgodę, ale doprowadzenie tej procedury do końca potrwa jeszcze zapewne kilka lat. Zbudowane będą i pomnik, i muzeum opowiadające o polskich ofiarach. Bundestag musi jeszcze na to wygospodarować pieniądze. Muzeum nie będzie małe – ma mieć 2,5 tys. mkw. na wystawę stałą i dodatkowe miejsce na wystawy tymczasowe. Najprawdopodobniej jesienią nasz parlament podejmie decyzję w sprawie finansów. Co ciekawe, takie inicjatywy są napędzane przez oddolne ruchy, bo kolejne niemieckie rządy nie palą się do upamiętniania ofiar. Tak samo było ze słynnym berlińskim pomnikiem Pomordowanych Żydów Europy. To nie był pomysł rządu centralnego. Więcej – Helmut Kohl twierdził wówczas, że coś takiego nie jest potrzebne! Że jeżeli postawi się pomnik jednej kategorii ofiar III Rzeszy, to z takimi samymi roszczeniami przyjdą inni. Kohlowi wystarczył najwyraźniej Nowy Odwach (niem. Neue Wache) – pomnik dedykowany wszystkim ofiarom drugiej wojny światowej, również niemieckim...

Od tego czasu w Berlinie postawione zostały pomniki dla ofiar eutanazji, ludności romskiej i homoseksualistów. Teraz budujemy pomnik dla Polaków, ale Ukraińcy też się domagają swojego miejsca pamięci. Jest to oczywiście nieuniknione, jeżeli wymorduje się przedstawicieli tak wielu różnych narodów. Planowane też jest muzeum okupacji poświęcone wszystkim państwom okupowanym przez III Rzeszę.

Zbrodni w trakcie wojny dokonywali Niemcy czy naziści? Na pewno wie pan, jak bardzo Polacy są wyczuleni na ten temat, obawiając się, by odpowiedzialność nie została rozmyta...

Wiem, że jest to bardzo ważne dla Polaków. Nie widzę jednak tego problemu w Niemczech. Tu nikt nie wątpi, że były to niemieckie zbrodnie i że to Niemcy za nie odpowiadają. W niemieckim świecie akademickim pisze się o Niemcach jako sprawcach zbrodni w czasie drugiej wojny światowej i tak to jest przedstawiane w dyskusjach ze studentami. Skrajna prawica działająca w naszym kraju faktycznie stara się niekiedy fałszować w ten sposób dzieje Niemiec, ale my, historycy, przedstawiamy fakty. To nie byli jacyś tam nieokreśleni „naziści", lecz po prostu Niemcy. Powiem więcej – jeżeli ktoś na uniwersytecie próbowałby u nas opowiadać o „zbrodniach nazistowskich", to wszyscy dokoła bardzo podejrzliwie patrzyliby na taką osobę...

Jednak w anglosaskiej prasie zazwyczaj przeczytamy właśnie o „zbrodniach nazistowskich", a nie „zbrodniach niemieckich".

To prawda, ale to zjawisko ma swoje historyczne wyjaśnienie. Amerykanie i Brytyjczycy w trakcie drugiej wojny światowej chcieli, z przyczyn politycznych, odróżniać złych nazistów od dobrych Niemców (zwykłych obywateli). I efekty tego widzimy do dziś w czołowych amerykańskich i brytyjskich dziennikach.

Jeden z brytyjskich historyków stwierdził kiedyś w rozmowie ze mną, że z drugiej strony używanie w tym kontekście słowa „Niemcy" zwalnia z odpowiedzialności Austriaków...

To prawda, nie wliczamy wówczas do kręgu sprawców zbrodni Austriaków, którzy jednak wtedy też byli Niemcami. Mam kolegów austriackich historyków, którzy walczą z mitem Austrii jako pierwszej ofiary Hitlera, ale jest to trudne zadanie, ponieważ jest on bardzo rozpowszechniony nad Dunajem.

Niestety, nawet na szczytach niemieckich władz zdarzają się wypowiedzi, które muszą budzić zdumienie. W trakcie poprzedniej okrągłej rocznicy D-Day Angela Merkel stwierdziła, że alianci wyzwolili Niemcy od narodowego socjalizmu...

To była wypowiedź kompletnie ahistoryczna. W 1945 r. Niemcy nie chcieli być wyzwoleni. Być może ci opozycjoniści, którzy siedzieli w obozach koncentracyjnych, trzymali kciuki za aliantów, ale na pewno nie przeciętny Niemiec.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone



Profesor Stephan Lehnstaedt jest znawcą historii niemieckiej okupacji Polski z Touro University Berlin, autorem wydanej właśnie w Niemczech książki pt. „Der Warschauer Aufstand 1944" („Powstanie Warszawskie 1944").

eprasa.pl 88698580d6



Sanitariuszki. Ulica Moniuszki
FOT. EUGENIUSZ LOKAJSKI/MPW

1944 r. / Ogromna cena walki z Niemcami

Męstwo i cierpienie stolicy



Marek Gałęzowski

Czy poniesione podczas Powstania Warszawskiego straty ludzkie były niemożliwe do uniknięcia w każdym innym scenariuszu wydarzeń? Czy nie można było przewidzieć, że Niemcy dokonają zbrodni na cywilach?

Był 48. dzień Powstania Warszawskiego, gdy pluton ze Zgrupowania „Chrobry II", broniącego północnej części Śródmieścia, przydzielony jako wsparcie oddziałom walczącym na Nowym Świecie, uderzył na Niemców z przylegającej ul. Chmielnej. Prowadził go Tadeusz Juliusz Mycke, oficer jeszcze przedwojenny. W czasie „przeciwnatarcia pocisk z granatnika rozerwał mu się na podbrzuszu. Straszliwie męczył się, zanim skonał [...]. Dwa lata pracowaliśmy z nim w tajnych drukarniach, a nie wiem o nim właściwie nic. Ale wiem na pewno, iż jeśli prawdą jest, że bohaterem jest ten, kto w każdej okoliczności postępuje, jak może najlepiej – to Tadeusz był nim zawsze, aż do śmierci" – pisał Wacław Zagórski w dzienniku opublikowanym po wojnie pt. „Wicher wolności", uznanym przez Gustawa Herlinga-Grudzińskiego za jedną z najlepszych książek o powstaniu.

Oficer z podziemnej drukarni

Pochodzący z Piotrkowa 32-letni por. Mycke odznaczał się męstwem wielokrotnie wcześniej, najpierw we wrześniu 1939 r., później w czasie walki konspiracyjnej jako organizator podziemnych drukarni, wreszcie w powstaniu, aż do bohaterskiej śmierci. Nie był jednak wyjątkiem – heroizm znaczył biografię tysięcy żołnierzy warszawskiego zrywu. Nie inaczej było w wypadku wspominającego go Zagórskiego. Urodzony w 1909 r. w Kijowie, gdzie spędził dzieciństwo, przed wojną dziennikarz i publicysta, oficer rezerwy jak Mycke, w podziemiu organizator i kierownik drukarń konspiracji piłsudczykowskiej, w powstaniu brał udział od pierwszego dnia. Najpierw z własnej inicjatywy z kilkoma podwładnymi opanował plac Grzybowski i budynek dawnej gminy żydowskiej, a kilka dni później z improwizowanym oddziałem ochotników i żołnierzy AK, którzy nie dotarli do swoich jednostek, przystąpił do Zgrupowania „Chrobry II", w którym objął dowództwo II batalionu. Na jego czele w nocy z 7 na 8 sierpnia zajął odcinek ul. Grzybowskiej od ul. Żelaznej do ul. Ciepłej. Jak pisał Andrzej Kownacki, w części Śródmieścia bronionej przez Zgrupowanie „Chrobry II" „podstawowym najbardziej zagrożonym terenem był w zasadzie odcinek obsadzony przez II batalion kpt. Lecha Grzybowskiego".

eprasa.pl 88698580d6



Odznaka batalionu „Chrobry II”

FOT. COMMONS WIKIMEDIA, ZU

Zagórski wielokrotnie odznaczył się w walkach z Niemcami, m.in. 13 sierpnia, wraz z oddziałem kpt. Wacława Stykowskiego „Hala”, powstrzymał gwałtowny atak od strony ul. Chłodnej i pl. Żelaznej Bramy oraz kolejne w ostatniej dekadzie miesiąca. W nocy z 30 na 31 sierpnia, idąc w sukurs oddziałom powstańczym usiłującym przebić się ze Starego Miasta, opanował Hale Mirowskie i mimo znacznych strat utrzymał je do godzin porannych następnego dnia. Za to został awansowany do stopnia kapitana, wówczas też otrzymał pseudonim Lech Grzybowski, odróżniający go od innego z dowódców powstańczych – broniącego odcinka przy ul. Żelaznej kpt. Tadeusza Przystojeckiego „Lecha”, który przyjął pseudonim Lech Żelazny.

Bronił dzielnie swojego odcinka także w następnym miesiącu. „Jak dla Śródmieścia IV Rejon był ryglem uniemożliwiającym wbicie klina w serce Warszawy, tak dla IV Rejonu pododcinek »Lecha Grzybowskiego« był ryglem broniącym przed wdarciem się nieprzyjaciela na jego teren, gdyż na tym kierunku szły najsilniejsze i powtarzające się uderzenia” – podsumowywał Tadeusz Zarzycki, uczestnik walk.

Po kapitulacji Zagórski jak inni powstańcy przeszedł przez niemieckie obozy, a po wojnie – znów jak wielu z nich – został zmuszony do pozostania na uchodźstwie. Wspomnijmy przynajmniej, że odegrał tam ważną rolę w dziejach wolnej kultury polskiej. W listopadzie 1959 r. został redaktorem naczelnym „Tygodnia Polskiego”, dodatku kulturalnego do „Dziennika Polskiego i Dziennika Żołnierza”. „Sprawił, że nasze pismo jest czytane nie tylko przez emigrantów w W.[ielkiej] Brytanii, ale również przez Polaków rozsianych po całym świecie oraz Kraju” – napisano po śmierci „Lecha Grzybowskiego”.

Nieznane światu bohaterstwo i odwaga

Chociaż siostry Maria i Kazimiera Chuchlanki w chwili wybuchu powstania liczyły sobie odpowiednio 17 i 16 lat, to miały już pełną zasług kartę walki konspiracyjnej. Pochodzące z Poznania harcerki, uczennice tajnych kompletów gimnazjum im. Bolesława Prusa w Warszawie, od 1943 r. jako „Maja” i „Kaja”, były żołnierzami oddziału „Agat”-„Pegaz”, przekształconego następnie w słynny batalion „Parasol”. Wykonywały zadania łączniczek i wywiadowczyń, w ramach akcji likwidacyjnych oprawców niemieckiego aparatu represji o kryptonimie Główki. Pierwsza, w grudniu 1943 r., była wymierzona w Emila Brauna, odpowiedzialnego za przygotowanie planu wysiedlenia Polaków z Warszawy, „zajadłego polakożercy”, jak trafnie charakteryzował go Jerzy Ślaski. Przy okazji zlikwidowano też towarzyszącego mu Friedricha Pabsta, „czołowego hitlerowskiego architekta, autora […] planu przekształcenia Warszawy w stutysięczne miasto prowincjonalne” [Ślaski]. Celem drugiej, przeprowadzonej w kwietniu następnego roku, był szef Schutzpolizei gen. Wilhelm Rodewald (w dokonanym zamachu zginął jednak inny oficer niemieckiej policji). Obie siostry brały też udział w przygotowaniach do likwidacji Ludwika Hahna, komendanta SD i policji bezpieczeństwa w dystrykcie warszawskim Generalnego Gubernatorstwa, jednego z największych zbrodniarzy niemieckich w okupowanej Polsce, która jednak nie doszła do skutku.

Powstanie rozdzieliło obie dziewczyny. Maria została początkowo odcięta od swojego oddziału, który walczył na Woli, a później na Starym Mieście. Dołączyła do niego 21 sierpnia, przechodząc na Starówkę kanałami, z transportem amunicji. Udało jej się spotkać siostrę, od pierwszego dnia walczącą w szeregach „Parasola”. 1 września, ostatniego dnia obrony Starego Miasta, Kazia „Kaja” jednak poległa przy ul. Barokowej. Maria przeszła kanałami na Czerniaków. I tam pozostała do końca, ginąc w czasie ostatnich walk, 22 września 1944 r.

W tym samym batalionie jako sanitariuszka służyła niewiele starsza od sióstr Chuchlanek 20-letnia Bożena Zabłotniak. W chwili wybuchu wojny miała 15 lat i była uczennicą Państwowego



Wacław Zagórski

FOT. MUZEUM POWSTANIA WARSZAWSKIEGO

eprasa.pl 88698580d6

Gimnazjum Żeńskiego im. Marii Konopnickiej w Warszawie. Zdążyła ukończyć trzy klasy, jak wiele dziewcząt należała do harcerstwa. Podczas okupacji kontynuowała naukę na tajnych kompletach. Do konspiracji wprowadził ją ojciec, Jan Zabłotniak, jeden z czołowych działaczy piłsudczykowskiego Obozu Polski Walczącej. Kolportowała tajną prasę tej organizacji, ale trwało to krótko, gdyż po jego aresztowaniu przez gestapo w pierwszych dniach stycznia 1943 r. zaprzestała działalności i dopiero później wstąpiła do AK, gdzie był już jej brat bliźniak, Stanisław, ps. Szary, żołnierz batalionu „Parasol". Oboje walczyli na Woli, Starym Mieście i w końcu na Czerniakowie. Tam 14 września 1944 r. Bożena została ciężko ranna w plecy i w głowę. Przebywała wraz z bratem na placówce w domu PKO przy ul. Ludnej 9, gdzie w nocy z 17 na 18 września zaginęli bez wieści. Według innej wersji oboje zostali zamordowani po kapitulacji Czerniakowa, podobnie jak liczni wzięci wówczas do niewoli powstańcy, ich rówieśniczki i rówieśnicy.

Dokładne okoliczności niektórych tych zbrodni nie są znane. Kilka powstańczych sanitariuszek, znajdujących się w grupie jeńców i cywilów, którą pod niemiecką eskortą pędzono na Wolę, zostało z niej wyłączonych, przesłuchanych na Szucha, a następnie uwięzionych w piwnicy kościoła św. Wojciecha na Woli. I tam były widziane po raz ostatni. Nie ma wątpliwości, że zostały zamordowane przez Niemców: Adela Bubeła, 17-latka, przed wojną uczennica gimnazjum im. Jana Kochanowskiego, Maria Kruszewska, najstarsza z nich, gdyż krótko przed wojną ukończyła gimnazjum im. Juliusza Słowackiego, Janina Staniewicz, która także uczyła się w szkole Słowackiego, ale już tajnej, Barbara Plebańska, Irena Wuttke, studentka tajnej Politechniki Warszawskiej, Grażyna Zasacka i najmłodsza, a chyba najbardziej znana z nich – Krystyna czy raczej jeszcze Krysia Niżyńska.

Pochodząca ze Lwowa Niżyńska, córka oficera WP, w chwili wybuchu wojny miała dopiero 11 lat. W czasie okupacji uczennica tajnych kompletów w żoliborskim gimnazjum sióstr zmartwychwstanek, harcerka, jako sanitariuszka i łączniczka „Zula" służyła w kompanii „Rudy" batalionu „Zośka", nazwanych tak na cześć jej starszych kolegów, bohaterów „Kamieni na szaniec". Ale nie jako „Zula" została upamiętniona w polskiej historii, a pod przydomkiem Krysia Zakurzona, co wzięło się stąd, że kiedy po niemieckim bombardowaniu odkopano ją spod gruzów, prosiła, by ratować koleżanki, ponieważ jej nic nie jest, jest tylko zakurzona.

Wszystkie zamordowane przez Niemców dziewczyny były żołnierzami batalionu „Zośka". Wraz z nimi zginęły też dwie sanitariuszki z batalionu „Parasol", Hanka i Marysia – nie wiadomo nawet, czy były to imiona czy pseudonimy. Jeżeli pseudonimy, to „Hanka" była jedną z sześciu poległych w powstaniu dziewcząt o takim pseudonimie, a nieznanym imieniu i nazwisku; „Marysie" były dwie.

Heroizm najwyższej próby tych młodziutkich dziewcząt, których dziecięce często jeszcze twarze spoglądają z kart opracowania „Słownik uczestniczek walki o niepodległość Polski. Poległe i zmarłe w okresie okupacji niemieckiej" z końca lat 80. ubiegłego stulecia, budzi największy podziw i szacunek.

Ale patrząc na te fotografie, nie dają spokoju słowa Stanisława Cata-Mackiewicza ze zbioru „Odeszli w zmierzch": „Nigdy nie pogodzę się z faktem używania dziewczyn do boju ze straszliwym nieprzyjacielem [...]. Gdybyż przynajmniej to pokolenie nie wysyłało dziewczyn na śmierć. Gdybyż przynajmniej nie wydawało generałów dających nogę za granicę dla zajmowania się polityką i wysyłających nieletnie bohaterki-dziewczyny na śmierć od mordercy [...]. Ten fakt, że nasze dziewczęta wykazały nieznane światu bohaterstwo i odwagę, nie rehabilituje naszego kierownictwa, lecz właśnie je pogrąża".



Tablica Tchorka w parku Edwarda Szymańskiego na Woli, miejscu masowej egzekucji

FOT. COMMONS WIKIMEDIA, JOLANTA DYR

Zagłada bojowników i miasta

Spór o zasadność Powstania Warszawskiego jest na stałe wpisany w polską debatę społeczną. Nie będzie nadużyciem stwierdzenie, że chyba wszyscy jego uczestnicy zgodziliby się ze słowami Józefa Czapskiego: „W Powstaniu nie byłem [...], ale jest ono dla mnie, jak dla każdego Polaka, jakąś datą graniczną i datą szczytową naszego przyszłego losu, datą, której waga dziś, po dwudziestu latach, nie kurczy się w świadomości, ale jakby wciąż rośnie". To samo możemy powiedzieć i dziś, w 80. rocznicę sierpniowego zrywu. Spór dotyczy ceny, o której autor „Na nieludzkiej ziemi" pisał dalej, że była nią „ta zagłada zastępów ponad miarę bohaterskich bojowników, w większości wyrwanej ze szkół najofiarniejszej młodzieży, wymordowanie i wygnanie setek tysięcy mieszkańców Warszawy, ruina stolicy".

Wiele lat temu w wypowiedziach wybitnych polskich historyków, które opublikowano na łamach „Rzeczypospolitej" na temat nieodłącznych od powstania cierpień ludności Warszawy, w kontekście skierowanych do niej w 2010 r. przeprosin gen. Zbigniewa Ścibora-Rylskiego, argumentowano m.in., że poniesione straty były niemożliwe do uniknięcia w każdym innym scenariuszu wydarzeń, jak również że nie można było przewidzieć, iż Niemcy dokonają zbrodni na ludności cywilnej. Pierwsza z przywołanych opinii była oparta jedynie na przypuszczeniach – równie dobrze można powiedzieć, że byłoby wręcz odwrotnie, a żaden z możliwych scenariuszy rozwoju wydarzeń nie mógł zakładać śmierci 150 tys. ludzi i zniszczenia miasta.

eprasa.pl 88698580d6

Brak argumentów także dla drugiego poglądu. Od chwili agresji na Polskę 1 września 1939 r. Niemcy prowadziły wojnę totalną, czego symbolem jest rozpoczęcie jej bombardowaniem Wielunia, a następnie innych miast pozbawionych obiektów militarnych czy szpitali w broniącej się Warszawie, mimo że były oznaczone widocznym dla lotników znakiem czerwonego krzyża. Od początku wojny i okupacji Niemcy dokonywali licznych zbrodni na ludności cywilnej (wystarczy odwołać się chociażby do książki Jochena Büchlera o zbrodniach Wehrmachtu we wrześniu 1939 r.). Od pierwszych dni okupacji mordowano przedstawicieli polskich elit.

Tak represyjna polityka była zgodna ze słowami Hitlera, przytoczonymi przez Hansa Franka w maju 1940 r.: „Warstwy, uznane przez nas obecnie za kierownicze w Polsce, należy zlikwidować, co znowu narośnie, należy wykryć i w odpowiednim czasie znów usunąć". Elementem tej polityki było stosowanie odpowiedzialności zbiorowej – dość wspomnieć o licznych egzekucjach ulicznych zakładników, które zaczęły się w Warszawie jesienią 1943 r. (a więc już po wyraźnym przełomie na froncie wschodnim, który spowodował odwrót Niemców). Dlaczego miało być inaczej po rozpoczęciu walki przez nieposiadającą praw kombatanckich Armię Krajową? Jej żołnierze byli narażeni na mord niemal do samego końca walk, czego świadectwem przywołane wyżej bezkarne zbrodnie dokonane na powstańcach w chwili kapitulacji Czerniakowa w ostatniej dekadzie września.

Trzej synowie dozorcy z ul. Flory 7

A cywile? Podjęcie decyzji o powstaniu w największym mieście Polski i nasza wiedza o rozmowach ją poprzedzających w kręgu władz wojskowych i cywilnych podziemia wskazują, że scenariusz możliwych do przewidzenia losów ludności miasta w ogóle nie był brany pod uwagę. Dyskutowano wyłącznie o podjęciu walki zbrojnej o niepodległość w aktualnej, niezwykle trudnej dla sprawy polskiej sytuacji – i tylko o tym. Pytanie, czy AK była w stanie zapewnić bezpieczeństwo ludności cywilnej przed bandytami w obcych mundurach, nie padło. Potworne zbrodnie niemieckie na Woli i Ochocie wykazały, że nie mogła zapewnić go w żadnym stopniu.





Od góry: Maria Chuchlanka, Bożena Zabłotniak, Krystyna Niżyńska FOT. MUZEUM POWSTANIA WARSZAWSKIEGO (2), COMMONS WIKIMEDIA



Rację miał Władysław Bartoszewski, żołnierz AK i powstaniec, po wojnie wiele lat więziony przez komunistów, pisząc w 1981 r., że Powstanie Warszawskie było walką o niepodległość i godność narodową, „z charakterystyczną dla nas, Polaków, wiarą w wartości moralne, że to, co jest słuszne, nie może być daremne […]. A dzień 1 sierpnia każdego roku stał się jedynym w swoim rodzaju świętem, manifestacją solidarności z patriotyzmem poprzedniej generacji, z jej męstwem i gotowością do ofiar".

Cena, którą za to zapłacono, była jednak straszliwa, począwszy od zbrodni na Woli i Ochocie, w istocie zaś także w innych dzielnicach prawobrzeżnej Warszawy, co poświadczają tablice Karola Tchorka. Jak chociażby mord przy ul. Flory 7, po załamaniu się ataku na al. Szucha pierwszego dnia walk. Świadkiem zbrodni było zamieszkałe tam rodzeństwo Sidorowicz, 13-letnia Irena i 10-letni Jan Sidorowicz, którego relację cytujemy za wywiadem rzeką, który z Władysławem Bartoszewskim przeprowadził Michał Komar: „Z nastaniem zmroku weszli Niemcy, zabrali i rozstrzelali tylko mężczyzn, w tym dwóch synów dozorcy [Władysława Wakulińskiego] (16 i 18 lat) [wcześniej wymordowali pozostawionych w okolicznych domach po ataku na al. Szucha rannych powstańców i sanitariuszki – przyp. M.G.]. Nas 5 sierpnia wyprowadzili na Szucha. Siedząc na placu Na Rozdrożu, byliśmy świadkami, jak uformowali kolumnę z kobiet i popędzili w kierunku Piusa [Piusa XI, obecnie Piękna – przyp. M.G.], gdzie próbowali zdobyć powstańczą barykadę. Potem trzymali nas dobę bez jedzenia i picia na podwórku gestapo, gdzie leżały zwęglone zwłoki powstańców. Dozorczyni przebrała trzeciego 14-letniego syna za dziewczynkę. Rozpoznali, zabrali i rozstrzelali".

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

Autor jest doktorem habilitowanym, pracownikiem Archiwum IPN.

eprasa.pl 88698580d6

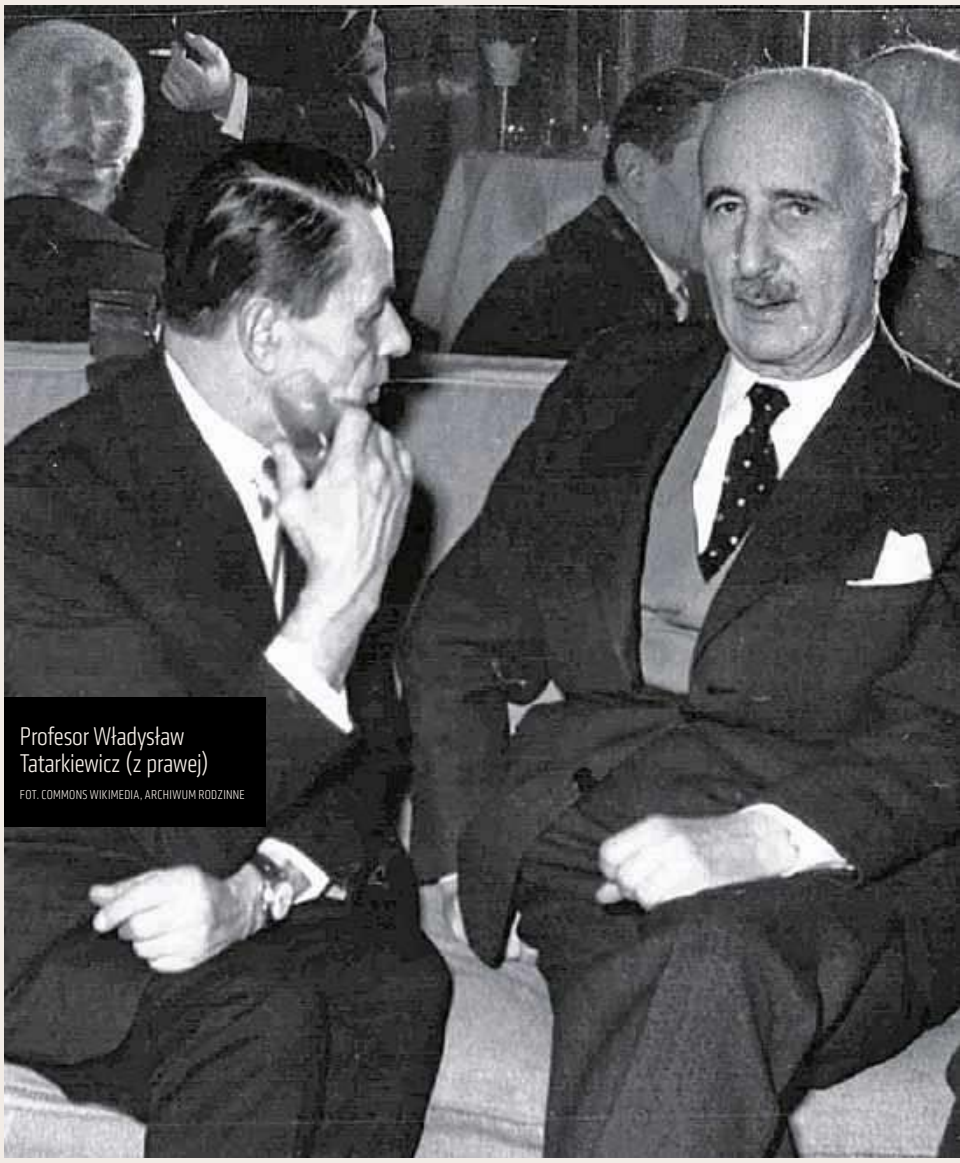
Fragment książki / „Zwyczajni '44"

Szczęście w rynsztoku



Agnieszka Cubała

Rodzina Tatarkiewiczów cudem przeżyła Powstanie Warszawskie. Słynny filozof nawet w piekle walk nie przestawał pracować nad książką



Profesor Władysław Tatarkiewicz (z prawej)

FOT. COMMONS WIKIMEDIA, ARCHIWUM RODZINNE

Władysław Tatarkiewicz należał do grona najwybitniejszych polskich filozofów, a także największych erudytów. Jak nikt inny potrafił mówić o tematach trudnych i zawiłych w sposób tak jasny dla wszystkich. Uważał, że obowiązkiem autora jest wziąć na siebie trud takiego przedstawienia sprawy, by czytelnik nie miał problemów ze zrozumieniem tekstu. Prawdopodobnie to dzięki temu jego „Historia filozofii" została uznana za dzieło przełomowe, a studenci nadal chętnie po nie sięgają. Sam profesor był zresztą człowiekiem ogromnie szanowanym, cenionym i lubianym.

Okazał się także wyjątkowo „warszawskim" uczonym. W stolicy przyszedł na świat i został pochowany; tu ukończył szkołę średnią, studiował, a potem przez wiele lat wykładał. Dodatkowo jako varsavianista zajmował się historią miasta. Szczególnie upodobał sobie Łazienki Kró-

eprasa.pl 88698580d6

lewskie, którym poświęcił kilka publikacji. We wspomnieniach napisał:

Warszawa była i jest MOIM MIEJSCEM NA ZIEMI. Widziałem kiedyś propagandowy druk Towarzystwa Krajoznawczego, który za pomocą szeregu koncentrycznych kół wywodził, że Warszawa stanowi centrum cywilizowanego świata. Nie myślę, by tak było. Ale odczuwam właśnie tak.

W Powstaniu Warszawskim – wydarzeniu, które w sposób najbardziej znamienny zapisało się na kartach historii miasta – uczestniczył jako cywil. On także uznawał je za przełomową chwilę w dziejach stolicy i jej mieszkańców:

Tamten okres naszego życia skończył się 1 sierpnia 1944 roku, ale minęły przeszło dwa miesiące, zanim zdaliśmy sobie z tego sprawę, a także z tego, może jeszcze donioślejszego: że staliśmy się innymi ludźmi.

Zbombardowany grób

Atak III Rzeszy na Polskę zastał profesora i jego żonę Teresę w stolicy. Mieszkali wówczas w Śródmieściu przy ul. Marszałkowskiej 25. Już 2 września 1939 r. odczuli bezpośrednio skutki niszczycielskiej działalności wroga. Zbombardowano wówczas cmentarz Powązkowski, a jedna z 29 zrzuconych bomb trafiła w grób rodziny Tatarkiewiczów, niszcząc go zupełnie. Po kapitulacji stolicy i zakończeniu wojny obronnej władze okupacyjne zamknęły Uniwersytet Warszawski.



Władysław Tatarkiewicz na mównicy podczas III Zjazdu Filozofów w Krakowie, 1936 r. FOT. NAC

Wykładowcy nie pozwolili na odcięcie młodych mieszkańców miasta od edukacji; bardzo szybko rozwinęło się tajne nauczanie, w którym profesor aktywnie uczestniczył. W 1940 r. znajomy architekt zaproponował Tatarkiewiczom zamianę mieszkania. Był zainteresowany kamienicą, którą posiadali na Saskiej Kępie; w zamian otrzymali od niego willę na Ochocie, przy ul. Prezydenckiej, na terenie Kolonii Staszica. Dom wydawał im się idealny, ale nie cieszyli się nim zbyt długo.

W lipcu 1944 r. mieszkańcy stolicy zdawali sobie sprawę, że już niebawem rozstrzygną się losy miasta, a być może i kraju. Na ulicach wyczuwało się, że okupanci po raz pierwszy utracili butę i pewność siebie. Władze cywilne nerwowo ewakuowały się z miasta, ze wschodu, przez mosty, ciągnęły wozy z żołnierzami pokonanymi przez Armią Czerwoną. Brudni, zmęczeni, przygnębieni nie mieli w sobie nic z aroganckich zwycięzców, panów życia i śmierci, do których przez ostatnie pięć lat zdążyli się przyzwyczaić warszawiacy. Tłumy mieszkańców stolicy przychodziły więc napawać się ich widokiem. Atmosferę podgrzewały dodatkowo wieści o nieudanym zamachu na Adolfa Hitlera i odgłosy bitwy pancernej toczącej się u wrót miasta. Profesor zanotował w dzienniku:

W lipcu stało się jasnym wobec postępu bolszewików, że niebawem front przesunie się do Warszawy. Czuliśmy, że będzie niebezpiecznie, ale zdawało się, że trudno dom porzucić – i zdecydowaliśmy się zostać.

Aby się jakoś przygotować, żona Władysława, Teresa, poszła w sobotę na targ, by zrobić zapasy. Tatarkiewiczowie, choć niezaangażowani w działalność podziemnych struktur wojskowych, wyczuwali, że strona polska przygotowuje się do większej akcji. Nie dało się nie zauważyć młodzieży – najczęściej głośnej, roześmianej i podekscytowanej – gromadzącej się w różnych punktach stolicy. Do profesora przyszły nawet dwie nieznane mu osoby i zapytały, czy jego dom mógłby zostać na czas powstania obsadzony przez powstańców jako punkt wypadowy. Była to tyleż prośba, co żądanie – i choć Tatarkiewiczowie nie mieli nic przeciwko takiemu rozwiązaniu, to nie zostało ono zrealizowane. Ich sąsiadkę podejrzewano o nielojalność.

O tym, że do rozpoczęcia walk dojdzie najprawdopodobniej 1 sierpnia, profesor dowiedział się kilka godzin wcześniej od znajomego. Tego dnia o godz. 16 miał przeprowadzić jeszcze dwa egzaminy.



Kolonia Staszica
FOT. HENRYK PODDĘBSKI, COMMONS WIKIMEDIA

eprasa.pl 88698580d6



Rozdawanie chleba wypędzonym z Warszawy FOT. NAC

Na wszelki wypadek pozwolił wyjść zdającym kobietom kwadrans przed godz. 17, a sam został w bibliotece i zajął się pisaniem. O godz. 17 usłyszał strzały i krzyki. Przez okno dostrzegł chłopców wypadających z sąsiedniej willi i biegnących w stronę ul. Wawelskiej.

Niestety, nie wyglądało na to, by byli zbyt dobrze uzbrojeni. Strzelanina trwała do wieczora, ale trudno było się zorientować, kto jest w niej górą. Wieczorem przez ogród Tatarkiewiczów przebiegł łącznik. Twierdził, że sytuacja rozwija się wspaniale, a na terenie miasta lądowały już posiłki polskie i sowieckie. Ta wiadomość natchnęła wszystkich nadzieją i optymizmem. Ale po zapadnięciu zmroku usłyszeli ciche stukanie do drzwi. Gdy otworzyli, do willi wszedł oddziałek nastoletnich powstańców – byli bezbronni, bezradni i przerażeni. Prosili o możliwość ukrycia się u profesora, w końcu jednak rozeszli się po okolicznych domach, uznając, że tak łatwiej będzie ich ukryć. U Tatarkiewiczów do rana został tylko dowódca – jedyny, który posiadał broń.

Wtedy zostajemy w swoim gronie: nas troje [Władysław, Teresa i ich syn Krzysztof – przyp. A.C.], Mamusia, stara Stasia, która zastępuje Olesię, będącą na urlopie, i Rózia, która przyszła prać. Nocujemy w piwnicy, od drugiej nocy już nawet wygodnie na materacach. Tam też początkowo jadamy, mamy tam lampki, książki, nawet kwiaty. Robimy tylko nocą dyżury, boję się bomb i pożaru. W dzień, o ile nie słychać samolotów, siedzimy przeważnie na parterze na schodach. Czytamy pamiętniki angielskie Bensona, głośno Wiecha, oglądamy „Roczniki Krakowskie", wielkie wydanie Ruszczyca. W dalszym ciągu pracuję: poprawiam rękopis „Filozofii XX wieku". Zapasów mamy aż nadmiar. Dokucza nam tylko brak wiadomości, żyjemy jak Robinson na wyspie. Wydaje się nam, że jesteśmy we władzy polskiej, ale żadnych znaków wojsk nie widać. Także wydaje nam się – jakże błędnie – że stanowimy centrum powstania. Po dwóch, trzech dniach zaczynają znów po Wawelskiej jeździć samochody niemieckie: niedobry znak. Pierwszej nocy byliśmy przekonani, że powstanie nie potrwa do rana. Nazajutrz liczyliśmy godziny, potem dni.

Od sąsiadów, Bielawskich, usłyszeli, że wszystkie mosty są w rękach polskich. Wiadomość wzbudziła u nich radość i optymizm; niestety, okazała się zupełnie nieprawdziwa. W okolicy rzadko zapadała cisza. Nieustannie było słychać bliskie i nieco dalsze odgłosy wystrzałów z karabinów, rewolwerów i ckm-ów. W kolejnych dniach pojawiało się coraz więcej samolotów bombardujących miasto. Nie byli w stanie ocenić, czy to maszyny niemieckie czy sowieckie, przylatujące z pomocą dla walczących.

Sądny dzień

5 sierpnia mieszkańcy willi przy Prezydenckiej byli w świetnych nastrojach. Niespodziewanie walka ustała! Okazało się, że to cisza przed burzą. Nagle usłyszeli krzyki – nie po niemiecku, ale też nie po polsku. Po chwili z przerażeniem zdali sobie sprawę, że okolicę opanowali Ukraińcy – tak mieszkańcy stolicy określali wszystkich rosyjskojęzycznych przedstawicieli wschodnich oddziałów kolaborujących z Niemcami: także Azerów, Białorusinów, Rosjan czy Turkmenów. Hasło „Ukraińcy!" oznaczało zagrożenie o wiele większe niż nadejście jednostki niemieckiej. Mieszkańców ogarnęła zgroza. Żołdacy zaczęli wdzierać się do domów przy Prezydenckiej.

Zaczyna się okropne czekanie, kiedy nasza kolej. Teresa przy drzwiach, my w piwnicy. Istotnie: dobijają się, nie otwieramy i – odchodzą. To nas zapewne uratowało, bo był to dzień ukraińskich mordów w naszej dzielnicy. Niedziela spokojniejsza. Ale w poniedziałek znów Ukraińcy od rana. Tym razem dobijają się tak, że trzeba otworzyć. Po długich debatach my z Krzysiem umieszczamy się w kryjówce na parterze w przekonaniu, że tam nie zajrzą. Wpada ich czterech: trzech Ukraińców i Kałmuk. Do piwnicy i na górę wcale nie idą, wyraźnie się boją. Natomiast ostatni zauważa wejście do naszej kryjówki, wpada, ale zaraz cofa [się], bo boi się wejść, ale repetuje nagan. Wobec tego wychodzimy śmiało. Widzi na naszych rękach zegarki i – zapomina nas zabić. Poza trzema zegarkami zabierają tylko Teresie złote bransoletki, Krzysztofowi scyzoryk i z szafy – Polonię Restitutę. Nie chcą ani pieniędzy, ani srebra. Wychodzą, ale dwóch niebawem wraca. Nie stukają nawet, lecz tylko strzelają do okien. Czysty przypadek, że żadna z kul nikogo nie trafiła. Tym razem była to już tylko wizyta do Rózi [młoda kobieta została zgwałcona przez napastników – przyp. A.C]. Podczas tego płomienie [są] tuż obok nas [...]. To główna nasza troska. Zresztą nic nie wiemy i jesteśmy myśli raczej dobrej. Pracuję coraz więcej. Obawiamy się pożaru, ale tylko od bomby. Więc też nic właściwie nie znosimy do piwnicy. Raczej trzeba mieć wszystko cenniejsze na górze, by w razie pożaru wyrzucać przez okno. Innych możliwości nie bierzemy jakoś pod uwagę.

Następnego dnia do ich domu przedarła się jedna z sąsiadek. Rozmawiali o traumatycznych doświadczeniach mieszkańców okolicy, zastanawiali się też nad losem wspólnych znajomych, martwiąc się zwłaszcza o Maszyńskich. Nie wiedzieli, że cała rodzina wybitnego aktora, mieszkająca przy ul. Jesionowej 3, została wyprowadzona 6 sierpnia na Pole Mokotowskie, gdzie wszystkich rozstrzelano.

Sądny dzień dla mieszkańców Prezydenckiej nadszedł 12 sierpnia. Przed południem pojawiło się wielu żołnierzy w niemieckich mundurach, a na pobliskiej Wawelskiej ustawiono nawet tygrysy. Wszystkim kazano wyjść, każdy z mieszkańców willi zabrał po walizce. Pamiętali o płaszczach nieprzemakalnych, mających ich chronić przed ewentualnym deszczem; było jednak tak ciepło, że żadne z nich nie pomyślało o ubraniu na chłodniejsze dni. Po chwili żołnierze pognali ich w stronę Grójeckiej. Szli w tłumie ponad setki osób. Początkowo mieli nadzieję, że zdołają uciec i schronić się u kogoś znajomego, ale okoliczne domy były już puste i wypalone. Poza tym starannie pilnowali ich eskortujący żołdacy.

Z początku idzie się normalnie. Ale od Żwirki i Wigury zaczyna się naprawdę Golgota. Pijani Ukraińcy i Kałmucy każą nam dosłownie co minuta stawać i rewidują walizki. Zabierają ostatni zegarek kieszonkowy, a zegarek biurkowy roztrzaskują o bruk. Zabierają całą bieliznę, a przybory do golenia i mycia wyrzucają – „eto Poliakom nie nużno".

Gdy dochodzimy do „Zieleniaka", zostaje w mej walizce już tylko parę krawatów i maszynopis pracy „O szczęściu". Wtedy przychodzi na rewizję wyższy oficer SS-ów. „Was haben Sie da?". Gdy powiadam, że praca naukowa, przegląda, ale z wściekłością wpada na jakąś angielską cytatę. Wreszcie powiada: „Es gibt keine polnische Kultur mehr" i – rzuca papiery do rynsztoka. Gdy odszedł, podniosłem i mam. Mojej teściowej staruszce zszarpali suknię, szukając, czy nie ma czegoś w niej zaszytego. Któremuś podobała się walizka

eprasa.pl 88698580d6

Krzysztofa (bo miała wiele naklejek hotelowych), więc wyrzucił całą jej zawartość na bruk, walizkę zabrał. Wokoło działy się sceny naprawdę dantejskie. Jakąś czternastoletnią dziewczynkę porwali od matki, wciągnęli do ruin, a potem na auto, przywalili kocami, żeby nie krzyczała. Jednocześnie inni znęcali się nad jej matką, która nieprzytomna, oszalała wyrywała się za nią. Jeszcze szukali na niej cennych rzeczy, pozrywali suknię, trzewiki i dopiero taką na wpół nagą i bosą puścili, gdy auto odjechało już daleko […]. Prędko dostajemy się do pociągu, który jest podstawiony. Wsiadamy w dobrym usposobieniu, bo nie zdajemy sobie sprawy z tego, co nas czeka. Wydaje się nam, że wysiądziemy na stacji, na której będziemy chcieli, pójdziemy do Ursusa do Mani lub dalej do Zosi. Wszak nie ma żadnej racji, by miało być inaczej, a przy tym ulotki rozrzucane przez Niemców zapowiadały, że każdy będzie mógł swobodnie opuścić miasto. Tymczasem było właśnie inaczej.

Pociąg zatrzymał się w Pruszkowie. Tu wszystkich zmuszono do opuszczenia wagonów i skierowano w stronę zabudowań fabrycznych. Wśród tłumu Tatarkiewiczowie spotkali wielu znajomych. Nikt jednak nie wiedział, czego spodziewać się dalej. W obozie profesor natknął się na jednego ze swoich studentów. Mężczyzna przebywał tutaj już jakiś czas i podpowiedział, jak się zachować. Udało im się wejść do jednego z mniejszych baraków, więc noc spędzili w odrobinę lepszych warunkach niż pozostali. Następnego ranka przyniesiono zupę, ale Tatarkiewiczom nie udało się do niej dopchać. Nie zadbali też o to, by zabrać z domu naczynia czy łyżki, i tak nie mieliby więc w co jej nabrać.

Profesor, wówczas 58-latek, zniósł wyczerpujący marsz i podróż do Pruszkowa dość dobrze, ale po kilku dniach w obozie przejściowym ogarnęło go wyczerpanie – ledwo chodził – a także przygnębienie, graniczące z depresją. Niepokoił się nieustannie o syna, bo Niemcy rozpoczęli akcję wyłapywania młodych ludzi. Na roboty do III Rzeszy miał zostać wywieziony m.in. Krzysztof, ale w ostatniej chwili udało się go uratować. Ostatecznie, dzięki życzliwości pielęgniarek i polskich lekarzy pracujących w Pruszkowie, Tatarkiewiczowie opuścili to straszne miejsce. Wspominając tamtą chwilę, Władysław napisał:

Niewypowiedziane uczucie, gdyśmy się znaleźli na wolności, zobaczyliśmy normalne życie, a przy tym piękny dzień letni.

Z Pruszkowa przedostali się do Podkowy Leśnej, skąd skierowali się do domu Iwaszkiewiczów w Stawisku. Po

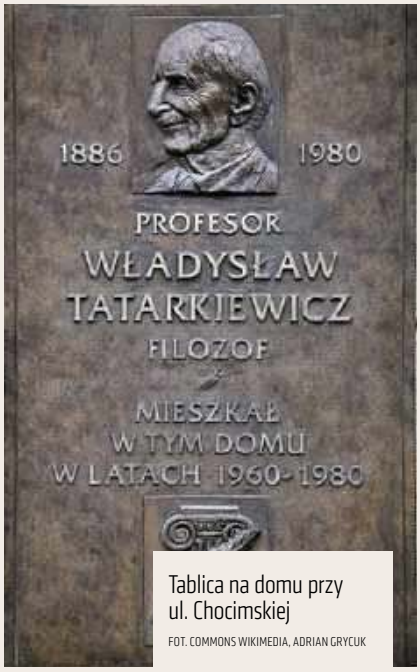


AGNIESZKA CUBAŁA
„ZWYCZAJNI '44. LUDNOŚĆ CYWILNA W POWSTANIU WARSZAWSKIM"
WIELKA LITERATURA

dwóch dniach odpoczynku udali się do Żab nieopodal Błonia, gdzie znajdował się folwark brata profesora. Stąd przez kolejne dni z rozpaczą patrzyli na dymy unoszące się nad walczącą Warszawą. Po jakimś czasie Niemcy zajęli dwór, trzeba było więc poszukać nowego bezpiecznego miejsca. Tatarkiewiczowie zdecydowali się na podróż do Krakowa. Tu znaleźli schronienie u zaprzyjaźnionej rodziny Zdzisława Jachimeckiego, a potem przenieśli się do pobliskiego majątku Marii Kozłowskiej, gdzie wraz z przyjaciółmi doczekali końca wojny.

Powrót do Warszawy

Przez następne lata nie wracali do Warszawy. Profesor został zatrudniony na Uniwersytecie Jagiellońskim, dlatego wraz z rodziną zamieszkał w Krakowie, w domu przy ul. Lenartowicza. Pozwolono mu wykładać tylko do roku 1949,



Tablica na domu przy ul. Chocimskiej
FOT. COMMONS WIKIMEDIA, ADRIAN GRYCUK

kiedy to – rzekomo na żądanie studentów marksistów – został odsunięty od nauczania, zachowując jednak pensję i etat. Mawiał wówczas z ironią, że płacą mu za to, by nie wykładał. Czasu jednak nie marnował. Zajął się pisaniem, a do nauczania wrócił po odwilży październikowej.

W latach 60. ponownie zamieszkał na stałe w Warszawie, bez której – jak się okazało – nie potrafił żyć. Niestety, podczas powstania zniszczeniu uległy jego dorobek naukowy, a także zbiory, biblioteka i pracownia. W willi przy Prezydenckiej spłonął m.in. trzeci, gotowy już do druku tom „Historii filozofii". Na szczęście profesor zdołał go odtworzyć; został opublikowany na początku lat 50. Ocalił także wyrzucony do rynsztoka egzemplarz pracy o szczęściu, nad którym pracował przez całą okupację. Dowodził w nim, że: „Szczęście to zadowolenie z życia wziętego w całości […]. Szczęście jest wypadkową tego wszystkiego, co człowiek w życiu przeżył i posiadał. Stanowi niejako zamknięcie jego rachunków życiowych, jest – »bilansem« jego życia".

Pod wpływem powstania dopisał do tej pracy kilka zdań, w tym stwierdzenie, że poczucia szczęścia nie można nam odebrać, pozbawiając nas czegoś. Sama świadomość, że się coś miało, przeżyło, zdobyło kolejne doświadczenie, jest wystarczająca. Uważał także, że stanu tego zwykle nie osiąga się, dążąc do niego – przychodzi, gdy jesteśmy skupieni na czymś innym.

Zapytany, na ile o losach człowieka decyduje on sam, jego natura, upodobania, zdolności, a na ile przypadek, uważał, że trudno udzielić jednoznacznej odpowiedzi. Patrząc na swoje doświadczenia, doszedł do wniosku, że w jego życiu znacznie większą rolę odegrały historia i różnorodne zrządzenia losu niż jego wybory czy intencje […].

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

ŹRÓDŁA:

Tatarkiewiczowie T. i W., ***„Wspomnienia",*** *Warszawa 1979, s. 155; Tatarkiewicz W.,* ***„Dzienniki. Lata 1944–1960", t. 1,*** *Wydawnictwo Marek Derewiecki, Kęty 2019, s. 247; Tatarkiewicz W.,* ***„O szczęściu",*** *Wiedza–Zawód–Kultura, Kraków 1947, s. 470;* ***www.polskieradio.pl/39/156/artykul/1412320,wladyslaw-tatarkiewicz-nie-znosze-organicznie-rzeczy-niejasnych-i-metnych.***

Powyższy tekst jest fragmentem książki Agnieszki Cubały pt. „Zwyczajni '44" (wyd. Wielka Litera). Z tekstu usunięte zostały przypisy. Lead i śródtytuły pochodzą od redakcji.

eprasa.pl 88698580d6

TYGODNIK LISICKIEGO
DO RZECZY



Orle Pióro, wydawca tygodnika „Do Rzeczy", planuje debiut na giełdzie!

Credo redakcji tygodnika „Do Rzeczy"
przyjęte przez Redakcję i Wydawcę
Warszawa, dnia 21 stycznia 2013 roku

Tygodnik „Do Rzeczy" jest pismem konserwatywno-liberalnym.

Konserwatywnym, bo szanuje tradycję chrześcijańską, odwołuje się do sprawdzonych i trwałych zasad etycznych w życiu publicznym, przeciwstawia się eksperymentom społecznym, które podkopują i naruszają odziedziczony ład wartości, bo poważnie traktuje polską pamięć narodową, niepodległość państwa i jego podmiotowość. **Liberalnym,** bo popiera wolność gospodarczą, docenia przedsiębiorczość i twardo będzie stawał w obronie nieskrępowanej wolności słowa oraz swobody debaty publicznej.

Tygodnik chce być wyrazistym głosem w polskiej debacie publicznej. Głosem, który ma wpływ na opinię publiczną, który się słyszy i bierze pod uwagę. Ale ma to być głos niezależny, wolny od partyjnych uwikłań, reprezentujący interes ogółu. Najważniejszym punktem odniesienia dla publicystów i dziennikarzy tygodnika będą Czytelnicy. Zdobycie i zachowanie ich zaufania jest nadrzędnym celem redakcji.

Dlatego redakcja, wydawca i dziennikarze zamierzają przestrzegać Kodeksu Dobrych Praktyk, dokumentu opracowanego i przyjętego w 2005 r. przez Izbę Wydawców Prasy, jak również szanować inne kodeksy i wysokie standardy związane z zawodem dziennikarza – jak np. Karta Etyki Mediów (Rady Etyki Mediów), czy Kodeks Etyki Dziennikarskiej (Stowarzyszenia Dziennikarzy Polskich).

Rolą wydawcy i redaktora naczelnego jest dbanie o zaznajamianie z treścią niniejszego dokumentu i przyjętych zasad wszystkich dziennikarzy i pracowników tworzących zespół tygodnika „Do Rzeczy".

Michał M. Lisiecki
Wydawca

Paweł Lisicki
Redaktor Naczelny

eprasa.pl 88698580d6

Wolność to Konkret!

Przejdźmy DoRzeczy

ZAINWESTUJ

Zostaw swój e-mail na naszej stronie, aby otrzymywać najnowsze informacje i wspierać niezależne dziennikarstwo.

Odwiedź naszą stronę: www.dorzeczy.pl/gielda
lub wyślij swój adres e-mail, SMS/WhatsApp na numer:
+48 508 040 882, a my wyślemy Ci informację zwrotną.

Gwarancja Prywatności:
Twoje dane są bezpieczne. Nigdy nie udostępnimy Twojego adresu e-mail osobom trzecim.



Ilustracja: Wydanie numer 1 z 2013 r.

KORZYŚCI DLA CIEBIE:

Bądź na bieżąco:
Otrzymuj najnowsze informacje o naszym debiucie na giełdzie.

Dostęp do ekskluzywnych treści:
Zarezerwowanych tylko dla naszych subskrybentów.

Wspieraj wolne media:
Twoje zaangażowanie pomaga nam tworzyć wartościowe treści.

INWESTUJ I ZYSKAJ!

Już wkrótce więcej szczegółów inwestycyjnych od nas i naszego biura maklerskiego.

eprasa.pl 88698580d6



Aleksander Lesser „Młodość Bolesława Krzywoustego”
FOT. MUZEUM NARODOWE W WARSZAWIE

Wieki XI–XII / Wstawiennictwo św. Idziego

Cudowne narodziny syna Marsa



Leszek Lubicki

Władysław Herman i Judyta długo czekali na upragnionego potomka płci męskiej, co stało się sprawą wagi państwowej. Czy przyjście na świat Bolesława Krzywoustego było efektem interwencji św. Idziego?

Po wygnaniu z kraju króla Bolesława Śmiałego (Szczodrego) władzę nad Polską objął jego młodszy brat Władysław Herman. To w prostej linii prawnuk Bolesława Chrobrego, syn Kazimierza Odnowiciela, czyli Piast z krwi i kości. W tamtym momencie był to jedyny żyjący w Polsce przedstawiciel dynastii „panów przyrodzonych”. Jego wybór na władcę Polski był zatem bezdyskusyjny. Od razu pojawił się jednak problem. Książę Władysław był żonaty z kobietą nieznanego nam imienia, z którą miał syna Zbigniewa. Była to zapewne niewiasta z któregoś z polskich możnych rodów, być może Prawdziców z Wielkopolski. Jednak para nie zawarła ślubu pobłogosławionego w Kościele. Odbył się on w rycie słowiańskim i wówczas, choć uchodził za legalny związek, w kraju chrześcijańskim nie mógł być akceptowany w odniesieniu do jego władcy. I dlatego Gall Anonim zapisał w swojej kronice, że najstarszy syn Hermana narodził się z „nałożnicy”.

Wcześniej, gdy młodszy brat króla Bolesława Śmiałego siedział na uboczu w Płocku, nikomu to nie przeszkadzało. Wręcz przeciwnie – mogło to być dowodem, że nie miał on żadnych ambicji przywódczych. Teraz jednak, gdy został władcą Polski, taki stan rzeczy nie mógł być dłużej tolerowany. Żona władcy została odesłana z dworu, choć niektórzy uważają, że wcześniej zmarła. Należało zatem księcia ożenić ponownie, ale tym razem musiał to już być ślub dynastycz-

eprasa.pl 88698580d6

ny. Wybór padł na księżniczkę Judytę czeską z dynastii Przemyślidów.

Druga żona

Do „rozwodu" Hermana z pierwszą żoną w myśl prawa nie musiało dojść (o ile w ogóle doszło), ponieważ „możni czescy i polscy traktowali Zbigniewa jako członka dynastii […]. Dopiero bowiem w 1197 r. legat papieski Pietro Capuano nakazał jako obowiązek małżeństwa zawierane w Kościele, a Sobór Laterański IV w 1215 r. nakazał głoszenie zapowiedzi przedślubnych i zakazał zawierania małżeństw tajnych" (Teterycz-Puzio, 2019). Jak wspomniałem wyżej, być może owa pierwsza żona wcześniej zmarła. Wydaje się to bardziej prawdopodobne, gdyż „książę obejmując rządy w oparciu o rycerstwo, nie bardzo mógłby się odważyć na bądź co bądź afront, jakim dla jego własnych stronników musiałoby się stać oddalenie żony pochodzącej z ich kół" (Mitkowski, 1981).

Jakkolwiek było, „nowa żona" spowodowała nawiązanie poprawnych stosunków z Czechami. Księstwo czeskie było wówczas lennem niemieckim, co równocześnie wpłynęło na poprawę stosunków z samym cesarzem Henrykiem IV, którego poprzednik Hermana, król Bolesław II, mówiąc delikatnie, nie był zwolennikiem. „Była to duża zmiana w politycznej sytuacji Polski. Cesarz z pewnością potrafił wykorzystać osłabienie państwa piastowskiego po wygnaniu Bolesława Szczodrego. Można się tylko domyślać, że jednym z ustępstw Hermana była rezygnacja z korony królewskiej" (Korczak, „Leksykon", 1999). Innymi słowy – jak zauważył wybitny mediewista Gerard Labuda – było to „całkowite przejście Polski z obozu gregoriańskiego do cesarskiego".

Ślub Władysława Hermana z Judytą czeską miał miejsce ok. 1080 r. Nie wiemy, jak wyglądało wesele młodej pary. Najlepiej poinformowany o tych czasach Gall Anonim nic nam o tym nie przekazał. Zanotował natomiast rzecz ważną. Przez kilka lat nie mogli oni doczekać się męskiego potomka. „Przyszli rodzice chłopca nie mieli mianowicie jeszcze wtedy potomstwa; gorliwie oddawali się postom i modlitwom, rozdając hojne jałmużny biednym, ażeby Bóg wszechmogący – który bezpłodnym matkom pozwala cieszyć się synami, który Zachariaszowi dał Chrzciciela i otworzył łono Sary, aby potomstwem Abrahamowym ubłogosławić wszystkie narody – dał im takiego syna i dziedzica, który by Boga się bał, wywyższał Kościół święty, czynił sprawiedliwość i rządził królestwem polskim ku chwale Bożej i szczęściu narodu".



Kościół w Saint-Gilles-du-Gard

FOT. COMMONS WIKIMEDIA, JMALIK

Niepodzielny władca

Tutaj Anonim dotknął bardzo ważnej sprawy. Hermanowi bardzo zależało na synu ze związku błogosławionego, dziedzicu, który by „rządził królestwem polskim". Jednak na wygnaniu na Węgrzech pozostawał wraz z ojcem królewicz Mieszko Bolesławowic. „Ów Mieszko stanowił dla Władysława Hermana stałe zagrożenie, ponieważ mógł w każdej chwili wysunąć pretensje do tronu krakowskiego. Miał za sobą na pewno część politycznie aktywnego społeczeństwa oraz pochodzenie – jego ojciec był królem i niepodzielnym władcą całej Polski. W razie bezpotomnej śmierci Hermana Mieszko stałby się najsilniejszym kandydatem do tronu polskiego" (Marzec, „Leksykon", 1999). Mówiąc wprost, Mieszko był jedynym prawym dziedzicem Bolesława Śmiałego i Korony Polskiej. Pierworodny Zbigniew urodzony z „nałożnicy" w takim układzie miałby małe szanse na tron. Gall mówi wprost, że tylko „prawy syn" będzie mógł dziedziczyć po ojcu.

Jak wiemy, Mieszko Bolesławowic został po śmierci Śmiałego i narodzinach Krzywoustego sprowadzony z Węgier do Polski przez stryja, ożeniony nawet, a później otruty przez „nieznanych sprawców". Owi sprawcy, czyli ci, którzy wrzucili do kubka królewicza truciznę, tak naprawdę nas nie interesują. Natomiast możemy być pewni, kto taki rozkaz wydał (kto na jego śmierci skorzystał). Ten skrytobójczy czyn był najbardziej korzystny dla księcia Hermana i jego wszechwładnego wojewody Sieciecha. „Dopiero powrót do kraju syna Bolesława Szczodrego i narodziny Bolesława Krzywoustego skomplikowały sytuację i mogły w przyszłości zagrozić pozycji nie tylko palatyna, ale również całej popierającej go grupy. Przybyły z Węgier Mieszko Bolesławowic musiał mieć grono swoich zwolenników, którzy w sprzyjających okolicznościach mogli przypomnieć jego prawa do tronu" (Szczur, 2002). Tym bardziej że być może sam książę Władysław, a na pewno Sieciech ze swoimi poplecznikami stali za wygnaniem króla. Ci drudzy żyli zapewne w strachu, że syn zacznie się mścić za krzywdę ojca, co było do przewidzenia, ponieważ tak nakazywało stare prawo rodowe. Tym bardziej że – jak pisze Gall Anonim – królewicz był młodzieńcem, który „tak właściwie i tak rozumnie postępował, tak przestrzegał starego obyczaju przodków, że cały kraj z niezwykłym uczuciem upodobał go sobie".

Dodajmy tylko, że zaraz po tym smutnym wydarzeniu umarła również jego matka, której imienia kronikarz nie raczył nam podać. Czy przyśpieszono jej śmierć czy może jednak zabiła ją rozpacz po stracie syna, którą okrutnie przeżyła? Gall tak to opisywał: „Na koniec biedna matka, gdy w sarkofagu składano

eprasa.pl 88698580d6



Mistrz z Saint-Gilles „Święty Idzi z łanią”
FOT. COMMONS WIKIMEDIA, NATIONAL GALLERY

szczątki nieodżałowanego chłopca, przez godzinę leżała jakby umarła, bez tchu i bez życia, i dopiero po egzekwiach biskupi ocucili ją wachlarzami i zimną wodą”. O wygnaniu z kraju prawowitego dziedzica Korony Polskiej, drugiego wielkiego Bolesława, wraz z jedynym dziedzicem długo by rozprawiać. Na pewno jedyną przyczyną nie było skazanie na obcięcie członków i w konsekwencji śmierć biskupa krakowskiego Stanisława, który w 1253 r. został kanonizowany. Mistrz Wincenty zwany Kadłubkiem, jak przystało na osobę duchowną i czasy, w których pisał swoją kronikę, całą winę zrzucił na opatrzność. „Mieszko zginął otruty w pierwszym rozkwicie męskości. Tak to cały ród Bolesława poniósł karę za Świętego Stanisława, gdyż tak jak żaden dobry uczynek nie pozostaje bez nagrody, tak i żaden zły bez kary”. Jak ujął to Paweł Jasienica, ze śmiercią młodego Mieszka ze starszej linii piastowskiej „zeszła z tronu i ze świata pierworodna, królewska linia Piastów”.

Modły o Bolesława

Mijają lata, a Herman z Judytą nie mogą doczekać się dziedzica. Posty, modlitwy, rozdawane jałmużny nic nie pomagają. Zjawia się u pary książęcej bp Franko, który według Anonima składa im taką oto propozycję: „Jeżeli z całą pobożnością wypełnicie, co wam powiem, to niewątpliwie pragnienie wasze się spełni”. Oni oczywiście się godzą. Biskup opowiada, że w Prowansji znajduje się w Saint-Gilles klasztor, gdzie pobożni mnisi czczą św. Idziego, który ma tak wielkie zasługi u Boga, „że każdy, kto pobożnie mu zaufa i czci jego pamięć, jeżeli poprosi go o coś, z pewnością to otrzyma. Każcie więc zrobić posąg ze złota wielkości dziecka, przygotujcie królewskie dary i co prędzej wyślijcie je do Świętego Idziego”. Para książęca natychmiast zarządza wykonanie owego posążka chłopca oraz przygotowuje różne dary w postaci kielichów ze złota i srebra oraz szaty liturgiczne. Do podarunków tych zostaje dołączony list. „Władysław, z łaski Boga książę Polski, i Judyta, jego prawowita małżonka, O[dilonowi], czcigodnemu opatowi św. Idziego, i wszystkim braciom [przesyłają] pokorne wyrazy głębokiej czci. Dowiedziawszy się, że św. Idzi góruje nad innymi godnością szczególniejszej pobożności i że ochotnie wspomaga [wiernych] mocą z nieba sobie daną, ofiarujemy mu pobożnie w intencji [otrzymania] potomstwa nasze dary i pokornie błagamy o wasze święte modlitwy w intencji naszej prośby”.

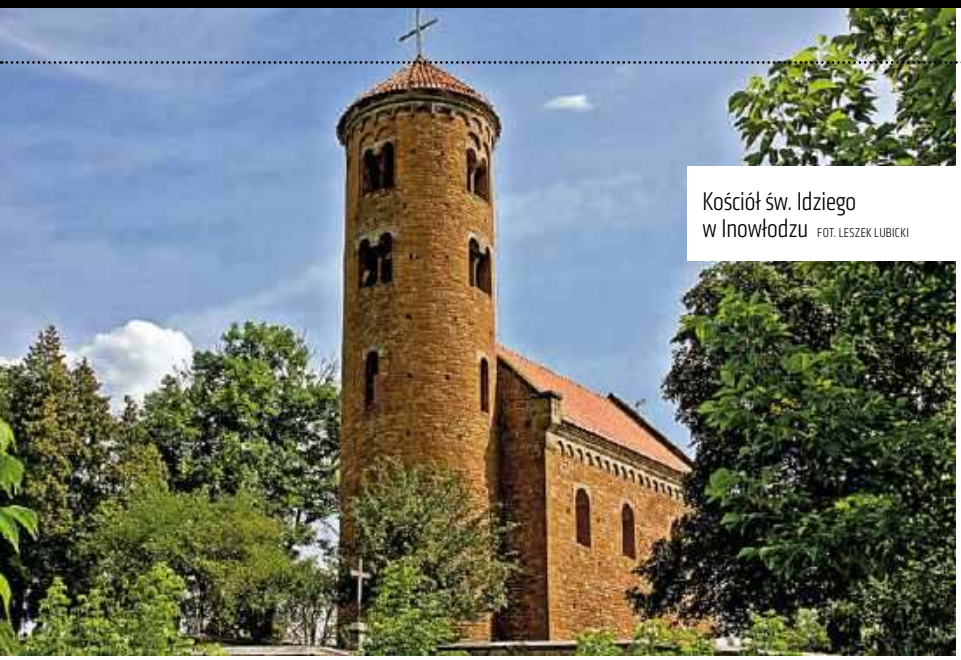


Pomnik Władysława Hermana i Bolesława Krzywoustego w Inowłodzu
FOT. LESZEK LUBICKI

Poselstwo polskie wyruszyło do klasztoru zapewne pod koniec 1084 r. Zakonnicy chętnie przyjęli przywiezione wota, sami odwdzięczając się darami, i zaraz odprawili trzydniowy post, wznosząc modły do św. Idziego. „Zachowaj dziecię ze złota, daj żywe z matki żywota”. I tak się staje, ponieważ jeszcze poselstwo do Płocka nie wróciło, „a już mnisi przepowiadali, że pani ich [właśnie] poczęła”. Bolesław trzeci, nazwany później Krzywoustym, rodzi się 2 września 1085 r. Niestety, jego matka umiera kilka miesięcy po urodzeniu dziecka. Tak jak Mars, u Rzymian łączony z wojną, Bolesław – pisze Gall – „marsowe chłopię, wzrastał w siły i lata, i nie oddawał się próżnemu zbytkowi, jak to zwykli czynić chłopcy w jego wieku, lecz gdziekolwiek zasłyszał, że wróg grabi, tam natychmiast […] zapędzał się do kraju nieprzyjacielskiego i spaliwszy wsie, przyprowadzał jeńców i łupy”.

Od najmłodszych lat wykazywał się niezwykłą odwagą. Anonim opisuje pewien jego dziecięcy wyczyn. Wędrując z kilkoma towarzyszami po lesie, spotkał olbrzymiego niedźwiedzia, który go zaatakował. Rozkazał towarzyszom się wycofać i sam przebił go oszczepem. Od młodych lat ciągnęło go do walki z wrogami Polski. Taką chwilę uwiecznił malarz na ilustrującym tę opowieść obrazie. Widzimy na nim odwróconego do nas tyłem klęczącego młodego chłopca. To Bolesław, który błaga siedzącego na tronie ojca Władysława, aby zezwolił mu wziąć udział w wyprawie wojennej przeciwko Morawianom. Widzimy tu także kolejną, „idealnie piękną” żonę Hermana, Judytę Marię, która trzyma w ręku tarczę, a także dumnie wypinającego pierś wojewodę Sieciecha, z którym Bolesław wyruszył na wyprawę. Pisał o tym malarskim dziele pierwszy biograf artysty. Według niego urok tej kompozycji „pod względem harmonijnego układu i zastosowania wszelkich wymagań sztu-

eprasa.pl 88698580d6



Kościół św. Idziego w Inowłodzu FOT. LESZEK LUBICKI

ki akademickiej, należy do najstaranniejszych utworów Lessera [...] i wynoszą ten obraz wysoko ponad utwory wszystkich poprzedników i wielu następców Lessera na polu malarstwa historycznego polskiego" (Struve, 1885).

Podziękowania św. Idziemu

W miejscowości Inowłódz (województwo łódzkie) na wzgórzu usytuowany jest niewielki kościół wybudowany w stylu romańskim. Oczywiście – jak prawie wszystkie zabytki z tego okresu polskich dziejów – przez wieki popadał w ruinę. W XIX stuleciu był już całkowicie opuszczony i zrujnowany. W 1936 r. na polecenie prezydenta Rzeczypospolitej Ignacego Mościckiego podjęto trud odbudowy zniszczonej świątyni. Przez kolejne dwa lata zostały dobudowane zniszczone ściany oraz apsyda, zrekonstruowano górną część wieży z biforiami i koroną murów z fryzem arkadowym. Położono także nową ceramiczną posadzkę na wzór posadzki XIII-wiecznej odnalezionej w pobliżu kościoła. We wnętrzu świątyni znajduje się tablica, na której możemy przeczytać, że „kościół ten ufundowany w XI wieku przez Władysława Hermana wielokrotnie w ciągu wieków niszczony odnowiono w R.P. 1938 na życzenie Prezydenta Rzeczypospolitej Polskiej Ignacego Mościckiego i jego małżonki Marii".

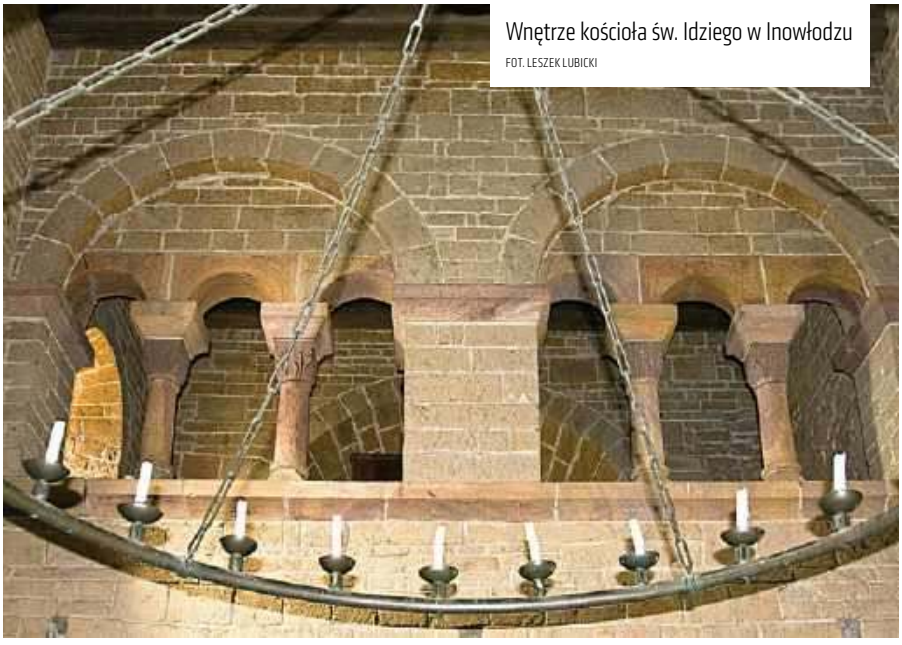
Czy jednak ufundował ową świątynię Władysław Herman jako podziękowanie św. Idziemu za doczekanie się męskiego dziedzica? Gal Anonim nic o tym nie wspomina. Część badaczy uważa, że to jednak raczej syn, a nie ojciec, był fundatorem tej świątyni, a jej powstanie datuje się na pierwszą połowę XII w. To właśnie w czasach rządów Bolesława III następuje w Polsce rozkwit kultu św. Idziego. Zatem i okres fundacji tego kościoła książęcego może przypadać na ten czas. Wówczas to „wznoszono budowle jednonawowe, z emporą [miejscem dla władcy – przyp. red.] w partii zachodniej i bardzo często z wieżą, zapewniającą komunikację pionową i pełniącą funkcję dzwonnicy" (Świechowski, 1990). A jak czytamy na stronie internetowej kościoła: „Inną możliwością jest, że fundatorem i budowniczym kościoła był sam Bolesław Krzywousty. Szerzenie kultu św. Idziego w Polsce i związane z tym promowanie historii o swoim »cudownym narodzeniu« przez wstawiennictwo tegoż świętego miało posłużyć Krzywoustemu do umocnienia swego autorytetu i usprawiedliwienia swego prawa do tronu Polski po krwawej walce o ten tron ze swym bratem Zbigniewem".

Niemniej legenda, jakoby książę Władysław Herman za wstawiennictwem św. Idziego doczekał się syna, jest dalej kultywowana, o czym możemy przeczytać zarówno przed kościołem na dwóch przypominających księgę pniach drzewa, jak i w jego wnętrzu. Poniżej świątyni o tym „cudzie" przypomina nam także pomnik ojca i syna, piastowskich książąt Polski.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

WYBRANA LITERATURA:

Mitkowski J., ***„Bolesław Krzywousty",*** *Warszawa 1981;* ***„Piastowie. Leksykon biograficzny",*** *praca zbiorowa, Kraków 1999; Pietras Z.S.,* ***„Bolesław Krzywousty",*** *Katowice 1982; Struve H.,* ***„Aleksander Lesser i jego rozwój artystyczny w historyi malarstwa polskiego",*** *Warszawa 1885; Szczur S.,* ***„Historia Polski średniowiecznej",*** *Kraków 2002; Świechowski Z.,* ***„Sztuka romańska w Polsce",*** *Warszawa 1990; Teterycz-Puzio A.,* ***„Zamachy na Piastów,*** *Poznań 2019.*



Wnętrze kościoła św. Idziego w Inowłodzu FOT. LESZEK LUBICKI

eprasa.pl 88698580d6



Panorama Budziszyna

FOT. COMMONS WIKIMEDIA, BRÜCK & SOHN KUNSTVERLAG

1945 r. / Serbołużyczanie walczą o autonomię

Stalinowskie Łużyce



Mikołaj Iwanow

W Moskwie z zainteresowaniem przyjęto informacje o istnieniu tego małego narodu słowiańskiego. Sowieci ochoczo zaprosili przedstawicieli Serbołużyczan do udziału w światowym ruchu panslowiańskim, ale z wykonaniem ich żądań politycznych się nie spieszyli...

Lato 1945 r. Na biurko marszałka Georgija Żukowa, głównodowodzącego sowieckimi armiami na terenie pokonanych Niemiec, trafia dziwny dokument. Jego treść przedstawia „najważniejszemu żołnierzowi Stalina" problem zupełnie mu nieznany. Otóż jacyś Słowianie łużyccy chcą utworzyć w sowieckiej strefie okupacyjnej niepodległe państwo. Gdyby jednak marszałek uznał propozycję za zbyt wygórowaną, jak pisali autorzy dokumentu, w grę wchodziła również szeroka autonomia.

Sprawa dotyczyła Serbów łużyckich, niewielkiego narodu słowiańskiego (nazywanego również Sorbami), zamieszkałego w południowej Saksonii. W dokumencie przedstawionym Żukowowi znalazły się inne zdumiewające stwierdzenia: „Wyrażając wolę narodu serbołużyckiego, Serbołużycka Rada Ludowa ogłasza oddzielenie Górnych i Dolnych Łużyc od Niemiec i przyłączenie ich do Czechosłowacji pod osłoną ZSRS". Wkrótce stało się jasne, że ta akcja działaczy serbołużyckich nie ograniczała się jedynie do poinformowania sowieckiej administracji okupacyjnej o dążeniach separatystycznych. Oprócz Żukowa tekst memorandum otrzymali również Stalin i Komitet Wszechsłowiański – organizacja powstała w Moskwie w sierpniu 1941 r. Na jego czele postawiono gen. Andrieja Gundarewa, znanego z propagowania idei jedności wszystkich Słowian wobec agresji niemieckiej. Do nowo powołanego komitetu włączono przedstawicieli Ukraińców, Białorusinów, Polaków, Czechów, Słowaków, Serbów, Chorwatów, Słoweńców, Macedończyków, Bułgarów, a także właśnie Serbołużyczan.

Słowiańscy statyści

W 1941 r. w Moskwie prawie nikt nie zastanawiał się nad problemem niepodległościowych ambicji Sorbów, uważano ich jedynie za swego rodzaju statystów

eprasa.pl 88698580d6



Członkowie sowieckiego Komitetu Wszechsłowiańskiego FOT. DOMENA PUBLICZNA

w wojnie ideologicznej z nazizmem.

Sprawa Sorbów na poważnie pojawiła się na radarze Moskwy dopiero po zwycięstwie nad III Rzeszą, kiedy do Żukowa wpłynęło memorandum Serbołużyckiej Rady Ludowej. Memorandum wywołało u podwładnych marszałka niemałe zaskoczenie. Nikt w jego otoczeniu nie wiedział, kim są ci Serbołużyczanie, gdzie mieszkają ani czym dokładnie się zajmują. Co gorsza, nie było również żadnych wskazówek z Moskwy na ten temat.

Autorzy memorandum proponowali przekazanie tzw. Serbołużyckiemu Rejonowi Autonomicznemu prawie 10 proc. sowieckiej strefy okupacyjnej w Niemczech (ok. 8 tys. km kw.). Na dołączonej mapie autorzy przedstawili swoje wyobrażenie historycznej granicy Łużyc, która otaczała jeszcze większy obszar. Serbołużyczanie rościli sobie pretensje również do ok. 2 tys. km kw. po drugiej stronie rzeki Nysy, włączonych zgodnie z ustaleniami pokojowymi w skład Polski. Jako stolicę rejonu autonomicznego proponowano Cottbus (Chociebuż). Całość miała funkcjonować w ramach Czechosłowacji. „My, Serbołużyczanie – czytamy w memorandum – najmniejszy naród słowiański, który na przestrzeni wieków cierpiał pod niemieckim uciskiem, który cierpliwie czekał na przyjście zwycięskiej Armii Czerwonej, wierzymy twardo, że genialny Generalissimus Stalin, który wyzwolił wszystkich Słowian, da i naszemu narodowi długo oczekiwaną pełną wolność w granicach Czechosłowacji pod patronatem ZSRS".

Przewodniczący Serbołużyckiej Rady Ludowej w Pradze Jan Czyż nieprzypadkowo zwrócił się z prośbą o uznanie praw narodu serbołużyckiego także do Komitetu Wszechsłowiańskiego w Moskwie. Oczywiście frazesy o jedności i przyjaźni wszystkich Słowian były jedynie ideologiczną fasadą tej organizacji. W rzeczywistości Stalin pokładał w tym komitecie wielkie nadzieje w kwestii sowietyzacji krajów słowiańskich. Wymowną ilustracją tych nadziei może być przemówienie Stalina z 28 marca 1945 r., wygłoszone podczas wizyty na Kremlu prezydenta Czechosłowacji Edwarda Beneša. Stalin zaproponował toast za „nowych słowianofilów", którzy popierają ideę sojuszu niezawisłych państw słowiańskich. Według Stalina, zarówna pierwsza, jak i druga wojna światowa rozpoczęły się i trwały na „plecach narodów słowiańskich. Teraz, aby nie pozwolić Niemcom rozpętać nową wojnę, potrzebny jest sojusz narodów słowiańskich".

Ta kremlowska polityka „zjednoczenia wszystkich Słowian" nie pozostała bez echa w środowisku działaczy serbołużyckich. Już latem 1945 r. ich starania o uzyskanie autonomii dla własnego narodu koncentrują się wokół Komitetu Wszechsłowiańskiego w Moskwie. Do jego siedziby wysyłane są coraz to nowsze memoranda. W liście do gen. Gundarewa z 10 czerwca 1945 r. Jan Czyż pisał: „Zwracamy się do Pana generała, jako przewodniczącego Komitetu Wszechsłowiańskiego w Moskwie, z prośbą o pomóc Serbołużyczanom i skierowanie przyjacielskiego listu do Marszałka Żukowa w Berlinie (albo zwrócenie się do niego w Moskwie) w celu spełnienia niecierpiących zwłoki żądań serbołużyckiej ludności:

1. Aby jeńcy Serbołużyczanie zostali zwolnieni z obozów jenieckich;

2. aby w Łużycach Armia Czerwona rozróżniała Serbołużyczan od Niemców i wzięła Serbołużyczan pod swą opiekę;

3. aby Serbołużyczanom pozwolono organizować własne narodowe rady wiejskie i miejskie;

4. aby Serbołużyczanie mieli prawo organizować zebrania i manifestacje;

5. aby można było wydawać własne serbołużyckie gazety, tak jak to było przed 1937 rokiem, aby



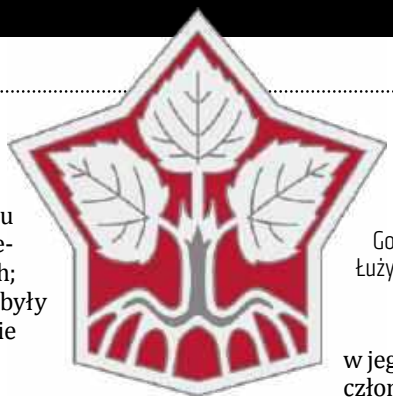
Mapa Łużyc wydana w 1945 r. FOT. COMMONS WIKIMEDIA

eprasa.pl 88698580d6

przekazano w tym celu odpowiednią ilość papieru i maszyn drukarskich;

6. aby jak najprędzej były otwarte ludowe, miejskie szkoły i gimnazja;

7. aby pozwolono na utworzenie kursów językowych w celu masowej nauki języków słowiańskich i edukacji powszechnej, aby naród serbołużycki miał prawdziwe informacje o swoim wielkim bracie – narodzie rosyjskim, który go wyzwolił".



Godło Domowiny, organizacji Łużyczan FOT. COMMONS WIKIMEDIA, DOMOWINA.DE

Początkowy entuzjazm

W Moskwie z zainteresowaniem przyjęto informacje o istnieniu tego małego narodu słowiańskiego. Sowieci ochoczo zaprosili przedstawicieli Serbołużyczan do udziału w światowym ruchu panslowiańskim, ale z wykonaniem ich żądań politycznych się nie spieszyli. Komitet, mimo propagandowych haseł o niezależności tej instytucji, był placówką ściśle podporządkowaną partii komunistycznej.

Swoistym apogeum działalności komitetu i zarazem triumfem idei słowiańskiej jedności był tzw. Kongres Wszechsłowiański, który odbył się w Belgradzie w grudniu 1946 r. Obok przedstawicieli wielkich słowiańskich narodów udział w jego pracach wzięli także członkowie prosowieckich grup diaspory słowiańskiej z USA, Kanady, Australii, Nowej Zelandii, a także przedstawiciele najmniejszego narodu słowiańskiego – Serbołużyczan.

W Moskwie w stosunku do serbołużyckich postulatów początkowo wybrano taktykę wyczekiwania. Wkrótce podjęto decyzję o udzieleniu jedynie ograniczonego poparcia dla ruchu serbołużyckiego i pozostawieniu tej ludności w ramach marionetkowego państwa niemieckiego. O przyczynach tej decyzji wiele mówią niektóre dokumenty z sowieckich archiwów, m.in. sprawozdanie Sergiusza Pilipczuka, specjalnego wysłannika Komitetu Wszechsłowiańskiego.

Jest to dokument, który prawdopodobnie trafił na biurka najwyższego sowieckiego kierownictwa. Jedno z głównych zadań, które otrzymał Pilipczuk w Moskwie, polegało na ustaleniu liczebności narodu serbołużyckiego. Miało on pomóc Moskwie odpowiedzieć na pytanie, czy liczba Serbołużyczan jest dostatecznie poważna, aby móc rozmawiać o autonomii.

„We wrześniu – pisze Pilipczuk – w »Domowinie« [związek zrzeszający wiele organizacji serbołużyckich – przyp. red.] było 30 tys. członków, później w związku z reformą rolną »Domowina« znacznie powiększyła się. Problem polega na tym, że na wsi obszarnicy i wielcy posiadacze ziemi to Niemcy. Większość Serbów jest biedniejsza od Niemców. W trakcie przeprowadzenia reformy rolnej nie znalazło się ani jednego Serba, któremu skonfiskowano ziemię. Reforma przewidywała konfiskatę wszystkich majątków powyżej 100 ha ziemi, a także ziemi aktywnych faszystów. Ziemię otrzymali przeważnie Serbowie. Wśród Niemców, którzy otrzymali ziemię, od 1/3 do ½ to są przesiedleńcy z terytoriów przekazanych Polsce i Czechosłowacji. W związku z przekazaniem ziemi Niemcom na wsi wzrosła nieprzyjaźń między chłopami Serbami i Niemcami".

Z tekstu sprawozdania Pilipczuka, które jest datowane na 23 listopada 1945 r., wynika, że przez jakiś czas znajdował się on w środowisku Serbołużyczan, spotykał się z ich liderami politycznymi, przeprowadzał rozmowy z miejscowymi ludźmi, przyglądał się ich stylowi życia i stosunkom z niemiecką większością.

„15 listopada w »Domowinie« zarejestrowano 50 tys. członków – pisze Pilipczuk. – W ciągu dwóch miesięcy doszło do powiększenia o 20 tys. nowych członków. Żadna z partii politycznych na tamtym terenie nie posiada tylu członków. »Domowina« składa się z »żupów« (na czele z żupanem), który prowadzi prace na terenie kilku wsi. Na wsiach działają zaufani ludzie żupanów, z których składa się rada żupanów. Na czele »Domowiny« znajduje się 15-osobowa Rada. Rada ze swego składu wybiera 5-osobowe Prezydium. W skład Prezydium wchodzą: 2 komunistów, 1 socjaldemokrata, 1 chrześcijański demokrata i 1 bezpartyjny. Przewodniczący Pawoł Nedo jest komunistą. W czasach faszystowskich przetrzymywany był w obozie koncentracyjnym. Wszyscy inni członkowie prezydium również za czasów faszystowskich byli represjonowani i więzieni".

Notatka służbowa Pilipczuka sporządzona była w formie listu do członka Komitetu Wszechsłowiańskiego, prof. Fiodora Konstantinowa, czołowego sowieckiego filozofa partyjnego, późniejszego kierownika wydziału ideologii KC



Ślub Łużyczan, lata 30. XX w. FOT. COMMONS WIKIMEDIA, DAS BUNDESARCHIV

eprasa.pl 88698580d6



Dwujęzyczna tablica na Łużycach
FOT. COMMONS WIKIMEDIA, RENÉ METTKE

KPZS, i przypomina raczej raport pisany w duchu NKWD. Pilipczuk np. sporo uwagi poświęca nakreśleniu stosunków „Domowiny" z Czechami i czechosłowackim rządem. „»Domowina« – pisze – bardzo ściśle jest związana z czeskimi kołami rządowymi. Związki Beneša z Serbami w czasie powojennej konferencji pokojowej są dobrze ci znane. Na temat tych związków Czechów z Serbami sporo może powiedzieć generał Gundarow, który spotykał się z przedstawicielami Serbołużyczan w Pradze i prowadził rozmowy z Czechami o Serbach Łużyckich. Praga jest drugim po Bautzen [Budziszynie – przyp. red.] centrum Serbołużyczan. Tam funkcjonuje specjalny Komitet Serbołużycki, który bardzo ściśle jest związany z »Domowiną«. Serbowie utrzymują tajne związki z Czechami. Zanotowano, że do członka landrata Bautzen Serba Jana Czyża przyjeżdżali oficerowie czescy, którzy przekraczają granice bez pozwolenia. Do Pragi również bez pozwolenia władz okupacyjnych jeżdżą liderzy »Domowiny«. Teraz znajduje się tam ksiądz Juri Czyż. »Memorandum Serbołużyczan« i inne dokumenty drukowano w Pradze. Obecnie Serbołużyczanie mają drukarnie 30 km od granicy".

Związki z Czechami, jak widzimy, mogły być tą przeszkodą, która nie pozwoliła liderom Serbołużyczan otrzymać zgodę Moskwy na własną autonomię kulturalną i polityczną. Edward Beneš i jego rząd, mimo ugodowej postawy wobec Moskwy, nigdy na Kremlu nie byli rozpatrywani jako prawdziwi sojusznicy. Stalin i jego otoczenie tylko czekali na odpowiedni moment, aby otwarcie poprzeć komunistów czechosłowackich i pomóc im w uzyskaniu pełni władzy w Czechosłowacji. Właśnie dlatego wszystkie apele Serbołużyczan o stworzenie własnej autonomii narodowej w granicach państwa czechosłowackiego i w oparciu o Pragę przyjmowane były w Moskwie z podejrzliwością.

Kluczowe szacunki

Kierownictwa Komitetu Serbołużyckiego w Pradze oraz Domowiny nie mogły nie rozumieć, że klucz od rozwiązania problemu serbołużyckiego znajduje się w Moskwie. Oto co pisał na ten temat Pilipczuk: „Dr Jan Czyż niedawno przyznał się, że Serbołużyczanie nie mogą liczyć na sukces jedynie przy poparciu Czechów. Dali im to do zrozumienia sami Czesi. Czesi powiedzieli, że mają za dużo własnych konfliktów regionalnych: Sudety, przygraniczne rejony z Węgrami, Cieszyn. Dlatego oni nie są w stanie promować korzystnego dla Serbołużyczan rozwiązania ich problemów".

Kwestia liczebności Serbołużyczan miała duże znaczenie dla decyzji w sprawie ich dalszego losu. Sowieckie władze okupacyjne, na podstawie dokumentów Domowiny, szacowały ich populację na poziomie 200 tys. osób. Natomiast szacunki Komitetu Wszechsłowiańskiego w Moskwie były bardziej skromne – ok. 100 tys.

Pilipczuk w swej notatce na temat ruchu serbołużyckiego na terenie sowieckiej strefy okupacyjnej w Niemczech sporo uwagi poświęcił działalności aktywistów tego ruchu, którzy w okresie nazizmu poddawani byli wzmożonej germanizacji i prześladowaniom ze strony władz.

Naturalnie wśród Serbołużyczan tuż po wojnie bardzo rozpowszechnionym zjawiskiem była rusofilia. Wielu działaczy właśnie w ścisłej współpracy z władzami okupacyjnymi widziało szanse na odrodzenie narodowe Serbołużyczan. Ale czasem ich rusofilstwo przyjmowało dziwny formy, które zaskakiwały nawet same władze okupacyjne. Chodziło przede wszystkim o pomysł odrodzenia narodowego Serbołużyczan w oparciu o język... rosyjski. Powszechna nauka tego języka i używanie go w życiu codziennym miały zrekompensować słabą znajomość własnego języka. Pilipczuk tak o tym pisał: „Serbołużyczanie, zwłaszcza kierownik domu edukacji ludowej w okręgu Bautzen, [Pawoł] Nedo, popiera idee powszechnej nauki języka rosyjskiego".

Druga połowa lat 40. to początek zimnej wojny, także na polu propagandowym. Ważnym jej elementem było utworzenie w sowieckiej strefie okupacyjnej niemieckiego państwa socjalistycznego – Niemieckiej Republiki Demokratycznej. Popieranie postulatów liderów Serbołużyczan w kwestii autonomii mogło zaś jedynie osłabić NRD. Dlatego w Moskwie zdecydowano się rozpatrywać problem serbołużycki jako wewnętrzną kwestię swego niemieckiego satelity.

Wśród przyczyn, dla których Moskwa nie zdecydowała się na uwzględnienie postulatów serbołużyckich, była jeszcze kwestia bezpieczeństwa. W memorandum z 2 listopada 1945 r. adresowanym do Komitetu Wszechsłowiańskiego czytamy: „Serbołużyczanie już niejednokrotnie wypowiadali się za zjednoczeniem wszystkich ziem łużyckich i za odłączeniem ich od imperium niemieckiego. W związku z tym, że Łużyce historycznie wchodziły w skład ziem czeskich, że pod względem swego języka, kultury i gospodarki Łużyce bardzo ściśle związane są z Czechami, postulujemy przyłączenie Łużyc do Republiki Czeskiej. Jednocześnie prosimy o wprowadzenie na nasze ziemie wojsk czeskich".

Z tym ostatnim postulatem liderzy Serbołużyczan mocno przesadzili. Zwycięski Związek Sowiecki i jego potężna Armia Czerwona nie mieli zamiaru dzielić się zwycięstwem z kimkolwiek, tym bardziej z Czechami.

W Pradze, jak wiemy, w tym momencie u władzy byli niekomunistyczny rząd i niekomunistyczny prezydent. Nie było pewności, że uda się w krótkim czasie przyłączyć Czechosłowację do powstającego obozu socjalistycznego. Natomiast marionetkowy reżim komunistyczny w sowieckiej strefie okupacyjnej w Niemczech był już zagwarantowany. Stalin najzwyczajniej w świecie nie chciał stracić totalnej kontroli nad niemałą grupą swoich poddanych. I dlatego Kreml postanowił pozostawić Serbołużyczan w ramach Niemiec wschodnich i dać komunistom niemieckim prawo do samodzielnego uregulowania problemu serbołużyckiego.

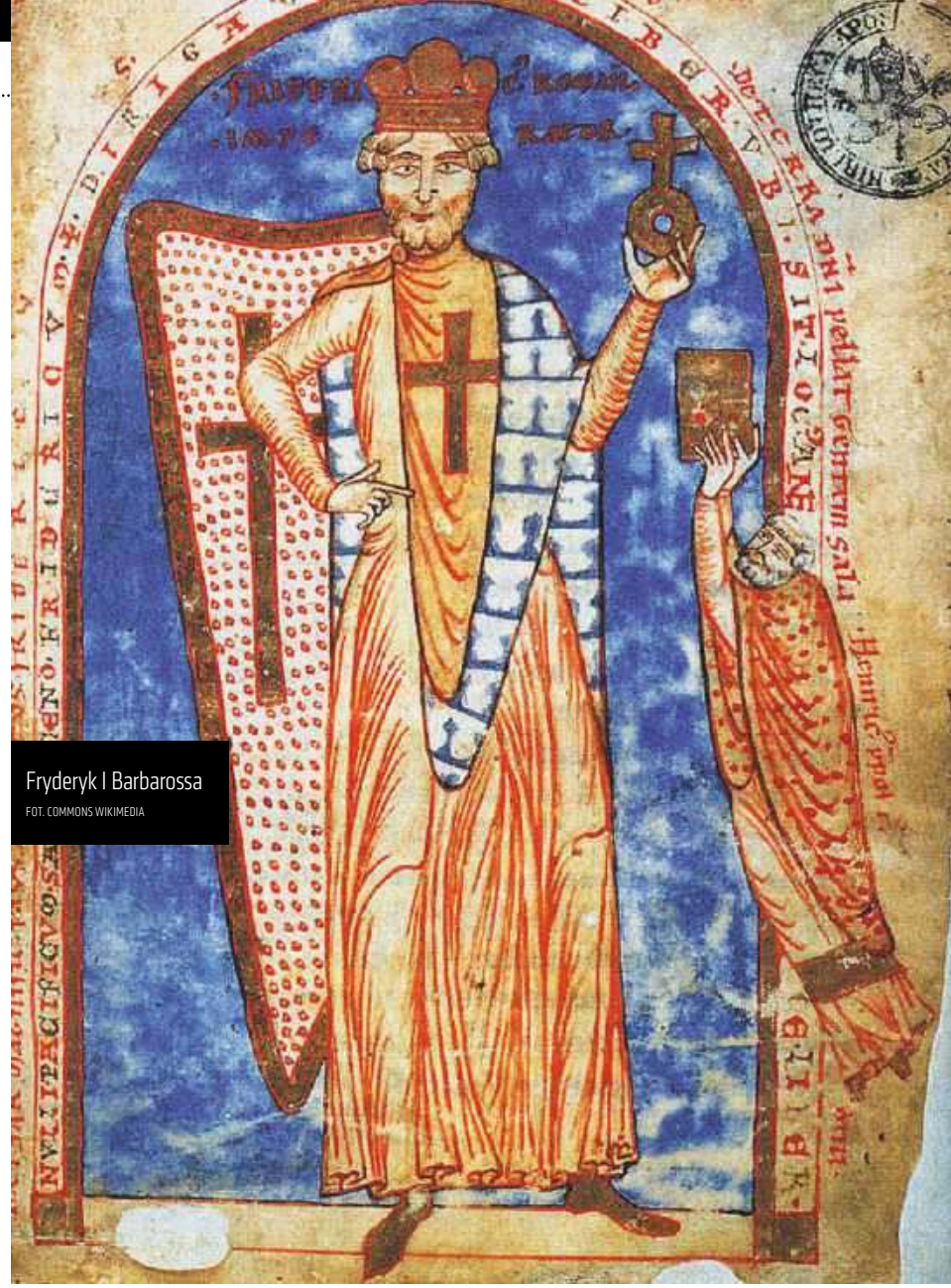
© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 88698580d6



Sławomir Koper

Barbarossa był ostatnim niemieckim władcą, który usiłował zrealizować wizję uniwersalnego cesarstwa w starym stylu. Dramatyczne okoliczności jego śmierci dodały mocy jego legendzie



Fryderyk I Barbarossa

FOT. COMMONS WIKIMEDIA

Królestwo Niemiec było wprawdzie w średniowieczu największym państwem Europy Zachodniej, ale nigdy nie było monolitem. Składało się bowiem z wielu księstw, samodzielnych miast i posiadłości kościelnych, a tron królestwa był elekcyjny. Władca był wybierany przez najpotężniejszych feudałów świeckich i kościelnych, co znacznie ograniczało jego uprawnienia. Sprawę komplikowało jeszcze to, że od 962 r. królowie Niemiec nosili tytuł cesarzy rzymskich, chociaż nie wszyscy władcy dostąpili zaszczytu oddzielnej koronacji. Wprawdzie tron niemiecki był elekcyjny, ale najczęściej władcę wybierano z grona potomków lub krewnych poprzedniego króla. Dzięki temu nad Renem i Tybrem panowali Ludolfingowie, a po ich wygaśnięciu dynastia salicka. W 1138 r. koronę uzyskał książę Szwabii, Konrad III z rodu Hohenstaufów i to w rękach tej rodziny władza królewska miała pozostać do 1254 r.

Konrad III nigdy jednak nie założył na głowę cesarskiej korony. Koronacja mogła odbyć się wyłącznie w Rzymie i dokonać musiał jej papież, a Konrad miał bardzo napięte stosunki z głową Kościoła. Do tego doszła jeszcze klęska II krucjaty dowodzonej przez Konrada i króla Francji Ludwika VII. Podczas jej trwania obaj władcy nie potrafili dojść między sobą do porozumienia, co w październiku 1147 r. spowodowało straszliwą klęską sił niemieckich pod Doryleum w Azji Mniejszej.

XII w. / Rudobrody odbudowuje imperium

Cesarz legenda

eprasa.pl 88698580d6

Turcy Seldżuccy wybili prawie 90 proc. armii Konrada, ale samemu królowi udało się ujść z życiem i powrócić do Niemiec. W czasie wyprawy wyjątkowo zasłużył się 25-letni bratanek króla, Fryderyk zwany Rudobrodym (Barbarossą), i gdy niebawem zmarł straszy syn Konrada, władca zdecydował, że jego następcą będzie bratanek. Wprawdzie tron niemiecki był obieralny, jednak opinia panującego monarchy miała swoje znaczenie, tym bardziej że przygotowania do kolejnej elekcji rozpoczynano jeszcze za życia poprzedniego króla. Przy okazji Konrad zdecydował się na pominięcie w dziedziczeniu swojego drugiego syna ze względu na jego bardzo młody wiek.

Siła papiestwa

Konrad III zmarł w połowie lutego 1152 r., a trzy tygodnie później Fryderyk został wybrany na króla Niemiec. Udało mu się też dojść do porozumienia z papieżem Eugeniuszem III, uznając oficjalnie, że władza papieska jest równa cesarskiej. Dzięki poparciu papieża mógł wkroczyć na czele armii do Włoch i w czerwcu 1155 r. zostać koronowany w Rzymie na cesarza. W ten sposób królowie Niemiec odzyskali cesarską koronę po blisko 20 latach przerwy.

Fryderyk chciał być cesarzem w starym stylu. Marzył o nawiązaniu do pozycji Karola Wielkiego i rezerwował dla siebie rolę arbitra wobec władców chrześcijańskiej Europy. Nie zwracał uwagi na to, że czasy się zmieniły i na kontynencie nie było już miejsca na uniwersalne cesarstwo, a królowie Francji, Węgier czy Anglii uważali się za równych Fryderykowi. Ponadto pozycja papiestwa była znacznie silniejsza niż w czasach Karolingów, a do tego dochodził jeszcze problem z miastami północnej Italii, które dążyły do samodzielności.

Początkowo jednak wszystko układało się po myśli Barbarossy. Wkrótce po powrocie z Włoch skutecznie interweniował w Polsce w obronie praw usuniętego księcia seniora Władysława Wygnańca. Wyprawa niemiecka dotarła aż pod Poznań, gdzie młodszy brat wygnanego księcia, Bolesław Kędzierzawy, musiał ukorzyć się przed cesarzem. Stanął przed nim boso ubrany w worek pokutny z krzyżem na szyi i na kolanach błagał Rudobrodego o wybaczenie. Uznał zwierzchnictwo cesarskie i zobowiązał się do zapłacenia ogromnej kontrybucji oraz do stawienia się na sąd cesarski w Magdeburgu, który miał rozsądzić sprawę wygnanego seniora. Oddał też swojego młodszego brata (późniejszego księcia Kazimierza Sprawiedliwego) jako zakładnika.

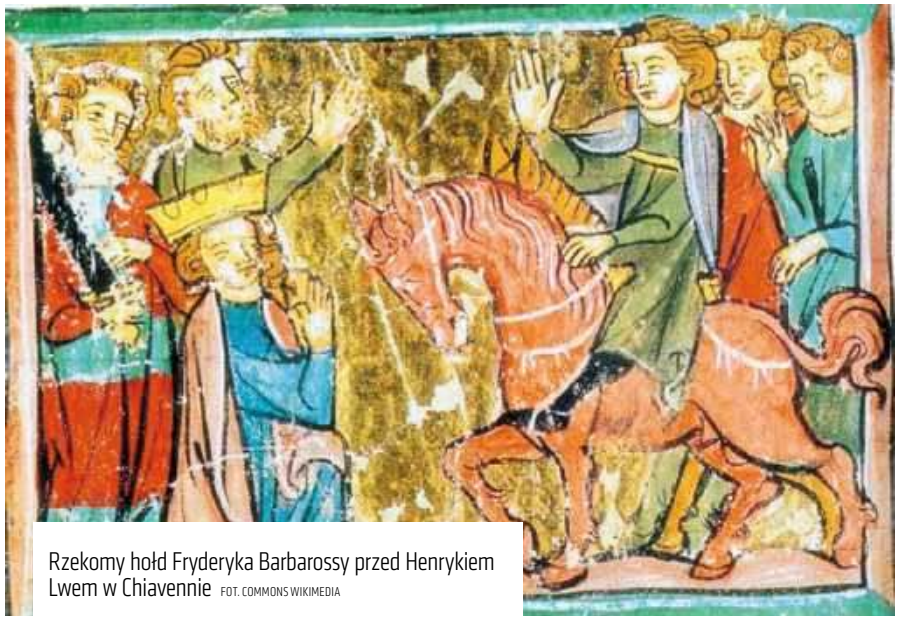


Papież Aleksander III FOT. COMMONS WIKIMEDIA

Był to rzadki przypadek, gdy zarówno zwycięzca, jak i przegrany byli zadowoleni z wyniku wojny. Hohenstauf wygrał kampanię, a pokonany Piast nie zamierzał wypełnić warunków pokojowych. Nie stawił się na żaden sąd i nie przysłał też obiecanych posiłków na wyprawę cesarza do Włoch. Ale najważniejsze było to, że Barbarossa w praktyce uznał jego pozycję seniora.

Cesarz nie zareagował na niesubordynację polskiego władcy, gdyż miał znacznie większe problemy. Runął bowiem kruchy kompromis z papiestwem, gdy nowy zwierzchnik Kościoła, Hadrian IV, zawarł sojusz z królem Sycylii Wilhelmem I Złym. Przymierze było skierowane przeciwko Hohenstaufowi, a – co gorsza – władca z Palermo uzyskał poparcie potężnych republik kupieckich: Genui i Wenecji. Do tego przeciwko cesarskim porządkom burzyły się patrycjaty Mediolanu i innych miast Lombardii. Miejscowe kupiectwo nie chciało być bowiem częścią cesarstwa, które powszechnie uznawano za niemieckie. Tym bardziej że Barbarossa zamierzał przywrócić dawne uprawnienia cesarskie dotyczące sądownictwa i prawa bicia monety, co w praktyce oznaczało poważne ograniczenie władzy samorządów. Był to jednocześnie krok w stronę powrotu do feudalizmu, który w północnej Italii odchodził już w niepamięć.

Na domiar złego papiestwo wznowiło dawny spór o inwestyturę, czyli podniosło temat przywództwa w świecie chrześcijańskim. Do pierwszego starcia doszło na sejmie Rzeszy, gdy legat papieski Roland (późniejszy papież Aleksander III) oświadczył, że korona cesarska stanowi „beneficjum" papieskie. Wywołało to ogromne oburzenie, a jeden ze zwolenników Fryderyka chciał nawet



Rzekomy hołd Fryderyka Barbarossy przed Henrykiem Lwem w Chiavennie FOT. COMMONS WIKIMEDIA

eprasa.pl 88698580d6

zarąbać duchownego mieczem. Barbarossa ochronił jednak legata i odesłał go pod eskortą do Rzymu. Poinformował jednocześnie papieża, że to wprawdzie biskup Rzymu nakłada koronę cesarską, ale odpowiedniego kandydata wybierają niemieccy elektorzy.

Barbarossa zamierzał siłą przywrócić porządek w Italii i jego armia początkowo odnosiła znaczne sukcesy. Cesarz bez większych problemów zdobył Brescię, a na początku września 1158 r. skapitulował Mediolan. Gdy armia Fryderyka przez siedem miesięcy oblegała Cremę, władze Mediolanu ponownie wypowiedziały posłuszeństwo Barbarossie. W efekcie cesarz znów stanął pod murami krnąbrnego miasta, które padło w marcu 1162 r. i zostało częściowo zburzone. Podczas oblężenia w szeregach armii niemieckiej szczególnie wyróżnił się książę Bolesław Wysoki, syn Władysława Wygnańca, który w pojedynku uśmiercił znanego italskiego rycerza.

Zdobycie Mediolanu spowodowało, że pozostałe miasta lombardzkie skapitulowały przed cesarzem. Aleksander III został wygnany z Rzymu, a na tron papieski wprowadzono Wiktora IV. Wprawdzie wygnany papież rzucił na cesarza klątwę, ale w zamian został obłożony ekskomuniką przez zwolenników Rudobrodego. Inna sprawa, że nie były to już czasy Canossy i Grzegorza VII – nikt specjalnie już się nie przejmował anatemą. Barbarossa uznał nawet, że jego pozycja była tak mocna, że wezwał obu rywalizujących ze sobą papieży do poddania się jego arbitrażowi. Aleksander jednak odmówił przybycia na cesarskie wezwanie.

Cesarska misja

Za czasów Fryderyka jego kancelaria zaczęła używać określenia „Święte Cesarstwo Rzymskie", a władca traktował tę nazwę jak najbardziej poważnie. Uważał Rzym za swoją stolicę, natomiast Akwizgran miał być tylko główną siedzibą królów Niemiec. Problemem Fryderyka było jednak to, że mając ambicje uniwersalne, miał zbyt wielu przeciwników. I to nie tylko poza granicami cesarstwa.

W 1163 r. przypomniał jednak Bolesławowi Kędzierzawemu o prawach jego bratanków (Władysław Wygnaniec już nie żył) i trzej synowie byłego seniora powrócili do kraju. Kędzierzawy zwrócił im ojcowską dzielnicę – Śląsk – natomiast sam, jako najstarszy z dynastii, pozostał zwierzchnim władcą Polski. Barbarossa miał jednak jeszcze większe ambicje na wschodzie niż tylko interwencja w Polsce. Wydawał także rozporządzenia dla księstwa halickiego, co potwierdza, że Hohenstauf faktycznie z całą powagą taktował swoją cesarską misję.

Natomiast zdecydowanie nie wiodło mu się w Niemczech, gdzie narastała przeciwko niemu opozycja pod wodzą księcia Bawarii i Saksonii, Henryka Lwa. Na terenie Niemiec dorównywał on niemal swoją potęgą cesarzowi i cały czas rozwijał swoją ekspansję na wschód. Zmusił do hołdu książąt zachodniopomorskich oraz podbił ziemie Obodrzyców i Wieletów, co oznaczało koniec organizmów plemiennych Słowian połabskich.

Badacze zwracają uwagę na to, że pozycja polityczna Henryka Lwa była tak wysoka, iż Rzeszy groził trwały podział na części północną i południową. Czy jednak faktycznie mogło się tak stać i jakie miałoby to konsekwencje dla dziejów Europy, pozostanie to kwestią dywagacji specjalistów od historii alternatywnej. Barbarossa był bowiem zbyt doświadczonym politykiem, by dopuścić do rozpadu królestwa, tym bardziej że nie wszystkim niemieckim feudałom podobało się pasmo sukcesów księcia Saksonii. Jednak zanim cesarz mógł zająć się krnąbrnym wasalem, ponownie wyprawił się do Italii, gdzie znów chwiała się jego władza.

Barbarossa nie potrafił chyba zrozumieć, że feudalizm w Italii był już przeszłością, a dominującą rolę zdobyło zamożne kupiectwo. Miejscowi politycy nie chcieli podlegać cesarskim rozkazom i z miast usuwano urzędników narzuconych przez cesarza. W grudniu 1167 r. powołano Ligę Lombardzką, w której skład weszło nie tylko kilkanaście największych miast regionu, lecz także zamożni właściciele ziemscy, których posiadłości stanowiły niemal całkowicie niezależne państewka. Liga uzyskała poparcie Aleksandra III, a celem jej działania miało być uzyskanie całkowitej niezależności od władzy Rudobrodego. I przy okazji odbudowa Mediolanu.

Zmuszenie miast lombardzkich do uległości było absolutnym priorytetem dla Barbarossy. Skoro uważał się za cesarza rzymskiego, to nie mógł stracić dostępu do swojej stolicy. Droga lądowa z Niemiec do Wiecznego Miasta prowadziła bowiem przez Lombardię, a ze względów wizerunkowych i finansowych nie wchodziła w rachubę próba ominięcia morzem zbuntowanego terytorium. Tam panowały bowiem niepodzielnie Genua i Wenecja, a sprzymierzanie się z tymi republikami uchodziło za wyjątkowo niebezpieczne. Sprytni kupcy byli bowiem gotowi sprzedać wszystko i wszystkich temu, kto lepiej zapłaci. Na domiar złego do Rzymu powrócił z wygnania Aleksander III, co zapowiadało poważne kłopoty także nad Tybrem.

Fryderyk, zgodnie z etosem rycerskim, najwięcej zaufania miał do swojego miecza i po raz kolejny najechał Italię. Osiągnął sporo sukcesów, zajął nawet Rzym, a papież zbiegł do Benewentu. Cesarz nie miał jednak szczęścia, gdyż w Wiecznym Mieście wybuchła zaraza, która zmusiła go do opuszczenia nie tylko miasta nad Tybrem, lecz także Italii.

Rudobrody był jednak wyjątkowo konsekwentnym politykiem. Pomimo przeciwności nigdy nie wyrzekał się swoich planów, chociaż tym razem próbował także drogi dyplomatycznej. Rozmowy z papieżem nie przyniosły jednak rezultatu, a podczas kolejnej, piątej już wyprawy Fryderyka do Italii doszło do wydarzenia, które całkowicie zmieniło sytuację polityczną w regionie.

Pod koniec maja 1176 r. pod Legnano miała miejsce bitwa pomiędzy oddziałami cesarskimi a wojskami Ligi. Zdecydowaną przewagę mieli Włosi, którzy dysponowali 12 tys. żołnierzy (w tym 700 jazdy), przeciwko którym cesarz wystawił 4 tys. konnych. W tamtych jednak czasach o zwycięstwie na polu bitwy decydowała szarża



Złote popiersie Barbarossy

FOT. COMMONS WIKIMEDIA, MONTECAPPIO

eprasa.pl 88698580d6



Fryderyk I Barbarossa podczas wyprawy krzyżowej FOT. COMMONS WIKIMEDIA

rycerstwa, zatem Barbarossa nie stał na przegranej pozycji.

Faktycznie, cesarska konnica rozbiła jazdę lombardzką, ale gdy przyszło do ataku na piechotę, okazało się, że linia uzbrojonych we włócznie żołnierzy Ligi była nie do przełamania. Na domiar złego na pole bitwy powróciła rozbita wcześniej jazda lombardzka, która dopełniła klęski. Pod cesarzem zabito konia, władca spadł na ziemię i podwładni uznali go za poległego. Szeregi cesarskie zaczęły się łamać, wybuchła panika i Niemcy rzucili się do ucieczki. Cesarz dopiero po trzech dniach cały i zdrowy pojawił się wśród swoich oddziałów w Pawii i właściwie nie bardzo wiadomo, co się z nim działo przez ten czas.

Barbarossa mógł mieć swoje priorytety, ale zachowywał się jak realista. Wiedział, że nie pokona Lombardczyków, i podjął rokowania z papieżem. Tym bardziej że sytuacja w Niemczech wymagała jego interwencji.

Latem następnego roku cesarz i papież podpisali porozumienie i wymienili nawet „pocałunek pokoju". Bez wątpienia warunki układu były korzystne dla Aleksandra III, gdyż Barbarossa wycofał poparcie dla kolejnego antypapieża, zobowiązał się zawrzeć zawieszenie broni z Ligą Lombardzką i zrezygnował z wielu przywilejów na terenie Państwa Kościelnego. W zamian zdjęto z niego klątwę, a jego syn został uznany za króla rzymskiego, co oznaczało zgodę na jego sukcesję na terenie Italii.

W tej sytuacji Rudobrody mógł ruszyć za Alpy, by rozprawić się z Henrykiem Lwem, którego obciążał winą za klęskę. Saksończyk nie przysłał mu bowiem posiłków na wyprawę włoską, co przyczyniło się do porażki cesarza. Barbarossa odebrał Henrykowi jego posiadłości i zmusił go do opuszczenia terenu Rzeszy. Niedawny rywal cesarza wraz z żoną udał się do posiadłości jej rodziców w Normandii, gdzie spędził dwa lata. Wprawdzie później uzyskał zgodę na powrót do kraju, ale nigdy nie odzyskał już dawnej pozycji.

III krucjata

Los bywa jednak przewrotny i pokój, który zawarł papież z cesarzem, miał niebawem przydać się biskupowi Rzymu. W wyniku buntu komuny miejskiej Aleksander został bowiem wygnany z Rzymu i jego władzę przywrócił Barbarossa. Cesarz miał zresztą przeżyć jeszcze czterech kolejnych papieży, a stosunki z nimi bywały czasem napięte. Rudobrodemu groziła nawet klątwa kościelna, ale ostatecznie sprawę udało się załagodzić. Barbarossa odniósł zresztą kolejny spektakularny sukces polityczny, gdy udało mu się ożenić swojego syna, późniejszego Henryka VI, z dziedziczką tronu Sycylii. Dawało to Hohenstaufom nadzieję na sukcesję w Palermo i otoczenie posiadłości papieskich z dwóch stron. Do Królestwa Sycylii należały bowiem także tereny południowej Italii.

Rudobrodemu nie było dane odpocząć od trudów wojennych. Gdy cesarz ugruntowywał swoją pozycję w Italii, sytuacja państwa łacińskich w Palestynie stała się tragiczna. Sułtan Saladyn w ciągu kilkunastu lat zjednoczył państwa muzułmańskie Bliskiego Wschodu i w lipcu 1187 r. rozbił armię chrześcijańską pod Hittin. Do niewoli dostał się król Jerozolimy Gwidon z Lusignan, a większość posiadłości łacinników została zlikwidowana. W tej sytuacji Barbarossa uznał temat za wyzwanie godne prawdziwego rycerza i mimo że zbliżał się już do siedemdziesiątki, osobiście wyruszył na wschód na czele oddziałów niemieckich. Ponadto w krucjacie brali udział Francuzi pod wodzą króla Filipa II Augusta i Anglicy z Ryszardem Lwie Serce na czele.

Niemcy wybrali drogę lądową, podczas gdy Francuzi i Anglicy podróżowali morzem. Decyzja cesarza o wyborze trasy okazała się fatalna w skutkach, gdyż pomimo zawarcia porozumień z władcami seldżuckimi w Azji Mniejszej drogę należało otwierać sobie siłą. Niemcom udało się zdobyć Ikonium (Konyę), stolicę Sułtanatu Rumu, ale był to już ich ostatni sukces. 10 czerwca 1190 r., podczas przeprawy przez rzekę Salef, cesarz spadł z konia, a zbroja pociągnęła go na dno. Saladyn osobiście uznał ten wypadek za przejaw łaski Allacha.

Większość oddziałów Barbarossy zawróciła do kraju i tylko ich niewielka część pod dowództwem młodszego syna cesarza, Fryderyka, dotarła do Palestyny. Brak armii niemieckiej i cesarza cieszącego się powszechnym autorytetem zaważył na losach krucjaty. Zakończyła się ona połowicznym sukcesem, gdyż wprawdzie przerwano pasmo triumfów Saladyna, ale w skład odbudowanego Królestwa Jerozolimskiego nie weszła sama Jerozolima. Państwa chrześcijańskie na Bliskim Wschodzie miały jednak przetrwać jeszcze przez 100 lat, a kres panowaniu łacinników w Palestynie przyniósł dopiero upadek Akki w 1291 r.

Po śmierci Fryderyk Barbarossa stał się bohaterem podań i legend. Opowiadano, że wcale nie umarł, tylko śpi w górskiej jaskimi i w krytycznej chwili się obudzi, by odrodzić Niemcy. Prawdziwy rozkwit popularności cesarza nastąpił w epoce romantyzmu, gdy poświęcano mu wiele utworów literackich. Po zjednoczeniu Niemiec do jego tradycji odwoływała się II Rzesza, a szczególnie Wilhelm II, który z upodobaniem stawiał Rudobrodemu monumentalne pomniki. Hitlerowcy wprawdzie woleli Henryka Lwa, ale kryptonimu ataku na ZSRS w 1941 r. nie wybrali jednak przypadkowo.

Bez wątpienia Barbarossa był ostatnim niemieckim władcą, który usiłował zrealizować wizję uniwersalnego cesarstwa w starym stylu. Jego wnuk, Fryderyk II, miał udowodnić, że uniwersalna monarchia powinna jednak funkcjonować zupełnie inaczej. Nie trzeba też było walczyć z Saracenami, tylko skutecznie używać dyplomacji, by odzyskać Jerozolimę. Ale to już historia na inną okazję.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 88698580d6

1914–1918 / Legiony i sprawa polska



Jerzy Kossak „Wymarsz Pierwszej Kompanii Kadrowej” FOT. MUZEUM WOJSKA POLSKIEGO

Licytacja Piłsudskiego



Tomasz Stańczyk

Sto dziesięć lat temu, 6 sierpnia 1914 r., oddziały strzeleckie wyruszyły na wojnę z Rosją. Dziesięć dni później powstały Legiony Polskie

„Józef Piłsudski. Twórca Legionów”. Taki napis znalazł się na medalu z wizerunkiem dowódcy I Brygady, wybitym w 1917 r., a zaprojektowanym przez Konstantego Laszczkę, znakomitego rzeźbiarza. Józef Piłsudski nie był oczywiście twórcą Legionów ani też polska formacja nie była Legionami Piłsudskiego, nie był on także ich komendantem. Napisu na medalu nie należy jednak rozumieć w sensie dosłownym. Znaczy on tyle, że bez Józefa Piłsudskiego najprawdopodobniej Legiony Polskie w ogóle by nie powstały.

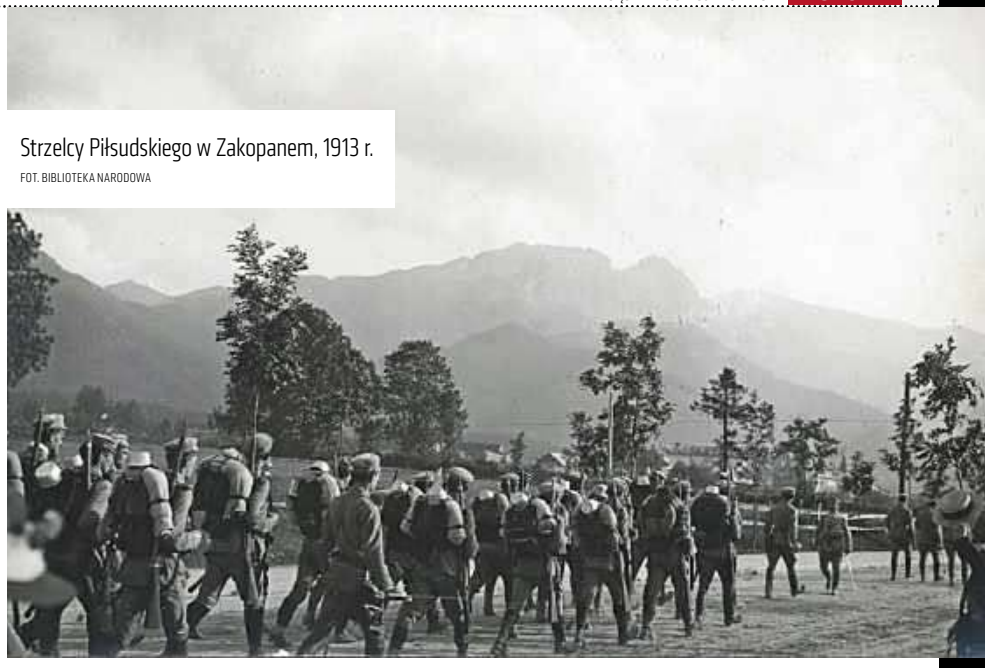
Droga do ich utworzenia zaczęła się sześć lat przed wybuchem wielkiej wojny. W 1908 r. we Lwowie powstał założony przez Kazimierza Sosnkowskiego Związek Walki Czynnej (ZWC) – organizacja, która stawiała sobie za cel przygotowanie kadr wojskowych do walki z Rosją. Inicjatywa Sosnkowskiego narodziła się pod wrażeniem rozmowy z Piłsudskim, przygnębionym fiaskiem wielkiej rebelii narodowej z lat 1905–1907, nazywanej rewolucją. Piłsudski, przywódca niepodległościowego odłamu PPS (Frakcji Rewolucyjnej), wyciągnął z tej porażki wniosek, że o niepodległość nie może walczyć sama klasa robotnicza, lecz musi być to zadanie całego społeczeństwa. Spotkał się z dużym oporem najważniejszych działaczy partii. Obawiali się oni, że położenie nacisku na niepodległość – będącą zresztą celem PPS – i kształcenie oficerów oraz podoficerów przyszłej polskiej armii zepchnie na dalszy plan dążenie do socjalizmu.

Związki strzeleckie

Piłsudski musiał zagrozić odejściem z PPS, jeśli partia nie poprze jego planu. Jego autorytet był tak wielki, że przełamał opory współtowarzyszy. W latach 1910–1911 powstały Związek Strzelecki we Lwowie i Strzelec w Krakowie. Nadzór nad nimi sprawował ZWC. Te organizacje sportowo-paramilitarne nie mogły powstać bez zgody austriackich władz wojskowych, a ściślej mówiąc – wywiadu. Austriacy liczyli, że związki strzeleckie mogą okazać się przydatne na wypadek wojny z Rosją, lecz przewidywali dla nich jedynie działania dywersyjne i sabotażowe. Być może nawet uwierzyli w zapewnienia Piłsudskiego, że strzelcy wywołają antyrosyjskie powstanie. Czy sam Piłsudski w to wierzył, trudno rozstrzygnąć.

Do związków strzeleckich garnęli się ci z młodego pokolenia, wychowanego

eprasa.pl 88698580d6



Strzelcy Piłsudskiego w Zakopanem, 1913 r.
FOT. BIBLIOTEKA NARODOWA

w Galicji, dla których tamtejsza autonomia nie była szczytem marzeń, a także młodzież z Kongresówki, nadwiślańskiej części zaboru rosyjskiego, dla której rusyfikacja była nie do zniesienia. Jedni i drudzy myśleli o niepodległej Polsce. Poświęcali czas wolny od pracy i nauki na wykłady i ćwiczenia wojskowe, kursy w szkołach oficerskich i podoficerskich. Przez organizacje strzeleckie Piłsudskiego, a także przez Polskie Drużyny Strzeleckie przewinęło się kilkanaście tysięcy młodych Polaków.

Piłsudski i wówczas, i wiele lat później narzekał, że szeregi związków strzeleckich były bardzo szczupłe. Odczuwał wielki zawód spowodowany postawą społeczeństwa polskiego, które w Galicji przyglądało się maszerującym strzelcom w najlepszym wypadku z pobłażaniem, w najgorszym zaś uważało ich za szaleńców, którzy chcą wywołać antyrosyjskie powstanie. Piłsudski, choć wychowany w kulcie powstania styczniowego, szaleńcem oczywiście nie był. Liczył na wielką wojnę pomiędzy zaborcami, wojnę Niemiec i Austro-Węgier przeciw Rosji. Tę ostatnią uważał za głównego wroga, gdyż to Rosja dzierżyła największą część ziem dawnej Rzeczypospolitej. Gdy nadzieje na wojnę, spowodowane przez kryzysy na Bałkanach, się rozwiały, Piłsudski był – całkiem dosłownie – chory i niemal załamany.

Rozczarowany postawą Polaków, którzy w niewielkim tylko stopniu poparli jego plan „militaryzacji" i mobilizacji społeczeństwa do spodziewanej wojny z Rosją, Piłsudski stwierdził, że oczywiście chcą oni niepodległości, byleby kosztowała ona tylko jedną kroplę krwi i jeden grosz. Nazwał też Polaków najbardziej pacyfistycznym społeczeństwem w Europie. A nie chciał, by w wypadku wojny, gdy będą ważyć się losy państw i narodów, zabrakło – jak się wyraził – polskiej szabli.

Powstanie Legionów

Wojna, o której marzył Piłsudski, w końcu wybuchła. 6 sierpnia 1914 r. z krakowskich Oleandrów wyruszyła Pierwsza Kompania Kadrowa, wkrótce za nią poszły kolejne oddziały. Strzelcy wkraczali na ziemię opuszczoną przez wojska rosyjskie. Do niewielkiego starcia doszło w sierpniu 1914 r. jedynie pod Kielcami. Z punktu widzenia cesarskiej i królewskiej Naczelnej Komendy Armii oddziały strzeleckie, przeznaczone do działań dywersyjnych i sabotażowych oraz do sparaliżowania mobilizacji do armii rosyjskiej, okazały się więc bezużyteczne. Austriaccy politycy byli natomiast zbulwersowani działaniami strzelców Piłsudskiego. Na zajętych terenach zaczęła bowiem powstawać polska administracja – Komisariaty Wojskowe. Zapadła więc decyzja o likwidacji oddziałów strzeleckich, które niepodziewanie dla Austriaków stały się narzędziem politycznym w ręku Józefa Piłsudskiego. Zażądano od niego albo rozwiązania oddziałów, albo zgody na wcielenie ich do pospolitego ruszenia. W każdym przypadku miał on złożyć dowództwo.

Piłsudskiego uratowali politycy galicyjscy, na czele z Juliuszem Leo, prezydentem Krakowa, którzy przy udziale wpływowego ministra Leona Bilińskiego uzyskali w Wiedniu zgodę na utworzenie Legionów Polskich. Nie chodziło im bynajmniej o Piłsudskiego, lecz o realizację własnego planu politycznego. Jak stwierdził Konstanty Srokowski, jeden z galicyjskich działaczy, skoro już kilka tysięcy strzelców Piłsudskiego zaangażowało się w wojnę z Rosją, to należało wykorzystać ten kapitał. Legiony wprawdzie powstały, ale ich inicjatorów spotkał ogromny zawód. Cesarz Franciszek Józef I nie wydał manifestu do Polaków, w którym miał obiecać, że po zwycięskiej wojnie połączy część ziem zaboru rosyjskiego z Galicją i utworzy z nich Królestwo Polskie, jako trzeci człon monarchii habsburskiej. To właśnie było celem polityków galicyjskich.

Z perspektywy listopada 1918 r. łatwo mówić, że byli minimalistami, gdyż ich celem nie była niepodległość Polski. Wtedy jednak, latem 1914 r., rozwiązanie austro-węgiersko-polskie wydawało się szczytem tego, co można było dla Polaków osiągnąć. Łatwo też mówić, że w przeciwieństwie do nich Józef Piłsudski dążył od początku wojny do niepodległości. Również on musiałby się zadowolić utworzeniem polskiego członu monarchii habsburskiej, gdyby do tego doszło. W 1915 r. deklarował wobec prof. Władysława Jaworskiego, prezesa NKN, że wyruszał na wojnę właśnie z takim celem. Oczywiście i on, i Jaworski zdawali sobie sprawę, że byłby to ważny krok na drodze ku niepodległości.

Milczący Wiedeń

Oddziały strzeleckie Piłsudskiego zostały wcielone w sierpniu 1914 r. do Legionów Polskich, powstał z nich najpierw 1. Pułk Piechoty, później rozwinięty w I Brygadę. W rocznicę wymarszu z Oleandrów Piłsudski, dowódca brygady, pisał w rozkazie,

eprasa.pl 88698580d6



Józef Piłsudski, dowódca I Brygady, na froncie na Wołyniu FOT. NAC

że nie może swoim podkomendnym gratulować wielkich zwycięstw, jednak podkreślał, że w bojach jego brygady pod Laskami i Anielinem, Korczynem i Nowym Opatowcem, pod Łowczówkiem wykształcił się nowy typ polskiego żołnierza, charakteryzujący się – jak stwierdzał – spokojem i równowagą w pracy wojskowej. Oczywiście ten nowy żołnierz – nieustępliwy, twardy w walce – kształtował się także w II Brygadzie Legionów, w jej karpackich bojach.

I Brygada i całe Legiony były dla Piłsudskiego narzędziem politycznym. Chciał je przekształcić w faktyczne wojsko polskie, mimo że Legiony stanowiły formację armii austro-węgierskiej. Dbał o odrębność swojej I Brygady, budując ją także poprzez symbole. Żołnierze Piłsudskiego nosili maciejówki, które obowiązywały w związkach strzeleckich, mieli własne odznaki stopni wojskowych – w przeciwieństwie do II Brygady, a Piłsudski sam mianował oficerów, ignorując nominacje austriackie.

Jego celem było „zlegionizowanie Legionów", czyli usunięcie z nich oficerów austriackich, choćby byli Polakami. I oczywiście stanowisko komendanta Legionów dla niego samego. Naczelne Dowództwo Armii (NDA) ani myślało spełnić te oczekiwania. Austriacy doskonale wiedzieli, że Piłsudski nie jest jedynie dowódcą brygady, lecz politykiem, który będzie stawiał żądania.

Legiony przelewały krew, a Wiedeń zachowywał milczenie w sprawie polskiej. Piłsudski uważał, że ta sytuacja jest nie do zaakceptowania. Gdy armie państw centralnych zajęły w 1915 r. Kongresówkę, dowódca I Brygady rzucił hasło zaprzestania werbunku do Legionów. Do czasu, aż Polacy zyskają coś konkretnego za krew legionistów. Mogłoby to być połączenie Kongresówki z Galicją i utworzenie Królestwa Polskiego w granicach monarchii habsburskiej. Wiedeń jednak uparcie milczał.

Wtedy właśnie narodził się ostry konflikt Piłsudskiego z ppłk. Władysławem Sikorskim, szefem Departamentu Wojskowego NKN. Sikorski uważał, że im więcej bagnetów i szabel będą liczyły Legiony, tym Polacy będą mieli większą siłę przetargową wobec Austriaków. A liczebność Legionów może okazać się bardzo ważna w końcowej fazie wojny, gdy sprawa polska będzie musiała być poruszona.

Dymisja Komendanta

W 1915 r. powstała III Brygada Legionów i dość szybko Piłsudski zyskał w niej bardzo wielu zwolenników. Silny poparciem nie tylko żołnierzy i oficerów swojej brygady, lecz także III Brygady ponawiał próby „legionizacji Legionów", wciąż domagał się dla siebie stanowiska komendanta Legionów. Bezskutecznie jednak. W lipcu 1916 r. wszystkie brygady Legionów wzięły udział w krwawej bitwie pod Kostichuchnówką na Wołyniu. Straty wyniosły ok. 2 tys. zabitych, rannych i wziętych do niewoli. Jeszcze w tym samym miesiącu Piłsudski wniósł do Naczelnej Komendy Armii prośbę o dymisję ze stanowiska dowódcy I Brygady. Uznał, że tak dalej być nie może. Kolejna ofiara krwi legionistów i nic z tego nie wynika dla sprawy polskiej. Nie zamierzał przy tym porzucić wojska, a tym bardziej polityki, i zamieszkać gdzieś na uboczu z Aleksandrą Szczerbińską, z którą od kilku lat łączył go romans.

Zgłoszenie dymisji było formą wywarcia presji na Austriaków. Piłsudski liczył na to, że jego pozycja w Legionach jest na tyle silna, iż dowództwo nie zaryzykuje jego zwolnienia w obawie przed buntem legionistów. W liście do pułkownika wywiadu Oskara Hranilovicia, referenta do spraw Legionów w NDA, dowódca I Brygady wręcz groził, że jego nerwy są w takim stanie, że może się posunąć do nieobliczalnych kroków. Austriacy jednak nie ulegli i dymisję przyjęli. Piłsudski był przygnębiony decyzją NDA, stawiającą go poza Legionami. Nie poddawał się jednak i rozkazał swoim zwolennikom w Legionach, by masowo składali podania o zwolnienie ze służby. Liczył na to, że tym razem Austriacy się ugną, obawiając się ciosu wizerunkowego dla monarchii habsburskiej.

I Brygada, a także duża część III Brygady stanęły murem za Piłsudskim, w przeciwieństwie do II Brygady. Nastąpił głęboki podział wśród legionistów. Zwolennicy byłego dowódcy I Brygady nie wyobrażali sobie dalszej służby w Legionach. Bez niego traciły one – ich zdaniem – charakter wyraziciela niepodległościowych dążeń Polaków. Oficerowie II Brygady rozumieli, że składanie podań o zwolnienie z Legionów jest aktem solidarności z Piłsudskim, jednak uważali, że ważniejsza od niego jest sprawa polska. Rozumieli ją tak, jak wcześniej Sikorski – im liczebniejsze będą Legiony, tym więcej będzie można wytargować w sprawie polskiej. Uważali, że masowe odejście żołnierzy z Legionów może spowodować albo ogromne osłabienie Legionów, albo nawet ich likwidację. Tego zdania był też płk Stanisław Szeptycki, komendant Legionów. Sprawę dymisji rozwiązał w bardzo prosty sposób. Oświadczył oficerom i żołnierzom składającym podania, że schowa je do biurka i nikomu nie przekaże, gdyż nie zamierza dopuścić do samobójstwa Legionów Polskich.

Akt 5 listopada

Zdymisjonowany Piłsudski był fetowany przez swoich zwolenników, gdy pojawił się w Lublinie i Krakowie, ale był już tylko cywilem, politykiem zepchniętym na margines. Nie na długo jednak. Znów bieg wydarzeń uratował go

eprasa.pl 88698580d6



Przyjazd Józefa Piłsudskiego do Warszawy, grudzień 1916 r. FOT. DOMENA PUBLICZNA

z opresji. 5 listopada 1916 r. ukazał się manifest cesarzy Wilhelma I i Franciszka Józefa I zapowiadający utworzenie Królestwa Polskiego, bez określonych granic, ale z polską armią. Miał być to protektorat niemiecki, wpisujący się w ideę polityka Friedricha Naumanna stworzenia Mitteleuropy – związku państw i narodów Europy Środkowej pod zwierzchnictwem Berlina. Mitteleuropa miała być mocarstwową strukturą mogącą oprzeć się zarówno Rosji, jak i imperium brytyjskiemu. Oczywiście Niemcy w trzecim roku wojny potrzebowali polskiego żołnierza, by uzupełnić topniejące stany swojej armii. Jednak był to cel drugorzędny. Prymat miała tu geopolityka.

Kilka dni po ogłoszeniu aktu 5 listopada, przyjętego przez Polaków jako wprowadzenie sprawy polskiej do polityki międzynarodowej i zapowiedź budowy państwa, generalny gubernator warszawski gen. Hans von Beseler opublikował wezwanie do wstępowania do wojska polskiego. Odezwa ta zrobiła złe wrażenie na społeczeństwie polskim. Można było wyczuć, że Niemcy i Austriacy tylko po to proklamowali Królestwo Polskie, by wyciągnąć z niego rekruta. Beseler spostrzegł to i na własną rękę zdecydował o powołaniu namiastki polskiej władzy – Tymczasowej Rady Stanu (TRS).

Piłsudski błyskawicznie zareagował na akt 5 listopada. Rozkazał wycofanie podań o zwolnienie ze służby w Legionach. Miał nadzieję, że powstanie polska armia, a samego siebie widział na jej czele, jednak pod warunkiem, że będzie ona podporządkowana polskiemu rządowi. Gotów był nawet uznać ją za surogat takiego rządu TRS. Dlatego też rozkazał, by Tadeusz Kasprzycki, komendant naczelny Polskiej Organizacji Wojskowej (liczącej kilkanaście tysięcy członków), zadeklarował, że poddaje ją pod zwierzchnictwo TRS. Piłsudski został jej członkiem, a także członkiem Komisji Wojskowej i referentem (dyrektorem) jej biura. Spotkało go jednak rozczarowanie. Ani TRS, ani Komisja Wojskowa nie miały nic do powiedzenia w sprawie wojska, za którego organizację wzięli się Niemcy. W kwietniu 1916 r. cesarz Karol I przekazał Legiony Królestwu Polskiemu. Jednak nie TRS, lecz gen. Beselerowi, który objął stanowisko wodza naczelnego tzw. Polskiej Siły Zbrojnej (Polnische Wehrmacht). Nie miała ona nad sobą zatem polskiej władzy, a był to podstawowy warunek stawiany przez Piłsudskiego. W takiej sytuacji był on oczywiście przeciwny werbunkowi do PSZ.

Kryzys przysięgowy

W tym czasie sytuacja polityczna zmieniła się radykalnie. W Rosji w lutym 1917 r. rewolucja obaliła carat. Piłsudski uznał, że państwo rosyjskie nie jest już głównym wrogiem – teraz stali się nim Niemcy i Austriacy. Podczas narady z wiernymi sobie oficerami w pierwszych dniach lipca 1917 r. rozkazał, by legioniści odmówili składania przysięgi. Znalazło się w niej sformułowanie o braterstwie broni z armiami państw centralnych, a przecież Piłsudski zamierzał z nimi prędzej czy później walczyć. Poza tym uważał, że jakikolwiek sojusz militarny mógłby zawrzeć jedynie rząd polski, którego przecież nie było.

Tym razem poparcie dla Piłsudskiego było w szeregach Legionów znacznie większe niż podczas kryzysu wywołanego jesienią 1916 r. składaniem podań o zwolnienie ze służby. Przysięgę złożyła tylko niewielka część legionistów – nieco ponad tysiąc. Legioniści, którzy odmówili – ponad 3 tys. – nazywali swoich dotychczasowych współtowarzyszy broni wręcz zdrajcami sprawy polskiej.

W związku z tym kryzysem Niemcy umieścili odmawiających przysięgi oficerów i żołnierzy w obozach w Beniaminowie i Szczypiornie, aresztowali Piłsudskiego i głównych działaczy POW. Niemcy uznali, że nie mogą sobie pozwolić na to, by na zapleczu frontu działała przechodząca właśnie do konspiracji polska paramilitarna organizacja pod komendą Piłsudskiego. Był to oczywiście krach niemieckiej polityki wobec Polski.

Galicyjski polityk Jan Hupka pisał na gorąco (i proroczo) po aresztowaniu Piłsudskiego, że ostatecznie wróci on z więzienia w Niemczech jako bohater oraz męczennik narodowy i obejmie władzę. Gdy Piłsudski przyjechał do Warszawy w listopadzie 1918 r., uwolniony z twierdzy magdeburskiej, Rada Regencyjna przekazała mu władzę wojskową, a wraz z nią 9 tys. żołnierzy Polskiej Siły Zbrojnej. Piłsudski nie musiał więc budować dzięki temu Wojska Polskiego od zera, zastał nawet Sztab Generalny, na którego czele stał gen. Tadeusz Rozwadowski, późniejszy współtwórca – jako szef Sztabu Generalnego – zwycięstwa w Bitwie Warszawskiej w 1920 r. Oficerowie legionowi zaczęli w listopadzie 1918 r. odtwarzać swoje pułki, a pod koniec miesiąca pod dowództwem płk. Michała Tokarzewskiego-Karaszewicza, byłego oficera I Brygady, wyruszyła ekspedycja na odsiecz obrońcom Lwowa walczącym od trzech tygodni z Ukraińcami. Tak zaczęła się pierwsza wojna niepodległej Rzeczypospolitej.

© Ⓟ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 88698580d6

Legionowy Mannlicher



Michał Mackiewicz,
pracownik naukowy Muzeum Wojska Polskiego w Warszawie

Z epopeją Legionów nierozerwalnie związane są karabiny systemu Mannlichera, standardowe uzbrojenie cesarsko-królewskiej armii Austro-Węgier



W latach 80. XIX w. monarchia habsburska zdecydowała się wprowadzić do uzbrojenia nowoczesny karabin wielostrzałowy. Spośród kilku zaprezentowanych modeli uwagę zwróciła konstrukcja Ferdynanda Mannlichera pochodzącego z Niemiec. Karabin wyposażony był w magazynek pudełkowy umieszczony w środku ciężkości broni, co było rozwiązaniem rewolucyjnym. Stosowane dotychczas magazynki rurowe miały wiele wad, m.in. niewygodne i powolne ładowanie, które w przypadku wystrzelenia zapasu amunicji z magazynka czyniły jego ponowne napełnienie procesem tak kłopotliwym, że w ferworze walki broń z wielostrzałowej przeistaczała się faktycznie w jednostrzałową. Co więcej, w miarę ubywania nabojów zmieniał się środek ciężkości broni, co miało negatywny wpływ na celowanie.

Magazynek zastosowany przez Mannlichera, w którym naboje układały się wertykalnie, wyeliminował te niedoskonałości, a ładowało się go błyskawicznie dzięki ładownikowi mającemu postać blaszanej ramki obejmującej pięć nabojów. Po wystrzeleniu naboi ładownik samoistnie wypadał przez otwór w dnie magazynka, a strzelec mógł włożyć kolejny pięcionabojowy pakiet. Wielki zachwyt wzbudził też dwutaktowy zamek, a więc taki, który do przeładowania wymagał jedynie dwóch ruchów ręki, a nie czterech, jak w większości ówczesnych modeli z zamkami tłokowymi ślizgowo-obrotowymi.

Do 1885 r. Mannlicher przedstawił kilka projektów powtarzalnych karabinów kal. 11 mm, z których jeden został ostatecznie zaakceptowany i jako M1886 przyjęty do uzbrojenia. Niemal w tym samym momencie nowa konstrukcja stała się kupą nic niewartego złomu! Wszystko za sprawą Francuzów i ich rewolucyjnego Lebela. Strzelał on małokalibrową amunicją z prochem bezdymnym o nieporównywalnie lepszych właściwościach od prochu dymnego (czarnego), zwiększającym wydatnie prędkość początkową pocisku i zasięg strzału. Poza tym nie zanieczyszczał lufy i nie powodował kłębów dymu utrudniających celowanie.

Wszyscy pospiesznie zaczęli się przezbrajać. Austriacy wprowadzili nowy M1888 dostosowany do małokalibrowej amunicji 8 mm, ale jeszcze na proch czarny, i wreszcie M1888/90 zasilany amunicją z prochem bezdymnym. Na początku lat 90. Mannlicher dopracował konstrukcję dwutaktowego zamka, który składał się z dwóch części: trzonu zamkowego z rączką i tłoka zaporowego z symetrycznymi ryglami. Trzon wykonywał jedynie ruch liniowy, tłok natomiast miał spiralne bruzdy, które współpracowały z wystającymi polami wewnątrz trzonu. Odciągając trzon, wymuszano obrót tłoka i w efekcie odryglowanie broni oraz wyciągnięcie pustej łuski; ruch w przód wprowadzał kolejny nabój z magazynka i ryglował zamek.

Przekonstruowany mechanizm zastosowano w karabinie M1895 dostosowanym do nowego naboju kal. 8 mm o prędkości początkowej 620 m/s. Broń miała smukły, elegancki kształt i była najlżejszym z ówczesnych regulaminowych karabinów – tylko 3,65 kg, a nie ponad 4 kg, jak np. niemiecki Mauzer. Na zdjęciu przekrój M1895; widoczne: zamek z napiętą iglicą, magazynek (z ładownikiem i dwoma nabojami) i mechanizm spustowy (zbiory austriackiego Muzeum Historii Wojska).

Pistolet Steyr M1912

Twórcą pistoletu był czeski rusznikarz Karel Krnka, który automatykę broni oparł na wcześniejszym modelu – pistole-

eprasa.pl 88698580d6



cie Roth-Steyr wzór 1907 – i opatentował w cesarstwie habsburskim w 1911 r. Pistolet działał na zasadzie krótkiego odrzutu lufy, a ryglowany był poprzez jej obrót. Przyjęto go do uzbrojenia armii dopiero z chwilą wybuchu pierwszej wojny światowej jako Steyr Pistole M12, ale określano go także jako Steyr-Hahn, co znaczy – Steyr kurkowy (z uwagi na zewnętrzny kurek). Broń strzelała bardzo udanym, specjalnie do niej opracowanym nabojem 9 x 23 mm Steyr. Miała niewymienny magazynek, który ładowano z ośmionabojowych ładowników. Do 1918 r. wyprodukowano ok. 300 tys. sztuk. Przed pierwszą wojną światową pistolety te eksportowano do Rumunii i Chile. Ponadto w czasie wojny Austriacy sprzedali kilkanaście tysięcy Bawarczykom. Istniała tez wersja automatyczna, z dostawną kolbą i pojemniejszym magazynkiem (na zdjęciu). Pomimo ciekawych rozwiązań konstrukcyjnych i niezawodnego mechanizmu opinie o M1912 są podzielone. Krytykowano m.in. źle wyprofilowany chwyt oraz niezadowalającą celność.

Schwarzlose M1907/12

Podstawowy wzór ciężkiego karabinu maszynowego armii austro-węgierskiej w okresie pierwszej wojny światowej. Konstruktorem broni był Niemiec Andreas Wilhelm Schwarzlose. Pierwszy wzór (M1907) przyjęto do uzbrojenia w 1907 r. Choć wyglądem zbliżony był do klasycznych cekaemów Hiriama Maxima, to



działał na innej zasadzie: miał nieruchomą lufę i zamek półswobodny (określany niekiedy jako półzaryglowany), tzn. z opóźnionym otwarciem (w ryglowanych maximach zasadę działania oparto na krótkim odrzucie lufy). Dzięki temu był znacznie mniej skomplikowany, ale równie niezawodny. Uznaje się go za jeden z najlepszych cekaemów pierwszej wojny światowej. Broń kalibru 8 mm zasilana była z parcianej 100- lub 250-nabojowej taśmy i miała wodne chłodzenie.

Cechą wyróżniającą była wbudowana samoczynna oliwiarka naboi, ułatwiająca ich ekstrakcję z komory nabojowej po strzale. Choć wielu poczytywało to za wadę, karabin działał bez zarzutu, był starannie wykonany i stosunkowo prosty w obsłudze, chwalono łatwe rozkładanie i niewielką liczbę części. Osadzano go na trójnożnej regulowanej podstawie, niekiedy stosowano także tarczę ochronną. Masa broni w położeniu bojowym wynosiła ponad 40 kg, a szybkostrzelność 500 strz./min. Broń produkowała wytwórnia w Steyr. Karabiny te znalazły się na uzbrojeniu Legionów, a po 1918 r. wykorzystywano je w odrodzonym Wojsku Polskim.

Nóż bojowy M1917

Podczas pierwszej wojny światowej wiele dawno zarzuconych broni zyskało nowe życie. Sięgnięto m.in. po ręczne granaty, maczugi i uzbrojenie ochronne (stalowe napierśniki i hełmy). Wielki renesans przeżywał nóż bojowy, który stał się nieodłącznym towarzyszem żołnierzy walczących w okopach. Bagnety, z uwagi na rozmiar i kształt głowni, zupełnie nie nadawały się do roli praktycznego noża bojowego. Na początku konfliktu starano się przystosować je poprzez skrócenie głowni i zmodyfikowanie chwytu, ale były to zabiegi prowizoryczne, prowadzone w warunkach polowych. Z czasem wiele armii dorobiło się wzorów regulaminowych, fabrycznych. Austriacy produkowali masowo nóż M1917 (Grabendolch M17), który wbrew rocznemu oznaczeniu trafił na front już w 1916 r. Także do Legionów Polskich. Była to solidna broń z masywną 21-centymetrową głownią zakończoną ostrym centrycznym sztychem i z drewnianymi okładkami chwytu. Wybitnie uty-



litarne narzędzie, które zyskało uznanie żołnierzy grup szturmowych. Nóż przenoszono w metalowych pochwach zaopatrzonych w skórzaną lub parcianą pętlę na pas. M1917 produkowało wiele prywatnych firm rozsianych po całym imperium. Na zdjęciu: destrukt noża M1917 trafiony pociskiem na froncie (zbiory praskiego Muzeum Wojska).

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 88698580d6



Sotnia UPA „Lwy", 1944 r. FOT. COMMONS WIKIMEDIA

Druga wojna światowa / Swastyka i trójząb

Od wrogości do sojuszu



Damian Markowski

W końcowych miesiącach wojny cofający się Niemcy próbowali wykorzystać wszelkie możliwości, by osłabić nacierającą Armię Czerwoną. Dość nieoczekiwanie ich drogi zeszły się ze ścieżkami jednego z dotychczasowych wrogów – UPA

Kiedy wiosną 1943 r. Wołyń ogarnięty został ukraińskim nacjonalistycznym powstaniem, Niemcy z pełną bezwzględnością przystąpili do pacyfikacji terenu. Powstanie wołyńskiej UPA i urządzane przez nią masakry polskiej ludności zostały odebrane przez niemiecki aparat okupacyjny jako cios w plany urządzenia przez Rzeszę nowego ładu w Europie Wschodniej. Wioski ukraińskie, wokół których operowały prężnie organizowane oddziały UPA, były otaczane przez ekspedycje karne i palone, a ich mieszkańcy – w najlepszym razie – uprowadzani na przymusowe roboty do Rzeszy. Często jednak byli traktowani z największą brutalnością: rozstrzeliwano ich setkami, palono w domach... W wyniku tych działań w ciągu kilku miesięcy śmierć mogło ponieść nawet kilkanaście tysięcy ukraińskich cywilów. W wykładni OUN(b) Niemcy byli jednym z głównych wrogów, obok Sowietów i Polaków, na drodze do budowy wolnej Ukrainy. Należało jednak ograniczyć walkę z nimi, na ile to było możliwe, aby zachować siły na czas decydującej rozprawy ze Związkiem Sowieckim.

Wołyń pogrążył się zatem w chaosie. Wybuchła krwawa walka wszystkich ze wszystkimi: banderowcy wycinali w pień polskie wioski, niszczyli niemieckie posterunki i urzędy, zwalczali ekspedycje karne i coraz liczniej pojawiające się w terenie, napływające zza przedwojennej granicy, oddziały sowieckiej partyzantki. Niemcy niszczyli wsie wspierające UPA (lub czysto przypadkowo wybrano podczas ich „akcji"). Sowieci polowali na banderowców i Niemców, niejednokrotnie samemu stając się zwierzyną łowną. Polacy próbowali za wszelką cenę przetrwać, nawet wchodząc w moralnie dwuznaczny sojusz z komunistami. Wszystko to działo się w warunkach totalnej eksploatacji gospodarczej regionu przez aparat okupacyjny podległy fanatycznemu naziście Erichowi Kochowi.

Pod koniec 1943 r. i po klęskach w bitwach na Łuku Kurskim i o Kijów front szybko zbliżał się ku zachodniemu Wołyniowi i Galicji Wschodniej. Niemcy i Ukraińcy zaczęli dostrzegać pozytywy potencjalnego zawieszenia broni. Dla jednych i drugich najważniejszym i śmiertelnym wrogiem byli Sowieci. Poza tym musieli racjonować swoje siły. Rozejm wydawał się czymś pożądanym dla obu stron. U progu 1944 r. struktury Grupy UPA „Północ" operującej na Wołyniu zawarły rozejm i określiły ramy ograniczonej współpracy wywiadowczej z niemieckim okupantem. W marcu 1944 r. rozmowy zakończyły się układem zaaprobowanym przez dowódcę SS i policji w Komisariacie Rzeszy Ukraina SS-Gruppenführera Karla-Heinricha Brennera. Lokalne porozumienia zawarły również wybrane jednostki Wehrmachtu, w tym sztab XIII Korpusu Armijnego. Banderowcy zaprzestali ataków na Niemców,

eprasa.pl 88698580d6

a ci ograniczyli akcję pacyfikacyjną na ukraińskich wioskach. Ponadto naziści przekazali banderowcom trzy duże składy broni w Ratnie, Kamieniu Koszyrskim i Lubieszowie krótko przed nadejściem Armii Czerwonej.

Nowe reguły

Sytuacja na froncie zmieniła wszystko. Dość proste dotąd relacje między banderowcami a Niemcami, sprowadzające się do wymiany kul i granatów, weszły w nową fazę. Wołyński precedens zasiał wątpliwość u obu stron, czy w nowo kształtującej się sytuacji nie warto by „przejść razem pewnego odcinka drogi" także na innych terenach.

Droga ku porozumieniu w dystrykcie Galizien, obejmującym w przybliżeniu teren przedwojennych polskich województw tarnopolskiego, stanisławowskiego i części lwowskiego, była jednak równie wyboista jak na Wołyniu. Od lata 1943 r., kiedy to pierwsze oddziały UPA funkcjonujące w Galicji pod nazwą Ukraińskiej Ludowej Samoobrony pojawiły się w Karpatach, w Tarnopolskiem i Drohobyckiem, niemieckie siły bezpieczeństwa starały się je zwalczać niemal równie bezwzględnie jak na Wołyniu. Od listopada 1943 r. do maja 1944 r. w niemieckich pacyfikacjach i masowych egzekucjach zginęło ponad 1,5 tys. Ukraińców. Skala ofiar była nieporównywalna do ukraińskich strat na Wołyniu, ale i w Galicji z coraz większą niechęcią patrzono na okupantów spod znaku swastyki.

Oficjalnie Niemcy pozostawali dla banderowców wrogiem. Sowieci byli jednak coraz bliżej, a na początku kwietnia 1944 r. pod ich ciosami padł Tarnopol, ogłoszony przez Hitlera twierdzą. Już w marcu w okolicach Brzeżan oddział Iwana Pytlowanego „Honty" zawarł z Wehrmachtem lokalne porozumienie, w myśl którego Niemcy mieli udzielić Ukraińcom wsparcia w razie ataku na bazę samoobrony w Wicyniu. Wspólnie przeprowadzili też obławę na okoliczne lasy, zakończoną schwytaniem i likwidacją „wielu Żydów i polskiego kuriera". Tam, gdzie Niemcy i Ukraińcy działali razem, rosnąca w siłę bolszewicka partyzantka musiała znacznie bardziej mieć się na baczności.



Lwów 1942 r. Uroczystości pierwszej rocznicy przyłączenia Dystryktu „Galicja" do Generalnego Gubernatorstwa FOT. NAC

Przed dowództwem UPA stanął zatem poważny dylemat: spróbować wynegocjować rozejm, a może i coś więcej, z jednym z dotychczasowych wrogów, by osiągnąć przynajmniej chwilową przewagę nad sowiecką partyzantką, coraz śmielej zapuszczającą się na zachód, czy raczej trzymać się dotychczasowej wykładni, w myśl której OUN(b) jawić się miała jako siła również antynazistowska, tym bardziej że przegrana Niemiec w wojnie zaczynała coraz wyraźniej majaczyć na horyzoncie. Nie bez znaczenia była również postawa ukraińskiej ludności, zasadniczo niechętnej Niemcom.



Generał SS Karl-Heinrich Brenner

FOT. COMMONS WIKIMEDIA, JAY. S. LANCE

Na razie zwyciężyła druga z tych opcji. Kierownictwo OUN(b) i Główny Sztab UPA wydały wiele rozkazów zabraniających oddolnej współpracy z Niemcami, zastrzegając kompetencje do prowadzenia jakichkolwiek rozmów dla najwyższego kierownictwa organizacji. Jednakże szybko okazało się, że rozkazy sobie, a rzeczywistość sobie. Niejeden partyzancki dowódca nie zamierzał ich respektować. Pokusa zamknięcia jednego z frontów wraz z pojawiającą się czasami możliwością dozbrojenia okazywała się zbyt silna. Sztab partyzantki reagował, niekiedy ostro, jak wtedy, kiedy za samowolną współpracę z władzami okupacyjnymi i za przeprowadzoną „na własny rachunek" czystkę polskich mieszkańców wsi Chałupki rozstrzelano sotennego Olijnyka „Orła". Wydaje się jednak, że i wśród przywódców banderowskiego ruchu nie było jednomyślności, iż należy przymknąć oko w sytuacjach, kiedy współdziałanie może przynieść duże korzyści.

Jednak na pierwszy plan wysuwały się działania wymierzone w Sowietów. W ten sposób w maju kureń (batalion) UPA z Czarnego Lasu pod Stanisławowem nawiązał współdziałanie z pododdziałami 5. Dywizji Pancernej Wehrmachtu podczas wspólnej operacji oczyszczania Czarnego Lasu z sił sowieckich zgrupowania Michaiła Szukajewa.

Ale i wśród Niemców stanowiska były niejednolite. Gestapo, policja i Sicherheitsdienst starały się wypalić do korzenia wszelkie odruchy sprzeciwu bez

eprasa.pl 88698580d6

względu na to, że staraniem Hansa Franka na terenie Generalnego Gubernatorstwa, a więc i dystryktu Galizien, ludność ukraińska traktowana być miała jako „zaprzyjaźniona mniejszość". Tymczasem w kręgach Wehrmachtu i Abwehry z coraz większym zainteresowaniem śledzono rozwój ukraińskiej partyzantki i panujące w niej nastroje. W niejednokrotnie przesadzonych raportach operowano liczbą nawet 100 tys. ukraińskich bojowców, którymi rzekomo mieli dysponować nacjonaliści.

Zdając sobie sprawę ze złożoności sytuacji, banderowcy postanowili zagrać niemiecką kartą. 5 marca 1944 r. we Lwowie rozpoczęła się pierwsza tura rozmów między OUN(b) a SD. Ze strony niemieckiej w pierwszym spotkaniu udział wziął SS-Hauptsturmführer Bernhard Pape, a nacjonalistyczne podziemie reprezentował o. Iwan Hrynioch jako „Herasymowski". Rozmowy trwały z przerwami ponad dwa miesiące, m.in. za pośrednictwem greckokatolickich duchownych związanych z arcybiskupem metropolitą Andrijem Szeptyćkim. Zakończyły się zawarciem rozejmu i antysowieckiego porozumienia w pierwszym tygodniu czerwca 1944 r. Dosłownie kilkanaście dni przed rozpoczęciem wielkiej letniej ofensywy Armii Czerwonej.



Iwan Hrynioch, działacz Organizacji Ukraińskich Nacjonalistów prowadzący rozmowy z Niemcami

FOT. COMMONS WIKIMEDIA

Między młotem a kowadłem

Zakładnikami niemiecko-ukraińskich stosunków byli polscy mieszkańcy okupowanych województw południowo-wschodnich. O ile napady nacjonalistów były dla Polaków śmiertelnym zagrożeniem, o tyle potencjalny sojusz nazistów z banderowcami mógł być dla nich prawdziwą apokalipsą. Tym bardziej że niemieckie władze okupacyjne z reguły konsekwentnie odmawiały prośbom polskiej społeczności o przydział nawet symbolicznej ilości broni do samoobrony.

Ukraińskie podziemie z dużym zainteresowaniem śledziło niemieckie reakcje na ataki na ludność polską. „Po zniszczeniu Korościatyna i Huty Starej Niemcy przyjechali obejrzeć [zniszczone] wioski, nabrali sanie pełne kur i odjechali" – zapisano w banderowskim raporcie. Banderowcy z powodzeniem wykonywali działania prowokacyjne zakończone likwidacją polskich ośrodków oporu. W ten sposób z inicjatywy nacjonalistów, a na rozkaz Niemców, zniszczone zostały m.in. Huta Pieniacka i Hanaczów.

Miejscami współpraca niemiecko-ukraińska miała jednak znacznie szerszy zasięg, jak w ostatnich dniach kwietnia, kiedy to oddziały niemieckie wspólnie z UPA zlikwidowały tzw. trójkąt obronny AK, zlokalizowany między Buskiem a Kamionką Strumiłową na północ od Lwowa. Niemiecko-ukraińskie współdziałanie doprowadziło do rozbicia wielu baz polskiej samoobrony, zniszczenia broniących ich oddziałów polskich i wywózki do Rzeszy tysięcy chroniących się pod ich osłoną polskich rodzin.

Korzystając z informacji uzyskanych od Niemców, ukraińscy partyzanci wiedzieli, kiedy uderzyć na Polaków. Wielokrotnie niemieckie placówki w ogóle nie reagowały na masakry odbywające się dosłownie na ich oczach. Do rzadkości należały przypadki, kiedy – głównie z własnej inicjatywy – poszczególni niemieccy żołnierze lub funkcjonariusze alarmowali swoich przełożonych lub bezpośrednio stawali w obronie napadniętych. Śledztwa prowadzone z urzędu po masowych zabójstwach Polaków zwykle kończyły się na oględzinach zwłok lub sfotografowaniu ich. Zidentyfikowanych sprawców pociągano do odpowiedzialności niemal wyłącznie w przypadku, gdy ofiarami padali (zwykle „przy okazji" antypolskich akcji) także Niemcy.

Rezultatem takiego podejścia niemieckich władz okupacyjnych do rzezi polskiej ludności były ciche przyzwolenie na zbrodnicze działania banderowców, a także współudział części niemieckich oddziałów wojskowych i funkcjonariuszy w likwidacji większych polskich skupisk oporu w województwach lwowskim i tarnopolskim.



Pomnik poległych i zamordowanych Polaków podczas obrony Hanaczowa

FOT. COMMONS WIKIMEDIA, GLAUBE

eprasa.pl 88698580d6

Ukraińscy nacjonaliści próbowali zresztą poruszyć kwestię polską podczas rozmów z Niemcami we Lwowie, ustalając modus vivendi na końcowy etap wojny. Prawdopodobnie nie udało im się przeforsować jednego z drugorzędnych zresztą punktów umowy, na podstawie którego Niemcy mieli pozostawić Ukraińcom w Galicji Wschodniej wolną rękę w kwestii polskiej, czytaj: pozwolić na dokończenie masakry trwającej od roku.

Upowskie armaty

Zawarcie porozumienia między OUN(b) i UPA a Niemcami we Lwowie sprawiło, że obie mogły być zadowolone. W zamian za powstrzymanie się od atakowania wojsk niemieckich i nieprzeszkadzanie w ściąganiu kontyngentów UPA mogła liczyć na neutralność Wehrmachtu oraz na dozbrojenie, głównie w sowiecki zdobyczny sprzęt zalegający w niemieckich magazynach. Tylko w pierwszych tygodniach porozumienia w ręce ukraińskich partyzantów trafiło kilkanaście tysięcy sztuk broni, w tym kilkaset karabinów maszynowych, moździerze piechoty, automaty i wiele granatów ręcznych, a nawet pojedyncze armaty. Co więcej, obie strony miały wymieniać się informacjami przydatnymi w walce z Sowietami. Można przypuszczać, że aspekt ten był szczególnie istotny dla Niemców, ponieważ pozwalał im na zdobycie cennych danych płynących z sowieckich tyłów.

Zawierając umowę z Ukraińcami, Niemcy mieli w ręku jeszcze jedną kartę przetargową. Był nią Stepan Bandera, od lata 1941 r. więziony w obozie koncentracyjnym w Sachsenhausen. Duchowy przywódca ukraińskich nacjonalistów od momentu uwięzienia przestał mieć większy wpływ na działalność OUN(b), ale pozostawał ważnym symbolem dla narodowego ruchu oporu. Naziści doskonale zdawali sobie z tego sprawę. Chociaż Bandera był oficjalnie więźniem obozu, to osadzono go w tzw. Zellenbau, gdzie znajdowali się więźniowie wymagający specjalnego traktowania. Nie był zatem – jak tysiące innych nieszczęśników – wyniszczany pracą i mógł liczyć na specjalne traktowanie.

Kilkanaście dni po zawarciu lwowskiego porozumienia niemieckie więzienia zaczęli opuszczać pierwsi ukraińscy jeńcy polityczni, oczywiście w pierwszej kolejności członkowie podziemia. Bandera odzyskał wolność pod koniec września 1944 r. W tym czasie niemiecko-ukraińska współpraca wywiadowcza wchodziła w swoje apogeum.



Plakat OUN-UPA

FOT. COMMONS WIKIMEDIA, НІЛ НАСЕВІСЗ

Warunki umowy były na ogół respektowane przez obie strony, choć trzeba przyznać, że przynajmniej w pierwszych tygodniach nacjonaliści nie zawsze byli im wierni. Nadal zdarzało się, że oddziały UPA operujące w Karpatach urządzały zasadzki na cofające się kolumny niemieckie. Z czasem jednak przypadki te były coraz rzadsze. Najgroźniejszy wróg już nadszedł. Ukraińcy rzucili całość swych sił do nierównego starcia z sowieckim kolosem.

Banderowska partyzantka po raz kolejny mogła skorzystać na świeżym porozumieniu. Kiedy w lipcu front runął pod ciosami czerwonych dywizji, cofający się Niemcy starali się wspierać siły UPA w przenikaniu za sowieckie linie. Dzięki temu leśnym partyzantom udało się przeprowadzić operację bez większych strat. Bez wątpienia były to dla nich spory sukces i ogromne ułatwienie przed przystąpieniem do decydującej rozgrywki w walce z państwem Stalina. W ten sposób na tyły Armii Czerwonej przeszło co najmniej 45 większych oddziałów UPA.

Podpalić wschód!

We wrześniu 1944 r. niemal cały obszar Europy Środkowo-Wschodniej zamieszkany przez ludność ukraińską znajdował się już ponownie na tyłach sowieckiego frontu. Naziści mogli zatem przystąpić do pełnego wykorzystania możliwości swoich ukraińskich sojuszników. Nocami, gdy przewaga sowieckiego lotnictwa nie była aż tak odczuwalna jak za dnia, w powietrze wzbijały się samoloty Pułku Specjalnego Przeznaczenia. Piloci Kampf Geschwader 200 należeli do elity Luftwaffe. Przelot nad frontem i zrzut spadochroniarzy oraz sprzętu nie stanowiły dla nich najmniejszego problemu. W ten sposób w Karpaty, w lasy Wołynia i Galicji Wschodniej oraz pod sam Lwów trafiali kolejni przeszkoleni przez Abwehrę Ukraińcy, zwykle członkowie OUN(b). Zaopatrzeni w broń, radiostacje, mapy i pieniądze docierali do operujących w terenie oddziałów UPA i prowadzili działania wywiadowcze. Ich rezultaty przekazywano do niemieckich mocodawców. Dzięki temu Niemcy mieli pierwszorzędne informacje dotyczące sytuacji na tyłach frontu, transportów wrogich wojsk przemieszczanych koleją i nowych lotnisk polowych.

Był to jednak tylko wierzchołek góry lodowej. Niemieckie służby od miesięcy pracowały nad planem wzniecenia na tyłach nacierającej Armii Czerwonej, coraz bardziej zagrażającej samej Rzeszy, wielu powstań narodów Europy Wschodniej. Nie może zatem dziwić, że wciągnięcie w walkę z Sowietami Ukraińców było jednym z głównych celów niemieckiej polityki. I walkę tę naziści podsycali dopóty, dopóki tylko byli w stanie.

Ożywiona współpraca wywiadowczo-wojskowa między niemieckimi służbami specjalnymi a ukraińskimi nacjonalistami trwała do pierwszych dni wielkiej styczniowej ofensywy Armii Czerwonej w 1945 r. Po kolejnych sowieckich sukcesach i odrzuceniu Wehrmachtu daleko na zachód znacznie trudniejsze stały się loty nad „Zachodnią Ukrainę". Zresztą w konającej Rzeszy nie było już na to sił i środków. Coraz rzadziej wysyłano na wschód ukraińskich agentów, kończyły się środki od niemieckiego sojusznika. OUN(b) i UPA walczyły już dalej pozbawione zewnętrznego wsparcia. Ich narodowowyzwoleńcza walka z sowieckim reżimem, tyleż krwawa, co skazana na niepowodzenie, trwała jeszcze kilka lat.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

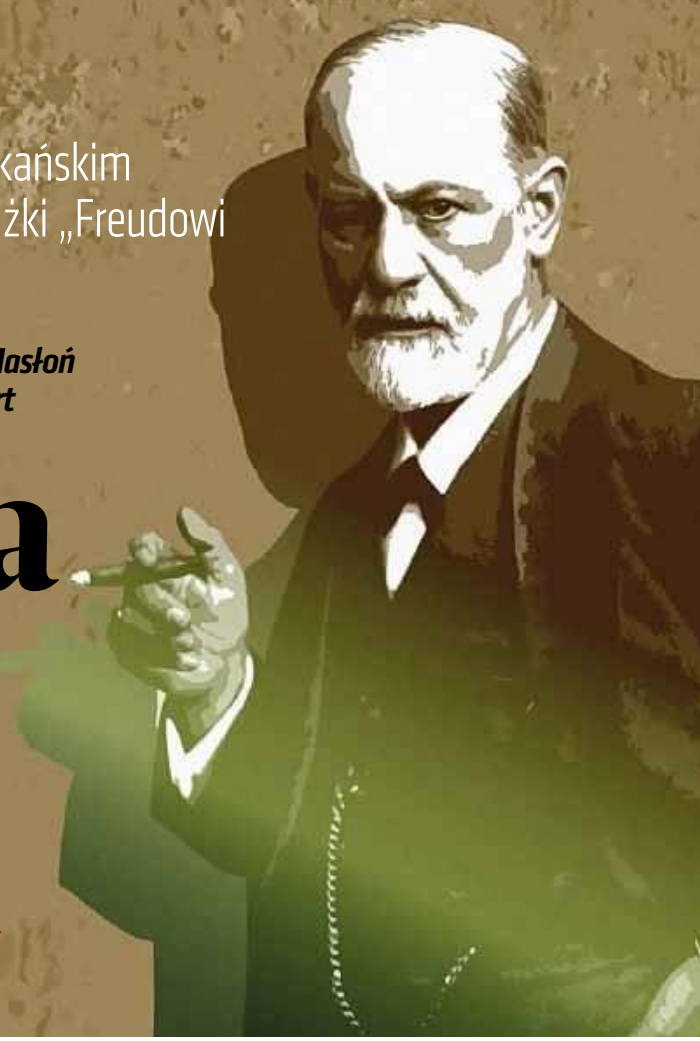
eprasa.pl 88698580d6

Wywiad / Z Andrew Nagorskim, amerykańskim dziennikarzem, autorem książki „Freudowi na ratunek”




rozmawiają Krzysztof Masłoń i Tomasz Zbigniew Zapert

Ostatnia wojna Freuda



FOT. ADOBE STOCK

KRZYSZTOF MASŁOŃ, TOMASZ ZBIGNIEW ZAPERT: Wiedeń – zimnowojenną stolicę szpiegów, że użyjemy określenia Wiktora Suworowa – często odwiedzał pan w czasie swojej pracy dziennikarskiej. Także tropami Zygmunta Freuda?

ANDREW NAGORSKI: Nie przypuszczałem, że kiedyś poświecę mu książkę. Miałem utrwalony wizerunek dostojnego i szanowanego naukowca, znałem podstawy jego teorii. Do wgłębienia się w życiorys profesora zainspirowała mnie lektura wspomnień Stefana Zweiga zatytułowanych „Wczorajszy świat”. Natrafiłem w nich na bardzo barwne opisy Wiednia, ze szczególnym uwzględnieniem życia lokalnej socjety, której Freud był czołowym reprezentantem. Zresztą wywarł on na Zweigu olbrzymie wrażenie, autor go dobrze poznał i ukazał – rzekłbym – od kuchni. I ten burzący stereotyp obraz mnie zaciekawiał. Tyle że pisarz opuścił Austrię już w roku 1934, kiedy jeszcze wyjechać z niej było stosunkowo łatwo, przeczuwając, do czego prowadzi przejęcie władzy w Niemczech przez narodowych socjalistów. Freud tego nie przewidział, co mnie zaskoczyło, zarazem motywując do opisania dramatycznej końcówki życia twórcy psychoanalizy.

Zmarłego – przypomnijmy – 23 września 1939 r. w Londynie.

Dożył drugiej wojny światowej. Już na łożu śmierci zapytany, czy to ostatnia wojna, odparł, że jego na pewno tak.

I nie pomylił się, choć udzielił odpowiedzi w iście angielskim stylu, którego był entuzjastą.

W Albionie zauroczył się, można rzec, od pierwszego wejrzenia, kiedy jeszcze za młodu po raz pierwszy tam przybył. Nie przeszkadzała mu dominująca na Wyspach Brytyjskich kapryśna pogoda, podziwiał uporządkowany – by nie powiedzieć nudny – tryb życia ich mieszkańców. Stwierdził, że to jedyne inne miejsce, w którym wyobraża sobie życie, choć nadal wolał Wiedeń.

Do przeprowadzki doszło dopiero latem 1938 r.

Rekonstruując wyjazd Freuda z Wiednia, odwiedzałem rozmaite archiwa, skrupulatnie wertując dokumenty z epoki. Najwięcej czasu zajęło mi przeglądanie dokumentów z Biblioteki Kongresu w Waszyngtonie. Mozolnie wnikałem też w treść listów profesora. A prowadził bardzo obfitą korespondencję.

Między innymi z Marią Bonaparte.

Zbieżność nazwisk nieprzypadkowa – jej pradziadek był bratem Napoleona. Była ona kobietą bardzo zamożną, po matce dziedziczką kasyna w Monte Carlo, osobą wpływową (m.in. dzięki romansowi z czołowym politykiem francuskim, Aristide'em Briandem). Freud leczył ją z oziębłości płciowej.

eprasa.pl 88698580d6

Z jakim rezultatem?

Brak danych (śmiech). Wyperswadował jej karierę lekarską, skłaniając do zajęcia się psychoanalizą. Rozpropagowała ją we Francji. Po wcieleniu Austrii do Trzeciej Rzeszy Maria Bonaparte stała się nieformalną przedstawicielką swego psychoterapeuty w Paryżu. Zapłaciła za niego tzw. Reichsfluchtsteuer, czyli „podatek od ucieczki z Rzeszy". Ponadto zapewniła hojne łapówki gestapowcom i nazistowskim urzędnikom.

W sukurs Freudowi przyszedł także inny pacjent. Rodem zza Atlantyku.

William Bullitt, pierwszy ambasador Stanów Zjednoczonych w Związku Sowieckim, potem piastował takie samo stanowisko w Paryżu. Z Freudem połączyła go nie tylko relacja medyczna. Obydwaj krytykowali politykę zagraniczną prezydenta Woodrowa Wilsona. Ale z rozmaitych powodów. Freud uważał, że postanowienia traktatu wersalskiego upokarzają państwa centralne i stanowią zapalnik nowego konfliktu zbrojnego w Europie, natomiast Bullitt już w roku 1919 optował za nawiązaniem stosunków dyplomatycznych USA z bolszewicką Rosją. Wspólnie opracowali nawet dysertację „Woodrow Wilson: A Psychological Study", opublikowaną dopiero w latach 60.

Amerykanin początkowo był do bolszewików nastawiony życzliwie...

Diametralnie zmienił zdanie w latach 30., po swojej misji dyplomatycznej w Moskwie. Usilnie nakłaniał prezydenta Franklina Delano Roosevelta do powstrzymania ekspansji sowieckiej. Bezskutecznie.

Jedną z żon Bullitta była wdowa po amerykańskim dziennikarzu, apologecie komunizmu Johnie Reedzie, autorze propagandowej książki „10 dni, które wstrząsnęły światem", sportretowanego przez Hollywood w równie głośnym, co fałszywym filmie pt. „Czerwoni".

Małżeństwo Bullitta z Louise Bryant po paru latach się jednak rozpadło. A w roku 1938, kiedy przebywał na placówce ambasadorskiej we Francji, interweniował w Berlinie w sprawie Freuda.

Do uratowania naukowca przyczynił się również nazista.

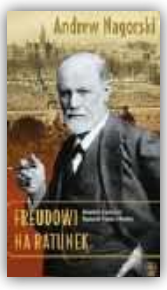


Philip de László „Maria Bonaparte" FOT. COMMONS WIKIMEDIA



William Bullitt FOT. COMMONS WIKIMEDIA

W hitlerowskich Niemczech psychoanalizę podporządkowano aparatowi partyjnemu. Kierował nią Matthias Göring, psychoanalityk, kuzyn Hermanna Göringa. Nauki Freuda potępiono, a jego dzieła palono na stosach wraz z książkami innych niepoprawnych ideologicznie autorów. Tym bardziej zaskakuje, że profesorowi i jego bliskim (w sumie 17 osób) pomógł austriacki nazista Anton Sauerwald, chemik z wykształcenia, którego mianowano treuhaenderem (powiernikiem) majątku Freudów. Sauerwald otoczył ich opieką, a nawet skłonił gestapo do zapłaty za transport bagaży Freudów. Ponadto nie zgłosił władzom niemieckim zagranicznych funduszy, które profesor trzymał na lokatach w szwajcarskich bankach, co było uważane – po Anschlussie – za „żydowską zbrodnię". Sauerwald nigdy nie ujawnił motywów swego postępowania. Podejrzewam, że mogło ono wynikać z tego, że jego akademickim nauczycielem był przyjaciel Freuda.



Sędziwy psychoanalityk zamieszkały w kamienicy przy Berggasse 19 (obecnie znajduje się tam jego muzeum) odmawiał wyjazdu z Austrii nawet po jej aneksji przez Trzecią Rzeszę?

Tak. Dopiero 22 marca 1938 r. – gdy gestapo aresztowało jego najmłodszą córkę, Annę – uznał, że trzeba uciekać. Dodam, że z bardzo udanego i długotrwałego małżeństwa z niemiecką Żydówką Marthą Bernays dochował się sześciorga potomstwa.

Opuszczając swe wieloletnie lokum, musiał podpisać osobliwe oświadczenie...

Tak mu nakazał oficer gestapo. Brzmiało ono następująco: „Ja, niżej podpisany, profesor Freud, niniejszym oświadczam, że od czasu aneksji Austrii przez Rzeszę Niemiecką byłem traktowany przez władze niemieckie, a w szczególności przez gestapo, z całym szacunkiem i uwagą należną mojej reputacji jako naukowca i mogłem żyć i pracować, ciesząc się pełną swobodą; mogłem również prowadzić swoją działalność w sposób, w jaki chciałem, i w tym celu spotkałem się z pełnym poparciem zainteresowanych osób, nie mam najmniejszego powodu do złożenia skargi".

A jak przebiegał sam wyjazd?

Chociaż był pieczołowicie zaplanowany, to jednak towarzyszył mu strach. 3 czerwca 1938 r. profesor razem z rodziną wsiadł na wiedeńskim dworcu kolejowym do wagonu słynnego pociągu Orient Express. Trasa wiodła przez Niemcy – na każdej mijanej stacji powiewały chorągwie ze swastyką. Freudowie odetchnęli dopiero po przekroczeniu granicy francuskiej.

W Paryżu uroczyście podjęła ich Maria Bonaparte wraz z mężem, greckim księciem Jerzym. Z honorami powitał ich także ambasador Bullitt. W Londynie Freud zatrzymał się w mieszkaniu przy Maresfield Gardens 20. Właśnie tam redagował swą ostatnią pracę – „Człowiek imieniem Mojżesz a religia monoteistyczna".

eprasa.pl 88698580d6



Kamienica w Wiedniu, w której mieszkał Freud

FOT. COMMONS WIKIMEDIA, C.STADLER BWAG

W gronie, które dotarło do Anglii, zabrakło sióstr profesora. Dlaczego?

Prawdopodobnie czuły, podobnie jak ich brat, że nie ma potrzeby uciekać z Austrii. Były chyba przekonane, że nic nim nie zagraża. Po wyjeździe Freud zdał sobie sprawę z niebezpieczeństwa i poprosił Marię Bonaparte, aby je wydostała, ale było już za późno. Trzy z nich Niemcy zagazowali w obozie zagłady w Treblince, a jedna zmarła w obozie koncentracyjnym Theresienstadt.

Wybitną rolę w przygotowaniu wyjazdu Freuda odegrał Ernest Jones. Kim był ten mężczyzna?

Walijskim lekarzem, który po to, by studiować dzieła Freuda, nauczył się języka niemieckiego. Z czasem został prezesem Międzynarodowego Towarzystwa Psychoanalitycznego i to on wywołał w świecie anglosaskim zainteresowanie zarówno nową nauką, jak i osobą jej twórcy. Nawiasem mówiąc, Freud po swej jedynej wyprawie do USA wyrażał się o tym państwie bardzo niepochlebnie, choć przyjmowano go tam wspaniale. Pozostawał jednak europocentryczny. O Anglii, porównując ją z Austrią, pisał: „Wolałbym mieszkać tam, nie tu, mimo deszczu, mgły, pijaństwa i konserwatyzmu", a o Stanach: „Tak, Ameryka jest gigantyczna, jest jednak gigantyczną pomyłką". A odnośnie do Jonesa, który osobiście wpłynął na brytyjskie władze, by przyjęły wiedeńskiego psychiatrę wraz z towarzyszącymi mu osobami, dla Freuda duże znaczenie miało to, że nie był on Żydem. Zdając sobie sprawę ze znaczenia antysemityzmu, świadomy był niebezpieczeństw kryjących się za stygmatyzowaniem psychoanalizy jako „żydowskiej pseudonauki", co czynili hitlerowcy. I to z tego powodu do czasu, gdy ich drogi całkowicie się rozeszły, wspierał Carla Gustava Junga. Chciał, aby to właśnie on, jako nie-Żyd, był „twarzą" Wiedeńskiego Towarzystwa Psychiatrycznego.

Żydem był natomiast lekarz Freuda, Max Schur, który również przyczynił się do opuszczenia przez profesora Wiednia wcielonego do Trzeciej Rzeszy.

„Zorientowany w psychoanalizie internista" – tak rekomendowała go Maria Bonaparte. Jego stosunek do Freuda był wyjątkowy. Choć w porę załatwił sobie i swojej rodzinie wyjazd do Stanów Zjednoczonych, to pozostał przy swoim pacjencie, by opiekować się nim, a następnie zadbał o stworzenie mu w Anglii odpowiednich warunków i należytej opieki. Towarzyszył mu do końca, dokładnie znając jego przypadłości zdrowotne i skalę cierpień – wiele lat zmagał się bowiem Freud, przechodząc niezliczone operacje, z nowotworem szczęki.

Freud pisał o sobie: „Moi rodzice byli Żydami i ja też pozostałem Żydem". Co wynika z takiej deklaracji?

I dużo, i mało. Freud nie był ani religijny, ani praktykujący, a do ortodoksyjnych Żydów stosunek miał raczej niechętny. Ale jeszcze na studiach na Uniwersytecie Wiedeńskim zetknął się z antysemityzmem i z tym, że – jak pisał – „oczekuje się ode mnie poczucia niższości i wyobcowania, bo jestem Żydem". „Nie zamierzałem do tego dopuścić" – stwierdził z całą mocą.

A co sądził o syjonizmie, którego narodzin był świadkiem, będąc rówieśnikiem twórcy tego ruchu, Theodora Herzla?

Chociaż przez dwa lata mieszkali w Wiedniu przy tej samej ulicy, to się nie poznali, a później mieli ze sobą jedynie listowny kontakt. Obserwował jednak rozwój syjonizmu, który zyskiwał na znaczeniu. Wykonywał także znaczące gesty, jak choćby ten, gdy wszedł w skład pierwszej Rady Uniwersytetu Hebrajskiego w Jerozolimie. Ale też nie akceptował wszystkiego, co było związane z ideą stworzenia na Bliskim Wschodzie domu dla Żydów. I kiedy w 1930 r. Chaim Koffler, wiedeński przedstawiciel syjonistycznej fundacji pomagającej Żydom imigrującym do Palestyny, zwrócił się do niego o wsparcie, odmówił mu, wyjaśniając: „Ktokolwiek pragnie wpływać na masy, musi wpierw dać im coś porywającego i energizującego, a moje trzeźwe spojrzenie na syjonizm na to nie pozwala".

Realizm ten kłócił się z emocjami społecznymi i narodowymi. W Ziemi Świętej dochodziło do starć Żydów z Arabami, w których ginęli jedni i drudzy.

Freud pisał nawet, że „nieufność Arabów po części wynika z bezprzykładnego fanatyzmu naszych rodaków". W liście do Kofflera dodał również: „Nie sądzę, by Palestyna kiedykolwiek mogła stać się państwem żydowskim ani że świat chrześcijaństwa czy islamu kiedykolwiek pozwolą, by ich święte miejsca znalazły się pod władzą Żydów. Bardziej rozsądne wydaje mi się utworzenie żydowskiej ojczyzny w kraju mniej obciążonym historycznie. Wiem jednak, że taki racjonalny punkt widzenia nigdy nie wzbudziłby entuzjazmu mas i finansowego wsparcia bogatych".

Na pewno odpowiedź taka nie mogła przypaść do gustu adresatowi listu, który – jak dowiedzieliśmy się z pańskiej książki – na jego marginesie miał zaznaczyć: „Nie pokazywać obcokrajowcom".

I, jak się dowiedziałem od przedstawicieli Biblioteki Narodowej Izraela, która przechowuje tę korespondencję, list nie był publikowany przez 60 lat.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone



Andrew Nagorski
– dziennikarz i pisarz amerykański polskiego pochodzenia. Szef biur „Newsweeka" w Hongkongu, Moskwie, Rzymie, Bonn, Warszawie i Berlinie. Jako specjalista do spraw Europy Wschodniej relacjonował m.in. powstanie Solidarności. Rozgłos zyskał w 1982 r., gdy niezależne ostre komentarze doprowadziły do wydalenia go z ZSRS. Autor książek, m.in.: „Największa bitwa, Moskwa 1941–1942", „1941. Rok, w którym Niemcy przegrały wojnę", „Hitlerland", „Łowcy nazistów" i najnowszej: „Freudowi na ratunek".

eprasa.pl 88698580d6



Pietro Aldi „Spotkanie Giuseppe Garibaldiego z Wiktorem Emanuelem II w Teano"

FOT. COMMONS WIKIMEDIA, PALAZZO PUBLICO SIENA

X–XXI w. / Dynastia sabaudzka

Farciarze na tronie



Piotr Semka

Władcy Sabaudii w ciągu stuleci wyćwiczyli się w sztuce poszukiwania politycznych okazji. Ta umiejętność doprowadziła ich w końcu, bardzo krętymi drogami, na tron zjednoczonej Italii

3 lutego 2024 r. zmarł w Genewie Vittorio Emanuele di Savoia – ostatni książę koronny Królestwa Włoch i głowa rodu Savoia. Jego prochy, po skremowaniu, złożono w krypcie mauzoleum dynastii sabaudzkiej w bazylice Superga w Turynie. Zwolennicy monarchii nad Padem i Tybrem określali go jako Wiktor Emanuel IV. Był synem Humberta II, ostatniego króla Włoch, który abdykował w czerwcu 1946 r. Było to pokłosie referendum, w którym Włosi wybrali republikańską formę rządów. Uroczysty pogrzeb dziedzica dynastii sabaudzkiej, sięgającej X w., jednej z najstarszych w Europie, przypomniał o fenomenie tego rodu, który przez 85 lat panował na Półwyspie Apenińskim i połączył ziemie Italii.

Gdyby w epoce renesansu ktoś poważył się zgadywać, który ród może w przyszłości zjednoczyć Włochy, padłyby zapewne nazwy rodzin Medyceuszy, Sforzów, Medicich, Gonzagów czy Borghese, ale zapewne nikt nie wymieniłby dynastii sabaudzkiej. Ich ojczyzna – księstwo Piemontu – w walce o swoją niezależność od średniowiecza balansowała między Francją, Świętym Cesarstwem Rzymskim Narodu Niemieckiego i włoskimi republikami kupieckimi. Nie było to żadne polityczne centrum Włoch i bynajmniej nie była to ich najbogatsza część. Ten region zdominowany jest przez Alpy, a Turynowi daleko było do bogactwa i splendoru Florencji, Genui, Wenecji czy Bolonii. Ba, dynastii sabaudzkiej nie uważano nawet za pełnoprawnych Włochów, lecz za pół-Francuzów rozmawiających ze sobą językiem Galów. A jednak to właśnie ten ród zdobył włoską koronę i utrzymał ją w swej pieczy przez prawie wiek. Jak władcy dumnej Savoi dokonali tej sztuki?

Naturalny bufor

W dzisiejszych reklamach wielkich sieci handlowych klientów często przedstawia się jako poszukiwaczy okazji. Władcy Sabaudii w ciągu stuleci wyćwiczyli się w innej sztuce – w poszukiwaniu politycznych okazji. Każdy konflikt oceniano pod kątem szans na zdobycie dla rodu kolejnego terytorium czy przywileju. Przy okazji nauczono się cenić elastyczność połączoną ze skutecznością.

Od XVI w. Sabaudia musi się mierzyć z coraz większą zaborczością Francji, która szuka sposobów, aby ją podbić. Z kolei cesarstwo Habsburgów również ma swoje więzy z Sabaudią i nie chce, by Paryż połknął tę górzystą krainę, traktowaną jako naturalny bufor między państwem Burbonów i Austrią. W 1714 r., wskutek targów dyplomatycznych, Piemont zostaje połączony z Sardynią i Sycylią. Rewolucja francuska burzy te skomplikowane układanki dynastyczne, choć równocześnie tworzy nowoczesny

eprasa.pl 88698580d6



Luigi Norfini „Oddziały sardyńskie atakują pod San Martino", fragment bitwy pod Solferino FOT. COMMONS WIKIMEDIA, COMMUNE TORINO IT

patriotyzm włoski. Napoleon chce zjednoczonej Italii dla siebie, jednak równocześnie uświadamia Włochom, że zjednoczenie ich kraju jest całkiem realne. Kongres wiedeński przywraca status quo, czyli Italię podzieloną na wiele małych państewek, ale już rewolucje Wiosny Ludów na nowo wskrzeszają hasło „Unità d'Italia". Awansu Piemontu na pozycję lidera włoskiej gry o zjednoczenie nie byłoby jednak, gdyby nie trzy bardzo różne postacie, które połączyły swe talenty polityczne.

Zjednoczenie Włoch było możliwe dzięki wybujałym ambicjom Wiktora Emanuela II (1820–1878). Ten korpulentny Sabaudczyk z charakterystycznym zakręconym wąsem i szpicbródką uznał się za męża opatrznościowego Italii i założyciela pierwszej w dziejach włoskiej rodziny królewskiej. Smakosz życia, miłośnik wina Barolo i trufli, a przy okazji erotoman. W polityce był ostrożny, co jednak nie znaczy, że był lękliwy.

Najprawdopodobniej nie zrealizowałby nawet połowy swych planów, gdyby w 1852 r. nie wyznaczył na szefa swojego rządu hrabiego Camilla Benso di Cavoura (1810–1861). Ten chłodny umysł potrafił planować ruchy na europejskiej szachownicy dyplomatycznej równie precyzyjnie jak Otto von Bismarck czy Lord Palmerston. Ale i dyplomatyczna perfekcja Cavoura nie wystarczyłaby, gdyby zabrakło nieokiełznanego geniusza włoskiej rewolucji –Giuseppe Garibaldiego (1807–1882). Ten niespokojny duch potrafił w kluczowym momencie wali o unifikację Włoch połączyć swe siły z Wiktorem Emmanuelem II i uznać, że tylko koronowana głowa może zjednoczyć ojczyznę Dantego i Petrarki.

Każdy z tej trójki miał zalety, których nie mieli pozostali, a wszyscy razem uruchomili niezwykle skuteczny proces państwowotwórczy. Co nie znaczy, że za sobą przepadali. Szczególnie Garibaldi wyjdzie z tej współpracy mocno poobijany.

Trzy etapy zjednoczenia

Jak to często bywa, przyszły sukces zaczął się od bolesnej klęski. W 1849 r. książę Sabaudii Karol Albert, ojciec późniejszego Wiktora Emanuela II, porwany patriotycznymi hasłami wyzwolenia północnych Włoch spod władzy Habsburgów – czego domagała się turyńska ulica – wypowiedział wojnę Austriakom. Choć Wiedeń musiał wtedy równolegle zmagać się z rewoltą Węgrów, to jednak atak Piemontu spotkał się z ostrą ripostą Austriaków. Marszałek Joseph Radetzky dość łatwo dał sabaudzkim wojskom bolesną nauczkę w bitwie pod Nowarą (22–23 marca 1849 r.).

Dla ratowania prestiżu piemonckiej monarchii na tron wprowadzono Wiktora Emanuela II. Nowy książę miał szczęśliwą rękę do ludzi. Jak już wspomnieliśmy, mianował on na nowego szefa rządu hrabiego Cavoura. W Turynie panowały wtedy marne nastroje. Było jasne, że Austriacy spuścili Piemontczykom tęgie lanie i wiedeńskie elity władzy uważnie obserwowały, czy tak brutalna lekcja nauczy ich moresu. Jeśli nie, to habsburscy generałowie byli gotowi na powtórkę, tak by Sabaudowie raz na zawsze wybili sobie z głowy mrzonki o wypchnięciu Austrii z północnych Włoch.



Camillo Cavour, premier Królestwa Sardynii FOT. WIKIPEDIA

Mając habsburski nóż na gardle, Wiktor Emanuel II był zdany na sojusz z Francją rządzoną wówczas przez Napoleona III, który nie chciał zbyt silnej Austrii w swoim bliskim otoczeniu. Aby udowodnić cesarzowi, że Piemont umie się bić, Cavour zaoferował Paryżowi pomoc kontyngentu wojska sardyńskich w wojnie krymskiej. Przybysze z Piemontu walczyli z Rosjanami na tyle dobrze, że francuscy wojskowi zaczęli na poważnie brać propozycje Turynu, by razem przetrzepać Austriakom skórę. Cesarz Francuzów miał jednak twardy warunek – w zamian za pomoc w wojnie zachodnia Savoia musi przejść w ręce Francji.

Na wieść o tym żądaniu Paryża Wiktor Emanuel II miał podobno wpaść w szał. Ale szybko uspokoiły go trzeźwe słowa Cavoura: „Cóż z tego, że straci Wasza Królewska Mość pół Sabaudii, skoro zyskać możemy całe Włochy?". Na dodatek Cavour wpadł na genialny pomysł, by sprowokować Wiedeń. Wojsko piemonckie zaczyna się na wyścigi zbroić i w rezultacie zadufana Austria zaatakowała pierwsza. Generałowie z Wiednia szybko stracili jednak rezon. Dwie wygrane sił francusko-piemonckich pod Magentą i Solferino w czerwcu 1859 r. zakończyły wojnę na korzyść planów Cavoura. Austriacy musieli oddać Lombardię, ale zachowali Wenecję i Veneto. Teraz Wiktorowi Emanuelowi II przyszło zapłacić gorzką cenę za ten sukces. Zawarty w 1860 r. w Turynie traktat oddawał Francji zachodnią Sabaudię, co potwierdzał sfałszowany (przynajmniej w części) plebiscyt ludowy. Ale tę gorzką pigułkę wynagradzało ogłoszenie powstania królestwa Włoch ze stolicą w Turynie.

Bezsilny cesarz Franciszek Józef odreagowywał swą wściekłość z powodu utraty Mediolanu i Monzy wyzywaniem Wiktora Emanuela II od włoskich „złodziejaszków i rzezimieszków".

eprasa.pl 88698580d6



Premier Włoch Benito Mussolini (z lewej) podczas rozmowy z królem Włoch Wiktorem Emanuelem III, 1938 r. FOT. NAC

Przyszedł w końcu czas na zagranie kartą rewolucjonisty Garibaldiego. W maju 1860 r. wyprawa „tysiąca czerwonych koszul" zdobyła Sycylię, a potem południe Włoch. Sława Garibaldiego jako wysłannika jednoczyciela Włoch wyprzedzała go, paraliżując wojska króla Obojga Sycylii Franciszka II, i była jego najlepszą bronią. Bez wystrzału kapitulowały silne garnizony i dywizje. Wszyscy mieli dosyć hiszpańskich Burbonów, którzy w końcu uciekli z Neapolu.

Pięć lat później, w 1866 r., Wiktor Emanuel II wykorzystał kolejną okazję do poszerzenia swoich włości. Prusy musiały pobić Austrię, by zjednoczyć Niemcy, i z chęcią przyjęły włoskiego wspólnika do małej wojenki. Armia Italii znów pobiła Austriaków i odzyskała Veneto i Wenecję. Stolica została przeniesiona do Florencji. Pozostało już tylko zdobycie Rzymu i resztek Państwa Kościelnego, których broniły wojska Napoleona III uważającego się za obrońcę katolicyzmu. Cesarz wpadł jednak niedługo w ogromne tarapaty. W 1870 r. wybucha wojna francusko-pruska i cesarski kontyngent musi wracać do ojczyzny. 20 września 1870 r. włoska armia gen. Raffaele Cadorny wkracza do Wiecznego Miasta. Papieska władza ograniczona zostaje do kompleksu pałaców na Watykanie. Rzym staje się stolicą zjednoczonej Italii. Ten triumf 22 lat walki pyszna burżuazja włoska uczci wybudowaniem megalomańskiego „Ołtarza ojczyzny", który wciąż zagraca okolice Forum Romanum.

Konsumpcja zwycięstwa

Zaczyna się zimna wojna z Kościołem. Do głosu dochodzą masoneria i Waldensi – piemonccy protestanci, mający silną pozycję na dworze króla Włoch. Demonstracyjnie budują oni swój zbór niedaleko placu św. Piotra

Italia przeżywała przyspieszoną rewolucję przemysłową, a po zmarłym w 1878 r. Wiktorze Emanuelu II tron przejął Humbert I, który jednak zginął zasztyletowany przez anarchistę w 1900 r. Po nim na tronie zasiadł Wiktor Emanuel III, będący ulubionym bohaterem karykatur europejskich pism.

Włoskie elity wierne przymierzu z Prusami chcą kontynuować ten sojusz, ale resentymenty antyaustriackie okazują się silniejsze. Gdy wybucha pierwsza wojna światowa, Włochy przez rok pozostają neutralne, ale potem przyjmują ofertę Paryża i Londynu. W zamian za obietnicę przyłączenia do Italii Trydentu i południowego Tyrolu Wiktor Emanuel III wkracza do wojny po stronie aliantów. W wiedeńskich gazetach modna była wtedy karykatura króla Włoch jako nikczemnego łotrzyka wbijającego nóż w plecy Austrii. Cios okazał się jednak nader skuteczny. Austria „rozpadła się jak stare gacie", jak wtedy mówiono. W listopadzie 1918 r. włoskie wojska dotarły do przełęczy Brenner.

Cztery lata później do władzy doszedł Benito Mussolini, ale uznał on, że pozostawienie bezsilnej monarchii jest dla niego wygodne. A Wiktor Emanuel III bezsilnie żyrował kolejne ekscesy i zbrodnie wodza partii faszystowskiej. Nie potrafił też powstrzymać Mussoliniego przed pójściem z Hitlerem na wojnę. Dopiero gdy w 25 lipca 1943 r. gen. Pietro Badoglio zdecydował się na obalenie Duce, monarcha wsparł go swym autorytetem. Ten krok skończył się dla niego osobistym dramatem. W akcie zemsty Niemcy podstępem zwabili do swojej ambasady w Rzymie najstarszą córkę monarchy Mafaldę (ur. 1902 r.), po czym porwali ją i zamknęli w obozie koncentracyjnym w Buchenwaldzie, gdzie rok później zginęła.

Próba zrobienia z królestwa Włoch członka sojuszu antyhitlerowskiego niespecjalnie się jednak udała. Po wojnie Lewica zażądała republiki. Nawet wciśnięcie na tron młodego Humberta II nie pomogło. Nowy władca panował tylko nieco ponad miesiąc – od 9 maja do 12 czerwca 1946 r. W referendum zwyciężyła opcja republikańska. Monarchia zapłaciła wysoką cenę za lata potulnego koegzystowania u boku dyktatury Mussoliniego.

Humbert II udał się na emigrację najpierw do Szwajcarii, a potem do Portugalii. Nigdy nie podpisał aktu abdykacji i uważał się za legalnego władcę. A po nim jego syn, wspomniany już Wiktor Emanuel IV.

Czar korony

Dziś we Włoszech monarchizm to już przebrzmiały nurt w polityce. Pogrzeb Wiktora Emanuela IV cieszył się nieporównanie mniejszym zainteresowaniem niż jego ojca, króla Humberta II, który zmarł 1983 r.

Tamten pochówek w opactwie Hautecombe w Sabaudii francuskiej (tradycyjnej nekropolii tej dynastii) zgromadził na miejscu ok. 350 tys. jego rodaków i 23 mln przed telewizorami. Z kolei przy wystawionym w tym roku w barokowej rezydencji Domu Sabaudzkiego w miejscowości Venaria Reale koło Turynu ciele syna Humberta II pojawiło się tylko 4 tys. ludzi. Natomiast na mszy pogrzebowej w katedrze turyńskiej obecnych było ok. 450 osób. Co jednak wcale nie znaczy, że mieszkańcom Italii nie brakuje królewskiego splendoru. Republika włoska z jej chaotycznym życiem politycznym, na tle prestiżu piemonckich królów, wydaje się wielu mieszkańcom Italii nieznośnie banalna.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 88698580d6

1885–1953 / Autor „Życia polskiego w XIX wieku”

Wasylewskiego życie rzeczywiste



Krzysztof Masłoń

W czasie wojny poświęcił swoje dobre imię, by służyć podziemiu niepodległościowemu. Po wojnie Stanisław Wasylewski był atakowany przez innych literatów, którzy swoją gorliwością w napiętnowaniu „zdrajcy” chcieli przykryć własną, rzeczywistą kolaborację z drugim okupantem



FOT. NAC

Opus vitae Stanisława Wasylewskiego – „Życie polskie w XIX wieku” – wznowione zostało stosunkowo niedawno przez Iskry, ze wstępem Janusza Tazbira i posłowiem Sławomira Niciei. Autor pracował nad tą książką 30 lat, edycji jej nie doczekał (zmarł w 1953 r., „Życie…” ukazało się po raz pierwszy w 1962 r.). Rozkoszne to dzieło, jak pisał recenzujący je Paweł Aleksander Bagiński: „Jest tu anegdota i informacja cenna, i żart, i dowcip, i smętna zaduma, i dobrotliwa

eprasa.pl 88698580d6

kpina. Mnóstwo rozmaitych wiadomości, podanych ot tak, mimochodem". I rzeczywiście…

Po naszych niedawnych utarczkach z covidową pandemią z tym większą ciekawością czytamy u Wasylewskiego np. opisy cholery, zbierającej żniwo w XIX stuleciu. Do Polski przyszła ta zaraza wraz z rosyjskim wojskiem w 1831 r. wysłanym przez cara na uśmierzenie powstania listopadowego. Swoją drogą w czerwcu legł na cholerę wódz Moskali, gen. Iwan Dybicz-Zabałkański, który parę miesięcy wcześniej pobił Chłopickiego pod Grochowem. „W listopadzie zmarł – wyliczał Wasylewski – prawodawca filozofii romantyzmu, Niemiec Hegel; potem – znakomita o europejskiej sławie pianistka polska, Maria Szymanowska, nie doczekawszy chwili, kiedy córkę jej poślubi Mickiewicz". Romantycy jednak nie przejmowali się specjalnie zarazą, zwłaszcza gdy byli daleko. Młody Zygmunt Krasiński z Genewy pisał: „Cholera-morbus czyni spustoszenia w Warszawie. Prawdopodobnie nie ujrzę już tych, których tam zostawiłem. Sam pozostanę na ziemi. Jakże pociągająca perspektywa".

„Więcej niż romantycy – zwracał uwagę Stanisław Wasylewski – przerazili się Żydzi. I znaleźli radę od razu: cholerę, ich zdaniem, rozszerza Żyd wieczny tułacz, w butach na krzyż podkutych, dźwigający syna na plecach. Rabini cudotwórcy radzili wybrać parę monstrualnie szpetnych żebraków żydowskich, wyprawić im wesele na kirkucie, gdzie niech odtąd mieszkają z prawem pierwszeństwa w jałmużnach. Ale to jakoś nie pomagało".

Pomagał za to dymek, nie, nie z papierosa jeszcze, tylko z fajki. „Ciężkie kłęby dymu fajczanego unoszą się nad całym światem romantyzmu. Nie wyjmuje z ust fajki Mickiewicz: pali ją w Rzymie, grając w szachy z ks. Gagarinem. Poznańczyk Jan Koźmian zgorszy się bardzo w czasie wizyty w Paryżu, widząc, że poeta w braku fidybusa wydrze kartę z jakiegoś rzadkiego Reja czy Kochanowskiego; mając się fotografować jako pielgrzym, użyje wieszcz w braku kostura odwróconego cybucha. Sentymentalna Maryla cichcem pociąga z fajeczki, gdy nikt nie widzi; jawnie i bez przerwy kurzyć będą Narcyza Żmichowska, Edwarda Dembowska i Karolina Iwanowska, egeria Liszta. Nie z fanfaronady tylko. »Pierwsze zapalenie tytoniu – woła jakiś postępowiec warszawski w r. 1848 – spaliło tę sztuczną osłonę kobiet, podkopało wszelkie udawanie; kobiety wstąpiły na drogę życia rzeczywistego!«".



Pomnik Adama Mickiewicza we Lwowie FOT. BIBLIOTEKA NARODOWA

W tym „rzeczywistym" życiu – w którym skądinąd rozpowszechniało się propagowane przez Żmichowską posiestrzenie – nie brakowało szaleńców. O jednym z takich napisał sam lord Byron. Był to Karol Piątkowski, polski oficer tak wierny Napoleonowi, że podążył za nim dobrowolnie na Wyspę św. Heleny. „[…] służył w szwoleżerach od r. 1809, należał do tych stu dziewięciu, którzy poszli na Elbę, przy odjeździe »Belerofonta« zaś rzucił się Anglikom do nóg z płaczem, żeby mu pozwolili pojechać »żyć przy cesarzu, sypiać u jego drzwi, zginąć na jego grobie«. Wyżebrał i pojechał".

Na wyspie miano go jednak za nie wiadomo czyjego szpiega, poza tym zamęczał gubernatora skargami, wdał się w jakąś aferę miłosną i w końcu odesłany został do Europy. „Zjeździł ją wszerz i wzdłuż, wszędzie nadając sobie tajemnicze posłannictwo. W granice Polski wpuścić go nie chciano, natomiast zamknięto do kryminału austriackiego we Włoszech. Odmawiał uporczywie wyjaśnień, siedział pod nazwiskiem Hornemana w kaźniach Padwy, Mantui, Josephstadtu. Nazywany »maską żelazną XIX stulecia«, dumny był i szczęśliwy, że cierpi za cesarza Francuzów. Dopiero w r. 1826 pozwolono mu wrócić do Francji. Miejsca nigdzie nie zagrzał. Zgnębiony chorobą zmarł w Ratyzbonie w r. 1849. Tragicznie groteskowy pigmejczyk, mimowolna karykatura wielkich porywów romantycznych i ich bezpłodności".

Lwowski trójkąt przyszłości

Przed wojną książki Stanisława Wasylewskiego, m.in. „Romans prababki", „Na dworze króla Stasia", „Szambelanowa z Walewic", zbiory szkiców – „Portrety pań wytwornych. Czasy stanisławowskie" – i monografie, jak „Lwów", rozchodziły się błyskawicznie. Należał pisarz do najpoczytniejszych autorów, budząc podziw, a także zazdrość nie tylko literackiej konkurencji. Historycy wytykali mu błędy i nadużycia. A już mądry Szymon Askenazy przestrzegał go: „Niechże się pan przypadkiem nie łudzi, że Kościół oficjalny, że parnas naszych historyków użyczy panu poparcia. Nigdy! Oni są albo impotentami i zwalczać będą pańskie rzeczy, bo tak pisać nie potrafią, albo dla zasady. Z pospolitej zawiści". Po latach podobne przyjęcie spotka Jerzego Łojka.

A po edycji pretensje pod adresem nieżyjącego już przecież autora „Życia polskiego w XIX wieku" wysuwali także tacy „niezależni" publicyści jak Krzysztof Teodor Toeplitz utyskujący na „historię widzianą »oddzielnie«, jałową i przypadkową w istocie, a błyskotliwej jej powłoce nie odpowiada podskórny

eprasa.pl 88698580d6

nurt intelektualny". No oczywiście gdyby Stanisław Wasylewski rozpisywał się o ciężkiej doli chłopa pańszczyźnianego (o czym zresztą też pisał, z tym że proporcjonalnie w stosunku do całej reszty) zgodnie z wymogami tak dziś reklamowanej „ludowej historii Polski", byłoby zupełnie inaczej.

Jego dorobek literacki jest imponujący. Z tym że przez osiem powojennych lat nie ukazała się drukiem żadna jego książka. Przed wojną było ich 20, ponadto 300 audycji radiowych, 6 tys. artykułów i felietonów. W Polsce nazwanej ludową jego nazwisko było jednak wyklęte, a nawet teksty prasowe, na które z czasem dostał pozwolenie, podpisywać musiał pseudonimem. Dlaczego? Odpowiedzi szukać trzeba we Lwowie.

Związki Wasylewskiego z tym miastem były wyjątkowe. Nieprzypadkowo jemu właśnie powierzono napisanie monografii Lwowa, pomieszczonej w prześwietnej serii „Cuda Polski". Pisał w niej: „Jest w zwyczaju nad Pełtwią tytułować się w listach wielmożnym panem. Inaczej obraza. Dobry to zwyczaj w odniesieniu do Lwowa. Bo też istotnie wielmożne to miasto. Biedołach obdarty, ale jurny. Urbs princeps. Nie wstydzi się niczego ze swej przeszłości, posiada za to kart wiele takich, któremi zdoła innych zawstydzić". I zachęcał do spojrzenia na mapę, na której „zobaczymy trójkąt, u wierzchołka leży Lwów, jedno ramię po Kijów, drugie sięga po Odessę. Trójkąt przyszłości". Nie uściślił tylko autor, czyjej przyszłości.

Ucieczka przed Niemcami

On sam urodził się w nieodległym od Lwowa Stanisławowie, w roku 1885. We Lwowie studiował, pracował w Ossolineum, publikował w tamtejszych czasopismach. Po ślubie przeniósł się (w 1927 r.) do Poznania, tam się doktoryzował i żywo zainteresował Śląskiem Opolskim, czego dowodem były liczne publikacje i głośna książka „Na Śląsku Opolskim", wydarzenie tej miary co „Na tropach Smętka" Melchiora Wańkowicza. I to na tej ziemi, w Opolu właśnie, znajdzie miejsce dla siebie, gdy po wojnie zabraknie go gdzie indziej.

Gdy we wrześniu 1939 r. Niemcy weszli do Poznania, już pierwszego dnia poszukiwali pisarza. Jak opowiadał dozorca jego domu, wołali: „Drugi tom o Śląsku Opolskim będzie on pisał przez dwadzieścia lat w Dachau!".

W tej sytuacji pisarz z żoną zbiegł na wschód, do Lwowa, pod inną okupację. Tam poradził sobie znakomicie. Zanadto. Do współpracy z miesięcznikiem „Nasza Strana" namówił go sam Feliks Kon. Ale pisywał i w „Czerwonym Sztandarze" i, potem, w „Nowych Widnokręgach". Inna rzecz, o czym traktowały jego teksty: o historii Lwowa i Mickiewiczu. Michał Borwicz w trzecim numerze „Zeszytów Historycznych" z 1963 r. pisał, że Wasylewski w sowieckim Lwowie szukał „natchnienia w tematach, co prawda, historycznych, lecz znajdujących się na linii panujących tendencji […], wynajdując i kreśląc, z właściwym mu talentem, sylwety rewolucyjnych a zapomnianych pisarzy czy działaczy polskich sprzed wieku. On także skomponował bardzo udane widowisko z okazji uroczystości mickiewiczowskich".

Jerzy Borejsza wcielił go do zespołu na nowo opracowującego dzieje literatury polskiej; zdążyli przygotować „Wypisy do klasy ósmej szkoły średniej". A najistotniejsze w tym wszystkim było wstąpienie Stanisława Wasylewskiego, w rocznicę „wyzwolenia", do Związku Radzieckich Pisarzy Ukrainy, co uczynił wraz z 57 innymi. Także najbardziej prominentnymi ludźmi pióra – polskiego. Nie sposób tu pominąć zupełnie innego w swojej wymowie faktu; otóż w tym samym 1940 r. został Wasylewski członkiem Konspiracyjnej Rady Narodowej, skupiającej środowiska polityczne o charakterze narodowym. Naturalnie nie wiedziano o tym.

Po konsultacji z podziemiem…

Powszechnie za to przypisano pisarzowi felieton, który krótko po zajęciu Lwowa przez hitlerowców ukazał się w „Gazecie Polskiej", czyli – jak wspominał Brochwicz – „gadzinówce wydawanej przez niemieckiego okupanta. W tamtych warunkach miał on charakter donosu, tym brzydszego, że wymieniając po nazwisku i obdzielając złośliwymi komentarzami m.in. kolegów pozostałych na miejscu – w zasięgu Gestapo – autor przedstawiał samego siebie w roli rycerza bez skazy i – co za tym niby poszło – w roli męczennika. W rzeczywistości nie był ani jednym, ani drugim". Nie był nikim takim, istotnie, ale też inkryminowany tekst o zachowaniach osób przewijających się przez wnętrza pałacyku Bielskiego, gdzie pod czujnym okiem sowieckich nadzorców gromadzili się literaci, daleki był od donosu. Za to przypominał, co robili oni, co mówili i pisali jeszcze wczoraj, a to, widać, bolało bardzo, skoro nawet Aleksander Wat w rozmowach z Miłoszem („Mój wiek") stwierdził, że Wasylewski „zachowywał się okropnie, obrzydliwie".

A autor „Romansu prababki" propozycję pracy w „Gazecie Polskiej", otrzymaną od Aleksandra Schedlin-Czarlińskiego, reichsdeutscha czy też volksdeutscha, przyjął – jak pisze prof. Stanisław Sławomir Nicieja w szkicu „Casus Stanisława Wasylewskiego" – „po konsultacji z polskim podziemiem, zobowiązując się do wykonania zadań dla kontrwywiadu Lwowskiego Okręgu AK (Konspiracyjna Rada Narodowa scaliła się z Armią Krajową). Jak później udowadniał, broniąc się podczas procesu w Krakowie w 1946 r., miał na polecenie AK-owskiego kontrwywiadu: a) prowadzić systematycznie obserwację w koncernie »Lemberger Zeitung«, jako też śledzić bacznie działalność szefa prasy na dystrykt Galicji Lehmanna, b) redagować tajne komunikaty z terenu miasta i powiatu, liczne meldunki z poszczególnych komórek wywiadu przekazywać do centrali, śledzić dywersyjną robotę nacjonalistów ukraińskich oraz zbrodnie gestapowców, informować o sile i stanie niemieckich bojówek. Celowo napiętnowany przez prasę podziemną jako zdrajca i kolaborant miał mieć względną swobodę i możliwość zdobywania informacji, w innych okolicznościach nie do osiągnięcia. Wiele źródeł wskazywało, iż Wasylewski pracował w dziale informacji BiP AK Okręg Lwowski. Sprawa była owiana absolutną tajemnicą i zaważyła później na życiu Wasylewskiego w sposób okrutny".

Należy dodać jeszcze, że pisarz utrzymywał związki z kierowaną przez

eprasa.pl 88698580d6

Bolesława Piaseckiego Konfederacją Narodu, w której miał przyjąć pseudonim Flis. A w swoich działaniach zachowywał pewną niezależność, czego dowodzi m.in. odmowa udziału w delegacji wysłanej przez Niemców do Katynia.

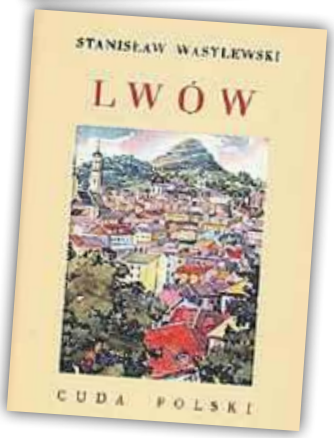
Nowy adres: Montelupich 7

Lwów opuścił Stanisław Wasylewski w 1944 r., zanim miasto powtórnie zajęli Sowieci. Zatrzymał się w Nowym Sączu, po czym pojechał do Krakowa. I tam niebawem mógł przeczytać, w wydawanej w Łodzi marksistowskiej „Kuźnicy", relację ze zjazdu delegatów Związku Zawodowego Literatów Polskich, którzy potępili „pisarzy kolaboracjonistów: Emila Skiwskiego, Stanisława Wasylewskiego i Emila Burdeckiego". Wnioskodawcą stosownej uchwały był Stanisław Ryszard Dobrowolski. Zjazd rozpoczął się 30 sierpnia 1945 r., a już we wrześniu Wasylewski siedział w krakowskim więzieniu na Montelupich. Przed sądem stanął w grudniu roku następnego.

Tamta Polska dopiero stawała się stalinowską. Jeszcze zachowywano pozory. Jeszcze taki pisarz, też lwowski, Jan Brzoza mógł ta łamach „Odry" pytać, jak wysłać za kraty autora książki „Na Śląsku Opolskim", która „tyle cennych usług oddaje". Oczywiście zagrzmiał natychmiast Adam Ważyk, artykuł Brzozy nazywając aberracją, a redakcji „Odry" stawiając zarzut uprawiania apologii kolaboracji. Szczęśliwie sąd nie uląkł się Ważykowego grzmotu. Przed sądem w ciągu trzech dni rozprawy stanęło 21 świadków, bynajmniej nie oceniając działalności Wasylewskiego jednoznacznie negatywnie, a wręcz jako obrońca oskarżonego wystąpił wicewojewoda górnośląski Arka Bożek, nazywając pisarza „dobrym Polakiem i patriotą".

„Prof. Mieczysław Gębarewicz – czytamy w szkicu Sławomira Niciei – wybitny historyk sztuki zwany »papieżem lwowiaków«, bo po wojnie nie pozwolił się wysiedlić z sowieckiego Lwowa, pytany, jak oceniał zachowanie Wasylewskiego w czasie okupacji hitlerowskiej, powiedział: »Pamiętam, jakie wrażenie na społeczeństwie polskim wywarło









zamieszczenie przez Wasylewskiego w lembergerce w dniu, gdy dotarła do Lwowa wiadomość o śmierci w Gibraltarze premiera polskiego rządu gen. Władysława Sikorskiego, fragmentu «Chłopów» Reymonta przedstawiającego śmierć Boryny pt. «Odszedł gospodarz, siewca do ostatka». Wszyscy wiedzieliśmy, jaka w tym tkwi aluzja. A nacjonaliści ukraińscy szaleli, krzycząc, jak można takie teksty drukować we Lwowie«".

W efekcie sąd uniewinnił oskarżonego, znajdując dla niego tylko słowa uznania. 21 grudnia 1946 r. „Dziennik Zachodni" sprawozdanie z procesu zatytułował „Stanisław Wasylewski oczyszczony z zarzutów". Nie przyjęli tego do wiadomości Ważyk, Sandauer czy Jan Kott, który ubolewał we Wrocławiu: „Uważam, że wymienianie Wasylewskiego obok innych pisarzy – którzy osiedlili się na Ziemiach Odzyskanych – jest bolesnym nieporozumieniem. Nikt z nas nie zasłużył sobie, aby umieszczano go w jednym rzędzie z kolaboracjonistą. I nie ludzie typu Wasylewskiego budzić będą polskie echa tej ziemi".

W rzeczywistości, jak zawsze w takich wypadkach, usiłowano zamieść pod dywan własną kolaborację, z komunistami. Sowieckimi zresztą. Wasylewski miał to nieszczęście, że współpracował z, już przecież przez tych samych ludzi nazywaną faszystowską, Armią Krajową. I to, zdaje się, była jego największa wina.

Psychicznie wykończonego przygarnął Wasylewskiego Śląsk Opolski. Gościł go Arka Bożek, potem otrzymał mieszkanie i pracę bibliotekarza w nieistniejącej jeszcze opolskiej książnicy naukowej. Gromadził księgozbiór tamtejszego Komitetu Badań Prehistorycznych, pisując do „Słowa Polskiego" felietony podpisywane jako Tadeusz Szafraniec. Sporo tłumaczył, zbierał śląskie baśnie i legendy, szlifując swoje opus vitae „Życie polskie w XIX wieku", w rzeczywistości – na co zwracał uwagę prof. Janusz Tazbir – doprowadzone jedynie do powstania styczniowego. Czas był jednak nieubłagany; pisarz zmarł 26 lipca 1953 r. Trzydzieści sześć lat później walny zjazd Związku Literatów Polskich w podjętej uchwale uznał, że „postępowanie wobec Stanisława Wasylewskiego było bezpodstawne, bezprawne i niegodne".

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 88698580d6



Popiersie Lwa Trockiego w muzeum w Coyoacán
FOT. COMMONS WIKIMEDIA, ADAM JONES KELOWNA, BC CANADA

Książka miesiąca / Trocki na wojnie ze Stalinem

Demon z muzeum

W Coyoacán, uroczej, pełnej egzotycznych drzew i kwiatów dzielnicy stolicy Meksyku, niemal po sąsiedzku znajdują się dwa muzea. Pierwsze mieści się w okazałym domu, pomalowanym na jaskrawoniebieski kolor. Jak możemy przeczytać na bramie wejściowej, jest to Museo Frida Kahlo. Dom słynnej meksykańskiej malarki przerobiony na muzeum to jeden z gwoździ programu wycieczek do tego megamiasta. Niedaleko znajduje się drugie muzeum, w domu, którego właścicielem był inny słynny mieszkaniec Coyoacán. Obiekt przy Avenida Viena również pomalowany jest na intensywny kolor – krwistoczerwony. Oba muzea łączy jedna postać – Lew Trocki. W domu Kahlo Trocki żył przez ponad rok po przybyciu do Meksyku na swoje luksusowe „wygnanie". Musiał się jednak stamtąd wyprowadzić, ponieważ wdał się w romans z Kahlo (choć cały czas był ze swoją żoną), co niezbyt spodobało się mężowi malarki. Zakochany po uszy w komunizmie malarz Diego Riviera kazał Trockim wynosić się z domu. Małżeństwo rewolucjonistów kupiło następnie posiadłość prawie po sąsiedzku.

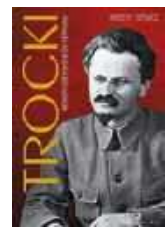
Krwistoczerwony kolor Museo Casa de Leon Trotsky nawiązuje oczywiście do koloru jego ukochanej flagi, ale skojarzenia z morzem krwi są oczywiste. Człowiek, który mieszkał tu w ostatnim roku swojego życia (zanim w 1940 r. agent Stalina nie wbił mu czekana w mózg), był prawdziwym „demonem czerwonego terroru", jak brzmi podtytuł książki Roberta Service'a. W murach tej posiadłości żył zgorzkniały bolszewik, opętany wizją skomunizowania całego świata, który nie był jednak wystarczająco sprawny, by wygrać ze Stalinem batalię o władzę. Czerwony komisarz, który w pierwszych latach budowy sowieckiego imperium odpowiadał za rozkręcanie machiny terroru. Jak przypomina Service, Trocki przemierzał Rosję swoim własnym pociągiem i osobiście doglądał instalowanie czerwonych „porządków". Inni czołowi bolszewicy działali głównie w „centrali" i stamtąd zarządzali państwem. Trocki wolał sam sprawdzać sytuację w terenie.

W jego meksykańskim muzeum wciąż krzewiony jest mit dobrego komunisty, który chciał skierować Związek Sowiecki na zupełnie inne tory niż Stalin. Czerwona Rosja Trockiego byłaby państwem, w którym wprowadzono by w życie ideały rewolucji, bez stalinowskich „wynaturzeń". Gdy w 2017 r. odwiedziłem muzeum Trockiego, przysłuchiwałem się opowieści przewodnika, który tłumaczył zagranicznym gościom, że gospodarz tego miejsca był teoretykiem, który walczył o sprawiedliwość. Gdy odezwałem się i przypomniałem o roli Trockiego w bolszewickim aparacie terroru, przewodnik nie wyglądał na zachwyconego i szybko przeskoczył na inny temat.

Nie ma co liczyć, że pracownicy muzeum Trockiego będą zainteresowani książką Service'a. To grupa zindoktrynowanych komunistów, którzy są święcie przekonani, że Trocki miał czyste ręce i chciał uratować pierwsze państwo komunistyczne z rąk dyktatora, który zupełnie nie rozumiał istoty komunizmu. Tymczasem Service dobitnie pokazuje w swojej pracy, że Trocki nie miał nic przeciw przelewaniu morza krwi. Czy to faktycznych wrogów rewolucji, czy też ludzi, którzy po prostu stali akurat na drodze rozpędzonego bolszewickiego buldożera równającego z ziemią „stary świat". Związek Sowiecki Trockiego na pewno byłby inny niż stalinowski. Ale czy faktycznie mniej krwiożerczy i bardziej „ludzki"? Nic na to nie wskazywało.

©℗

Piotr Włoczyk



ROBERT SERVICE
„TROCKI. DEMON CZERWONEGO TERRORU"
PRÓSZYŃSKI I S-KA

eprasa.pl 88698580d6

Pod ruskim batogiem

O naszych rodakach, których polski los rzucił do największego więzienia świata, opowiada Marek Klecel w swojej ważnej i potrzebnej książce. Przypomina sylwetki od pierwszych polskich zesłańców, na czele z Maurycym Beniowskim i biskupami Sołtykiem i Załuskim, przez powstańców lat 1830 i 1863, do pokolenia braci Piłsudskich, Bronisława i Józefa. A, niejako po drodze, przybliża syberyjskie realia.

Już sama droga na zesłanie nie pozostawiała skazanemu najmniejszych złudzeń odnośnie do jego przyszłych losów. Onufry Pietraszkiewicz, przyjaciel Mickiewicza, współzałożyciel Towarzystwa Filomatów, do Tobolska z Moskwy z grupą 170 współwięźniów szedł pieszo. Pięć miesięcy. I wcale nie był pod tym względem rekordzistą. Nawiasem mówiąc, to on wcześniej w „Opisaniu Rosji i jej mieszkańców…", kilka lat przed sławnym dziełem Astolphe'a de Custine'a, stwierdził, że cesarstwo to jest „osnowane na samowładztwie, rozmaitością fizyczną i brakiem sił moralnych uderzające […]. Jedno skinienie władcy, jedno spojrzenie łaskawe albo zachmurzone stanowi tutaj o związkach i przyjaźni". W PRL szkic ten został usunięty z edycji Archiwum Filomatów.

Innego filomatę, młodszego od Mickiewicza, poeta uwiecznił w III części „Dziadów". To Adolf Januszkiewicz, bo o nim mowa, wypowiada te słowa:

Bo teraz Polska żyje, kwitnie w ziemi cieniach,
Jej dzieje na Sybirze, w twierdzach i więzieniach.

Gdy Adam Mickiewicz pisał „Dziady", Januszkiewicz zesłańcem jeszcze nie był. Ale cytowany dwuwiersz dokładnie przedstawia jego losy.

Na zesłaniu skazani stykali się z przejawami niesłychanego bestialstwa. W Omsku po ujawnieniu zamiaru zbiorowej ucieczki spiskowcom karę śmierci zamieniono na 6 tys. (!) batogów. Ksiądz Jan Sierociński – jak pisał inny zesłaniec, Rufin Piotrowski – po 4 tys. razów jeszcze oddychał, „po czym ducha oddał". Rozkaz jest jednak rozkazem, więc pozostałe 2 tys. uderzeń mu wymierzono.

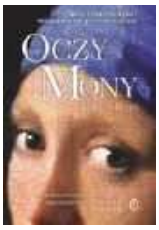
Książka ta w oczywisty sposób aż prosi się o tom drugi, XX-wieczny. I taki jest zapowiedziany; autor przygotowuje część drugą dzieła, o losach zesłańców polskich na Sybir już nie rosyjski, lecz sowiecki. ©℗ ***Krzysztof Masłoń***



MAREK KLECEL
„SYBIR. DZIEJE POLSKICH ZESŁAŃCÓW XVIII–XIX W."
BIAŁY KRUK

Dziewczynka w Luwrze

Dziesięcioletnia Mona ma poważne kłopoty z oczami. Dziadek Henry pragnie – gdyby miało dojść do utraty wzroku – by dziewczynka zachowała w pamięci „coś w rodzaju zbiornika, z którego będzie czerpać wizualne piękno". Postanawia oprowadzić Monę po Luwrze, muzeum d'Orsay i Centrum Pompidou. Pokazuje jej arcydzieła malarstwa, chce, by zrozumiała, jak artyści mówią nam o życiu i jak je objaśniają w swoich obrazach. Thomas Schlesser przedstawił to w lekkiej powieściowej formie. „Oczy Mony" to znakomite wprowadzenie w świat sztuki. Warto, by rodzice i dziadkowie zrobili z niej prezent dla dzieci i wnuków. ©℗ ***(t.s.)***



THOMAS SCHLESSER
„OCZY MONY"
WYDAWNICTWO LITERACKIE



FELIKS KONECZNY
„DZIEJE ŚLĄSKA"
MILES

O ŚLĄSKU PO POLSKU

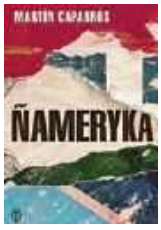
Pierwszy raz wydane w Bytomiu w 1897 r. „Dzieje Śląska" to książka, którą trzeba co pewien czas przypominać czytelnikom. Pisana przez erudytę z innej epoki („W Imię Boże zabieram się do pracy" – pisze we wstępie Koneczny) przybliża Polakom dzieje tej dzielnicy aż do czasów mu znanych osobiście – sytuacji pod zaborami. Cenny wykład, w którym podążamy po polskich śladach, tak wyraźnie odciśniętych w historii Śląska. ©℗



KORNEL MAKUSZYŃSKI
„UŚMIECH LWOWA"
WPRAWO

O DUSZY LWOWA

Książeczka Kornela Makuszyńskiego, pisana z wielką miłością do Lwowa, o 14-latku, który poznaje nie tylko historię i zabytki miasta, lecz także – co najważniejsze – jego duszę. A była to dusza radosna i zarazem bohaterska. Przewodnikiem chłopca sieroty jest przyjaciel ojca. Spacer po mieście kończy się opowieścią o cmentarzu Obrońców Lwowa. ©℗ ***(t.s.)***



MARTÍN CAPARRÓS
„ÑAMERYKA"
WYDAWNICTWO LITERACKIE

ŁACIŃSKI TYGIEL

Monumentalny zbiór reportaży z hispanojęzycznej Ameryki Łacińskiej. Każda opowieść to esencja tego, co powinniśmy wiedzieć o kulturze, historii i życiu politycznym danego państwa. Argentyński pisarz niektóre rozdziały pisze z perspektywy bolączek biedaków z przedmieść, inne z wysokości gabinetów ludzi władzy, z którymi rozmawiał. ©℗ ***(p.w.)***

eprasa.pl 88698580d6



Jan Nepomucen Lewicki „Szlachta polska w dawnych ubiorach” FOT. BIBLIOTEKA NARODOWA

W polskim stylu

Wiek XVIII i rosnąca rola obcych mocarstw sprzyjały przyjmowaniu nowych mód. Nie inaczej było z polskim strojem narodowym, który zaczęto zastępować ubiorami w stylach niemieckim i francuskim. Spór między zwolennikami stroju tradycyjnego a preferującymi nowe trendy określano jako „wojnę kontusza i fraka”. Pisał o tym np. Adam Mickiewicz w „Panu Tadeuszu”: „Jeśli kto i czuł wtenczas, że polskie ubranie / Piękniejsze jest niż obcej mody małpowanie / Milczał; bo by krzyczała młodzież, że przeszkadza / Kulturze, że tamuje progresy, że zdradza! / Taka była przesądów owoczesnych władza!”. Polski strój narodowy był obrzydzany Polakom w okresie zaborów, a później w czasach PRL, kiedy niesłusznie wiązano go tylko z „rozpasaną” szlachtą.

Tymczasem polski strój narodowy – jak wskazuje nazwa – noszony był nie tylko przez ludzi stanu szlacheckiego. Żupan, kontusz i pas kontuszowy nosili także mieszczanie, a zdarzało się, że i co bogatsi chłopi. Strój polski był zatem prawdziwie narodowy – był symbolem przynależności do wspólnoty, niezależnie, czy ktoś mieszkał pod Lwowem, Warszawą czy Wilnem. Jędrzej Kitowicz pisał o stroju kontuszowym, że był on „całym ubiorem publicznym Polaka szlachcica i mieszczanina”. Z jeszcze większą atencją o polskim stroju, na przełomie wieków XIX i XX w., pisał Julian Horoszkiewicz: „Wszystko [...], co było właściwą i znamienną cechą narodową, powinno nam być znane i zarówno szanowane, jak tradycje polityczne dziejów, przekazanych przez przodków naszych. Do tych pamiątek należy i strój narodowy, który więcej niż w jakimkolwiek narodzie Europy wyobrażał cechę dążności politycznej we wszystkich momentach troski naszej o niepodległość ojczyzny”.

Nazwa „strój narodowy” pojawiała się w czasie Sejmu Wielkiego. Był to wyraz uznania dla odrębnego, na tle europejskim, ubioru polskiego. Był to strój wyrafinowany, barwny, podkreślający dostojeństwo i męskość noszących go Polaków. Kobiety, choć nosiły raczej zachodnie stroje, także dopasowywały je do stylu polskiego, chcąc zaznaczyć w ten sposób przywiązanie do ojczyzny.

Pięknie wydana, bogato ilustrowana i szczegółowa monografia wspaniale przybliża historię kontusza i polskiego stylu, który niesłusznie został nieco zapomniany. ©℗

Anna Szczepańska



BEATA BIEDROŃSKA-SŁOTA, MARIA MOLENDA
„KONTUSZ. Z DZIEJÓW POLSKIEGO UBIORU NARODOWEGO”
PAŃSTWOWY INSTYTUT WYDAWNICZY

Powstańcza mozaika

Suchy tytuł „Powstanie Warszawskie. 80. rocznica wybuchu” jest jedynym słabym punktem tej bardzo dobrze pomyślanej książki. Czytelnik otrzymuje bowiem nie tylko opowieść o powstaniu, przedstawioną dzień pod dniu w formie kalendarium. Bartosz Zakrzewski opisuje m.in. genezę akcji „Burza” w Warszawie, stan sił Armii Krajowej w stolicy, jej niszczenie przez Niemców po ustaniu walk i grabież dóbr kultury.

W opowieść o 63 dniach wplecione są m.in. fragmenty wspomnień powstańców, teksty piosenek takich jak „Pałacyk Michla” i „Marsz Mokotowa” oraz biogramy, w tym Krzysztofa Kamila Baczyńskiego, „Antka Rozpylacza” oraz dowódców.

Wśród licznych fotografii nie zabrakło zdjęć ikonicznych, jak to autorstwa Sylwestra Brauna „Krisa”, przedstawiające wybuch ciężkiego pocisku na gmachu Prudentialu. Do wyjątkowych należą kolorowe zdjęcia Ewy Faryszewskiej z czasu walk, przedstawiające ruiny kamienic przy Rynku Starego Miasta

Ale są także zdjęcia współczesne, ukazujące miejsca pamięci, takie jak reduta Banku Polskiego i krzyż na Woli, w miejscu, gdzie palono zwłoki ofiar masakry w tej dzielnicy. Pamięć o powstaniu i jego bohaterach reprezentują zaś zdjęcia murali. ©℗

(t.s.)



BARTOSZ ZAKRZEWSKI
„POWSTANIE WARSZAWSKIE. 80. ROCZNICA WYBUCHU”
WYDAWNICTWO SBM

eprasa.pl 88698580d6

Krwawa misja von dem Bacha

Na 80. rocznicę Powstania Warszawskiego polscy czytelnicy otrzymali książkę „Komendantura Wehrmachtu Warszawa i Grupa Korpuśna von dem Bach". Praca stanowi I tom źródeł niemieckich dokumentów dotyczących Powstania Warszawskiego. Olbrzymią wartością publikacji jest wstęp autorstwa zespołu redakcyjnego, przedstawiający struktury dowodzenia strony niemieckiej. Komendantem wojennym Twierdzy Warszawa Hitler nominował gen. Luftwaffe Reinera Stahela, mającego za sobą doświadczenie w pełnieniu podobnych funkcji. Był on komendantem wojennym Rzymu w 1943 r. oraz komendantem Fester Platz Wilna w lipcu 1944 r., kiedy do boju o to miasto, dzień przed nadejściem oddziałów Armii Czerwonej, przystąpiły wileńskie i nowogródzkie brygady i bataliony AK.

1 sierpnia 1944 r. Stahel został odcięty i nie mógł sprawować roli koordynatora działań skierowanych przeciw powstańcom. Funkcję dowódcy sił odsieczy, które miały nadejść do Warszawy (garnizon warszawski nie był w stanie stłumić powstania), Himmler powierzył 3 sierpnia wyższemu dowódcy SS i policji w Kraju Warty SS-Gruppenführerowi Heinza Reinefartha. Jego względna autonomia na stanowisku dowódcy Kampfgruppe Reinefarth nie trwała zbyt długo, bo już 5 sierpnia 1944 r. przybył do Warszawy jako dowódca sił antypowstańczych SS-Obergruppenführer Erich von dem Bach, który miał duże doświadczenie w walkach z partyzantką

Początkowo podległe mu oddziały składały się głównie ze ściągniętych jeszcze przez Reinefartha z Wielkopolski wojskowych i policyjnych kompanii. Uzupełnienie stanowił m.in. przybyły 4 sierpnia pułk zbiorczy RONA (Rosyjskiej Wyzwoleńczej Armii Ludowej) dowodzony przez Waffen-Sturmbannführera Iwana Frołowa. Jednostkę, złożoną zasadniczo z Rosjan, choć służyli w niej także pojedynczy Ukraińcy i Białorusini, przerzucono na Ochotę, gdzie 5 sierpnia rano weszła do walki. Ronowców wspierała kompania niszczycieli czołgów z mająca na wyposażeniu działa samobieżne typu Hetzer. Pułk RONA był głównym oddziałem szturmowym w Grupie Uderzeniowej „Południe". Z informacji zawartych w dalekopisie 9. Armii do dowództwa XXXIX Korpus Pancernego wynika, że rosyjskich esesmanów rzucono do walki w ubraniach cywilnych, a jedynym znakiem rozpoznawczym były żółte opaski. Ten fakt powodował w dowództwie 9. Armii obawy, czy wojska niemieckie nie pomylą Rosjan z powstańcami.

Równolegle z ronowcami do walki na Woli weszła jednostka karna SS-Sonderregiment Dirlewanger, a w zasadzie I batalion. Pułk Specjalny SS Dirlewanger stał się główną siłą szturmową Grupy Uderzeniowej „Środek". Dirlewangerowcy rozpoczęli swój marsz w kierunku Pałacu Saskiego i pałacu Brühla, gdzie przebywali gen. Stahel i gubernator dystryktu warszawskiego Ludwig Fischer. 7 sierpnia udało się ich odblokować.

Poza oddziałami SS Niemcy skierowali do Warszawy także jednostki Wehrmachtu, jak np. 4. Wschodniopruski Pułk Grenadierów. Dopiero 7 sierpnia pułk trafił pod komendę komendanta wojennego Warszawy. Jednostka miała przebywać w Warszawie krótko, ponieważ zamierzano skierować ją na front i zastąpić 608. Pułkiem Bezpieczeństwa wywodzącym się z 203. Dywizji Bezpieczeństwa. Dowódca regimentu płk Willy Schmidt stanął na czele Grupy Uderzeniowej „Schmidt". ©℗

Arkadiusz Karbowiak



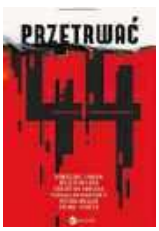
OPRACOWANIE ZBIOROWE
„KOMENDANTURA WEHRMACHTU WARSZAWA I GRUPA KORPUŚNA VON DEM BACH", T. 1, CZ. 1
MUZEUM POWSTANIA WARSZAWSKIEGO

Powstańcze studnie życia

Myślę, że jesteśmy u progu wojny. Dlatego uważam, że w miastach powinny być studnie – podkreśla Krystyna Zachwatowicz-Wajda. – Tak, żeby w razie gdyby wodociągi zbombardowano, być niezależnym, mieć wodę. Mówię to, bo od czasu Powstania Warszawskiego mam obsesję dostępu do wody. Wówczas ktoś z dowództwa Armii Krajowej zdecydował, żeby przed Powstaniem zrobić ewidencje studni i oznaczyć, gdzie te studnie w Warszawie są". Krystyna Zachwatowicz-Wajda, wdowa po Andrzeju Wajdzie, brała udział w Powstaniu Warszawskim jako łączniczka Harcerskiej Poczty Polowej Szarych Szeregów. Jednym z jej zadań było właśnie ewidencjonowanie studni. Jak podkreśla, dzięki zabezpieczeniu źródeł wody powstanie mogło trwać dwa miesiące, a nie dwa dni.

Wywiad, którego Zachwatowicz-Wajda udzieliła Magdalenie Rigamonti, pełen jest takich życiowych rad, które dziś, gdy czasy są coraz mniej pewne, nie brzmią już – jak jeszcze kilka lat temu – jak opowieści z ponurych, dalekich czasów, które na pewno się nie powtórzą. W tej książce autorzy opowiadają o powstaniu w bardzo wszechstronny sposób: mamy bohaterstwo graniczące z szaleństwem, a także zwykłe – wydawałoby się – codzienne życie, które musiało w tej niemożliwej scenerii, pod gradem kul, jakoś toczyć się dalej. ©℗

Piotr Włoczyk



PRACA ZBIOROWA
„PRZETRWAĆ '44"
WIELKA LITERA

eprasa.pl 88698580d6

/ Felieton



Rafał A. Ziemkiewicz

Z pradziejów ośmiu gwiazdek

Król Michał Tomasz Wiśniowiecki herbu Korybut, zwany Michałem Korybutem Wiśniowieckim, w polskiej pamięci funkcjonuje w cieniu bon motu Władysława Konopczyńskiego: „Mówił ośmioma językami, ale w żadnym z nich nie miał nic ciekawego do powiedzenia". Konopczyński był wybitnym historykiem, ale w tej kwestii dał ciała. Przepisał po prostu to, co o Wiśniowieckim juniorze przetrwało do jego czasów, i nie przyszło mu do głowy pomyśleć, kto i dlaczego opisywał króla tak niechętnie, ani poddać tych opisów testowi zdrowego rozsądku.

Gorzej, nie zastosował tego testu Konopczyński nawet wobec tego, co sam napisał. „Dość powiedzieć, że Michał Korybut, wybrany jedynie ze względu na pamięć ojca, Jeremiego, okazał się w purpurze monarszej zupełnym zerem, bezmyślnym samolubem, którego wyłączną troską było nie dać się zdetronizować". Łatwo sprawdzić, że na tronie zasiadał Wiśniowiecki niecałe cztery lata. Czemuż w tak krótkim czasie zdołał jakoby nabrać obsesji, że ktoś go chce zdetronizować? Czy nie powinno to zastanowić historyka? Żaden król przed nim ani po nim nie obawiał się detronizacji, zwłaszcza w pierwszych kilku latach rządów. Czyżby ten akurat miał jakieś urojenia? Bynajmniej, pobieżna nawet wiedza o jego czasach potwierdza, że od pierwszego momentu spotkał się z opozycją bardziej wściekłą niż ktokolwiek inny. Próbowała ona zrzucić go z tronu od pierwszej chwili, zanim jeszcze mógł okazać się „zerem", zanim zrobił cokolwiek nagannego, zanim w ogóle cokolwiek zrobił. Że wybór zawdzięczał głównie sławie ojca, a po trosze może jeszcze pradziada po kądzieli, to fakt. Ale co właściwie konkretnego zrobił „samolubnego", skoro w krótkim panowaniu niczego dokonać mu nie pozwolili magnaci sabotujący każdy jego ruch oraz choroba?

Wszystko, co przemawia przeciwko Wiśniowieckiemu, to pełne wymownych przymiotników opinie. Głupi, żarłok, samolub… Dowody? Wyobrażam sobie takiego Konopczyńskiego przyszłości, który mądrzy się na temat Jarosława Kaczyńskiego, mając za jedyny materiał – gdyby tylko to się zachowało – opinie publicystów „Gazety Wyborczej", a także celebrytów z Pudelka i traktując je całkowicie bezkrytycznie.

> Na biednego Michała trzeba z dzisiejszej perspektywy patrzeć **jak na pierwszego w naszych dziejach „pisowca"**

W istocie winą syna wielkiego Jeremiego było to, że nie miał majątku i tym samym nie należał do „dobrego towarzystwa" – Radziwiłłów, Lubomirskich, Jabłonowskich, Grzymułtowskich i innych magnatów, którzy uważali się za jedynie uprawnionych do rządzenia i brylowania. A tu szlachecka gołota (nie wiem, czy już wtedy mówiono z ukraińska „hołota") uczyniła takiego hołysza królem?! Niby mieli prawo, teoretycznie przecież Rzeczpospolita demokracją i równością stała. Ale jak śmieli? No nie, tak nie będzie! Ten gnojek ma wyp…….ć z tronu i nic mniej. Dziś byłoby to: ***** Wiśniowieckiego!

Mówiąc krótko: na biednego Michała trzeba z dzisiejszej perspektywy patrzeć jak na pierwszego w naszych dziejach „pisowca". A na tępiących go z bezprzykładną nienawiścią i pogardą dla dobra państwa „malkontentów" – w ich liczbie niestety i późniejszego króla, Jana Sobieskiego – jak na protoplastów zadufanych w sobie, samozwańczych „elit" żyjących w bezbrzeżnym poczuciu wyższości nad hołotą, teoretycznie mającą polityczne prawa, ale w jej przekonaniu zobowiązaną używać ich zgodnie ze wskazaniami lepszych od siebie.

Głębokie są korzenie społecznej patologii, trapiącej nas do dziś. ©℗

eprasa.pl 88698580d6



Piotr Semka

/ Felieton

Madziarzy

pokój miłujący

Dzień Jedności Narodu to na Węgrzech wielkie święto. Obchodzi się je na smutną pamiątkę traktatu w Trianon zawartego 4 czerwca 1920 r. Dyplomaci z Budapesztu musieli wtedy podpisać umowę przyjmującą do wiadomości oderwanie od Węgier 71 proc. obszaru sprzed pierwszej wojny światowej i utratę dwóch trzecich przedwojennej ludności, w tym kilku milionów etnicznych Węgrów. Nasi bratankowie obchodzą ten dzień jako chwilę żałoby, a także pamięci o Węgrach, którzy od 1920 r. formalnie żyją na Słowacji, w Austrii, na Zakarpaciu, w Rumunii, Serbii i Chorwacji. Rocznica Trianon miała w tradycji węgierskiej ostrze skierowane przeciwko państwom, które uczestniczyły w rozbieraniu ziem węgierskich przed 104 latami. Ale ostatnio premier Viktor Orbán zaczął nadawać temu świętu zupełnie inny charakter.

Dobrym przykładem tej nowej tendencji było przemówienie węgierskiego premiera wygłoszone podczas uroczystości otwarcia odbudowanej z ruiny szlacheckiej siedziby rodziny Tisza w południowo-wschodniej części Węgier. To właśnie z Geszt wywodziło się dwóch wybitnych premierów węgierskich z epoki ugody austro-węgierskiej w XIX w. Byli to Kálmán Tisza (1830–1902) i jego syn István Tisza (1861–1918). I to właśnie premier István Tisza stał się przedmiotem nowej polityki Orbána. Węgierski premier przypomniał, że w czerwcu 1914 r., kiedy ważyła się kwestia ogólnoeuropejskiego konfliktu, to właśnie on próbował zatrzymać wejście Austro-Węgier do wojny. Mimo to opinia publiczna obwiniała go o dopuszczenie do konfliktu i z tego powodu, gdy 31 października 1918 r. upadła monarchia Habsburgów, grupa zbuntowanych żołnierzy zamordowała byłego szefa węgierskiego rządu.

Orbán w Geszt przywołał Istvána Tiszę, by poruszyć kwestię zagrożenia wciąganiem Węgier w obecny konflikt ukraińsko-rosyjski, co – jak zaznaczył Orbán – może mieć „niewyobrażalne" konsekwencje. Nawiązując do lata 1914 r., Orbán mówił: „Sto dziesięć lat temu wszyscy powitali i świętowali wojnę: Czesi, Austriacy, Słowacy, Rumuni, Serbowie i Chorwaci. Dziś, gdy wojna ponownie grozi, tutejsze narody wysyłają jasny sygnał wielkim mocarstwom: »Odrobiliśmy lekcję i nie chcemy wojny!«. Wola narodów Basenu Karpackiego jest jasna: nie chcą oni ponownie być pionkami ofiarnymi na imperialnej szachownicy, wasalami wysyłanymi na wojnę – nie dla Brukseli, nie dla Waszyngtonu, nie dla George'a Sorosa. My, Węgrzy – członkowie największej społeczności Kotliny Karpackiej – mówimy to najgłośniej, ale wiemy, że inni myślą podobnie".

> Retoryka Orbána może kojarzyć się bardziej z pewnymi nurtami myślenia Czechów czy Słowaków, **którzy również na rozmaitych etapach swej historii lekceważyli zagrożenie** – czy to nazistowskie, czy sowieckie

Dla polskiego ucha takie wywody brzmią dosyć zaskakująco. Po pierwsze, w głoszonej przez niego tezie o narodach Basenu Karpackiego walczących o pokój pojawia się Rumunia, która sama graniczy z Ukrainą w znacznie większym stopniu niż Węgry i obawia się rosyjskiego imperializmu. Po drugie, dla Polaków przyzwyczajonych do wspólnych z Węgrami tradycji rewolucji lat 1848–1849 i zrywu antysowieckiego w 1956 r. taka retoryka pomija zupełnie kwestię walki Ukraińców o wolność. Cały konflikt, w którym Ukraina krwawi już od ponad dwóch lat, przedstawiony jest jako makiawelistyczny spisek Zachodu snuty przy całkowitym lekceważeniu podmiotowości narodów środkowo-wschodniej Europy. Tak naprawdę retoryka Orbána może kojarzyć się bardziej z pewnymi nurtami myślenia Czechów czy Słowaków, którzy również na rozmaitych etapach swej historii lekceważyli zagrożenie – czy to nazistowskie, czy sowieckie. Wszystko w imię świętego spokoju dla własnego narodu. Można podejrzewać, że Orbán nie uważa Kotliny Karpackiej za naturalny kierunek strategicznej ekspansji Moskwy. Przy takim założeniu można lansować ideologię typu „nasza chata z kraja". Tyle że Polska, która graniczy z Ukrainą, na taki luksus nie może sobie pozwolić. I dlatego w ostatnim czasie rozumiemy się z naszymi bratankami coraz gorzej. ©℗

eprasa.pl 88698580d6



Wywiad / Z Martinem Morganem, amerykańskim historykiem, autorem książki „The Americans on D-Day”

rozmawia Piotr Włoczyk

Normandzkie piekło

Ratowanie rannych żołnierzy na plaży „Omaha” FOT. WEINTRAUB, US ARMY

– Niemcy od razu zareagowali i rzucili na Normandię wszystko, co mieli. Wahania trwały najwyżej kilka godzin – mówi historyk

PIOTR WŁOCZYK: Czy Niemcy mogli powstrzymać i alianckie wojska w północnej Francji?

MARTIN MORGAN: Mogli nas zatrzymać, ale nie 6 czerwca. W ciągu kolejnych niemal 100 dni, których finałem było wyzwolenie Paryża, były momenty, które mogły się dla nas skończyć bardzo źle. Mieliśmy mnóstwo szczęścia, choćby podczas walk o Saint-Lô czy pod Falaise, gdzie bili się też Polacy. Niemcy mieli też szansę powstrzymać nas, gdy staraliśmy się odizolować Cherbourg. Wyjście z północnej Francji było dla aliantów naprawdę krwawą, bardzo ciężką kampanią. Gdyby Niemcy mieli trochę więcej szczęścia i lepiej rozegrali kilka kluczowych momentów, mogli nas spowolnić do tego stopnia, że Paryż byłby wyzwolony dopiero zimą.

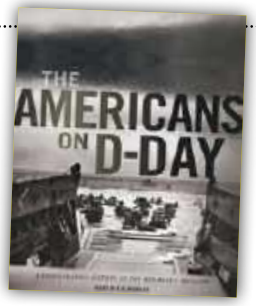
A w tym samym czasie Sowieci parli jak taran na zachód...

To był niebezpieczny moment. Można sobie łatwo wyobrazić alternatywny scenariusz – Checkpoint Charlie postawiony jest nie na Friedrichstrasse, lecz na Champs-Élysées. Gdyby Niemcy trochę inaczej postępowali podczas kampanii w Normandii, początek zimnej wojny mógł wyglądać dużo gorzej dla państw zachodnich... Dlatego nie powinniśmy patrzeć na zwycięstwo D-Day w oderwaniu od tego, co się działo w północnej Francji w następnych tygodniach. Gdy zabieram ludzi do Normandii, większość z nich po raz pierwszy słyszy, że niemal kolejne 100 dni było dla aliantów piekielnie trudne.

Skala uderzenia na plaże Normandii nie miała chyba precedensu w dziejach?

Do czerwca 1944 r. żadna armia świata nie przeprowadziła tak ogromnego desantu. W ataku na Normandię, poza olbrzymią armadą morską przerzucającą żołnierzy przez kanał La Manche, brały też udział trzy dywizje spadochronowe. Te skomplikowane plany trzeba było zsynchronizować w ramach koalicji 14 narodów. Za każdym razem, gdy odwiedzam Normandię, uderza mnie, gdy moi

eprasa.pl 88698580d6



rozmówcy mówią o „brytyjskich", „amerykańskich" i „kanadyjskich" plażach. A przecież tam byli jeszcze przedstawiciele wielu innych narodów, m.in. Polacy. Co ciekawe, nigdzie w Normandii nie widziałem miejsca pamięci, gdzie wywieszono by wszystkie 14 flag. Co najwyżej widziałem 10 flag, ale wśród nich widać też flagę UE oraz… Niemiec (śmiech).

Amerykanie, Brytyjczycy i Kanadyjczycy to trzon sił uderzeniowych, które wylądowały w Normandii 6 czerwca. Ale przecież z biegiem czasu na brzegach północnej Francji wyładowywały się kolejne jednostki z innych państw. Polacy walczyli w najbardziej krwawych i kluczowych starciach w północnej Francji, m.in. pod wspomnianym już Falaise. W sumie w Normandii z morza i powietrza wylądowało 6 czerwca ponad 150 tys. żołnierzy.

Kilka godzin przed uderzeniem z morza ok. 24 tys. alianckich spadochroniarzy zostało zrzuconych za liniami wroga. Jakie wyznaczono im zadania?

Były to trzy dywizje, które miały pomieszać niemieckie szyki. Spadochroniarze zabezpieczyli kluczowe punkty w Normandii – mosty i skrzyżowania – które później pozwoliły wojskom zmechanizowanym wyjść z przyczółków. Ponadto opóźniali oni też kontratak Niemców, którzy chcieli zepchnąć aliantów z powrotem do morza. Spadochroniarze zrobili wtedy kawał dobrej roboty.

Ile okrętów brało udział w inwazji na Francję?

Pięć tysięcy jednostek – od pancerników aż do barek desantowych. Tych ostatnich, krótszych niż 50 stóp (ok. 15 metrów), było 15 tys.

Możemy sobie wyobrażać miny niemieckich żołnierzy pilnujących plaż…

Na pewno byli oniemiali. Gdy 60 lat temu ukazała się słynna książka „Najdłuższy dzień", wydawało się jeszcze, że Niemcy byli kompletnie zaskoczeni inwazją. Jednak od tego czasu wiemy już, że tak nie było. Niemcy przyglądali się przygotowaniom do ataku na Normandię. Były podejrzenia, że to tylko odwracanie uwagi i do właściwej inwazji dojdzie w rejonie Calais. Niemcy byli w stanie przyglądać się zbierającym się siłom inwazyjnym za pomocą stacji radarowych obserwujących powierzchnię morza. Niemcy zauważyli też armadę przewożącą 101. Dywizję Powietrznodesantową, gdy ta dopiero zbierała się nad Anglią. Nie wiedzieli tylko, czy to wielka kampania bombowa czy też akcja przerzutu spadochroniarzy wspierających inwazję z morza, której Niemcy się przecież spodziewali. Przeciw wersji o spadochroniarzach przemawiała jednak zła pogoda. Według Niemców takie warunki raczej wykluczały desant powietrzny.

Dlaczego inwazja na Normandię została przeprowadzona mimo takich warunków atmosferycznych?

Generał Dwight Eisenhower nie miał dobrego wyboru. D-Day początkowo miał być zaplanowany na 5 czerwca, ale z powodu złej pogody przełożono operację o 24 godziny. Alianckie dowództwo dawało sobie czas, by ewentualnie odwołać całą inwazję w oczekiwaniu na lepszą pogodę. Eisenhower zdawał sobie jednak sprawę z tego, że jeżeli doszłoby do tego, to wszyscy żołnierze, którzy czekali na okrętach, musieliby zostać wyładowani w portach południowej Anglii. A oni znali już szczegóły inwazji. To oznaczałoby z kolei, że plany z pewnością dotarłyby do Niemców. Eisenhower bał się, że w takim przypadku nie dałoby się powtórzyć desantu w tym kształcie.

Sporządzenie nowych planów zajęłoby kilka tygodni?

Myślę, że lato 1944 r. byłoby już stracone. Pamiętajmy, że planowanie D-Day trwało kilka miesięcy.

Dlaczego Niemcy nie rzucili na plaże wszystkiego, co mieli, by nie pozwolić aliantom wyładować swoich sił?

Przed momentem przeglądałem raporty dowództwa 17. Dywizji Grenadierów Pancernych SS. Myślę, że jest w nich odpowiedź na pańskie pytanie. Według dawnych wyobrażeń o lądowaniu w Normandii Niemcy wahali się i wstrzymywali swoje siły przez pierwsze kilka dni, nie będąc pewnymi, czy to właściwe uderzenie. Prawda jest inna. Niemcy od razu zareagowali i rzucili na Normandię wszystko, co mieli. Wahania trwały najwyżej kilka godzin.

Ale przecież Hitler ponoć smacznie spał, gdy alianci uderzyli na północną Francję.

Spał, ponieważ jego współpracownicy bali się go obudzić. To oczywiście bzdura. Hitler został obudzony i poinformowany o początku inwazji, ale niewiele mógł wtedy zrobić. Powiedział feldmarszałkowi Wilhelmowi Keitelowi, że trzeba poczekać na to, co przyniesie poranek. Gdy rano Hitler spotkał się z dowództwem sił zbrojnych, zaczął wysyłać jednostki ku Normandii, np. wspomnianą już 17. dywizję SS. Ta jednostka znajdowała się ok. 300 km od Normandii. Bezzwłocznie wyruszyła ona na północ i już nocą z 8 na 9 czerwca weszła do strefy walk. Również 2. i 12. Dywizja Pancerna SS pojawiły się szybko w Normandii.

Dlaczego te jednostki nie stacjonowały bliżej plaż, gdzie Niemcy mogli się spodziewać uderzenia?

Jeżeli spojrzymy na długość linii brzegowej Francji, to trzymanie ich w głębi Francji miało sens. Część jednostek była blisko plaż, jednak inne, szczególnie te mobilne, stacjonowały głębiej, blisko węzłów komunikacyjnych, by osłaniać też inne zagrożone rejony wybrzeża. Ten system zadziałał świetnie w przypadku Normandii.

Jak to świetnie? Przecież alianci nie zostali zepchnięci do morza.

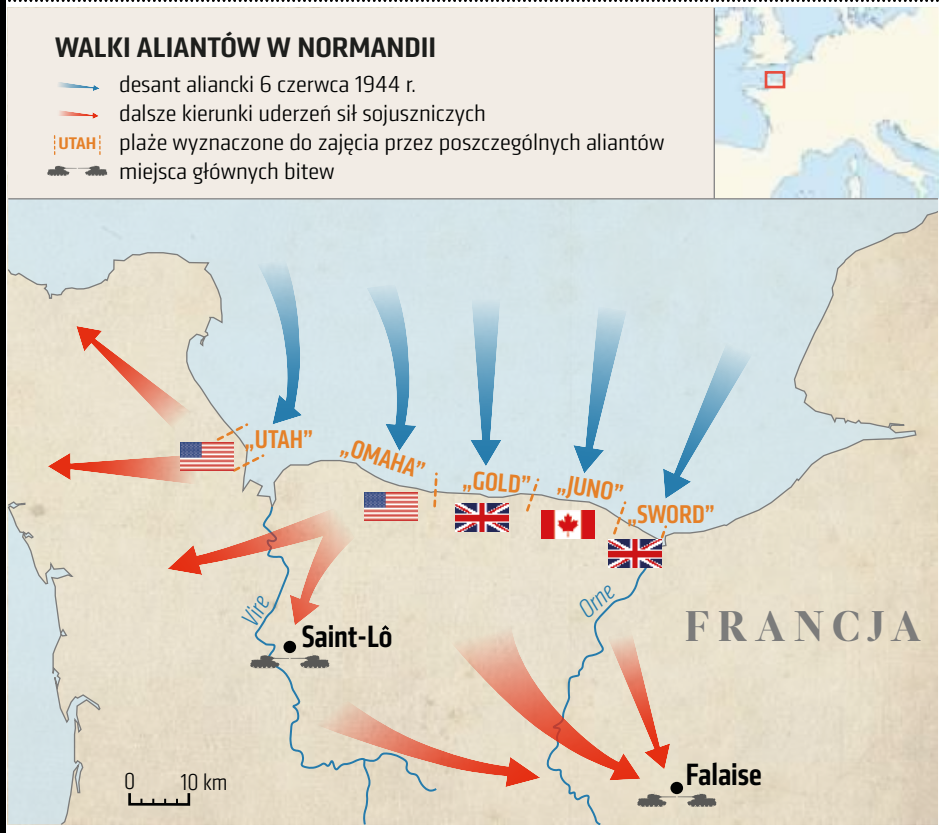
A jednak przez kolejne tygodnie Niemcy łoili nam skórę w Normandii. Przede wszystkim wspomniane dywizje SS. Pańscy rodacy zmagali się z naprawdę paskudnymi jednostkami w worku pod Falaise. A tych jednostek nie było przecież w tamtym rejonie, gdy rozpoczęła się inwazja.

Niemcy nigdy nie mogliby nas prześcignąć w produkcji przemysłowej i potencjale mobilizacyjnym, ale jednak robili doskonałą robotę w zgotowaniu nam piekła. Mieli naprawdę dobrze opracowany system przerzutu jednostek rezerwowych.

Jak dobrze Niemcy przygotowali plaże?

Ludzie wciąż zdają się wierzyć niemieckiej propagandzie, jakoby Normandia była doskonale przygotowana. Niemal każdy film dokumentalny na temat D-Day pokazuje potężne umocnienia

eprasa.pl 88698580d6



RYS. MARZENA WŁODZYK

nadbrzeżne. Sęk w tym, że te ujęcia zazwyczaj pochodzą z rejonu Calais, gdzie Niemcy faktycznie mieli ogromne baterie artylerii nadbrzeżnej i inne fortyfikacje. Tymczasem Normandia była w znacznej mierze niegotowa na odpieranie ataku z morza. Niemcy w pośpiechu starali się przygotować ten rejon na dużą inwazję, podejrzewając, że alianci mogą jednak właśnie tam wylądować.

Czyli wiadomo już, dlaczego do lądowania doszło właśnie w Normandii.

Amerykanie zrobili 30 czerwca 1943 r. zdjęcia lotnicze plaży nazwanej „Omaha". Na fotografiach widać, że punkty ogniowe, które spowodowały 6 czerwca 1944 r. dużą część strat amerykańskich, dopiero były wtedy budowane. Niemcy zrozumieli po lądowaniach w Afryce Północnej, że alianci są w stanie dokonywać inwazji również poza portami dzięki użyciu tzw. LST – okrętów desantowych, które mogły przewozić nie tylko żołnierzy, lecz także pojazdy. Okazało się, że również plaże są zagrożone, co bardzo utrudniało Niemcom przygotowania do obrony.

Gdyby D-Day miał zostać przeprowadzony właśnie w okolicach Calais, doszłoby zapewne do masakry lądujących sił?

Trudno sobie wyobrazić, żeby alianci mogli tam odnieść sukces. I bez potężnych baterii w Normandii Niemcy mocno przetrzepali nam skórę.

Tylko 6 czerwca 1944 r. alianci stracili 4,4 tys. żołnierzy...

W USA podkreślamy, że tylko my tamtego dnia straciliśmy 3393 ludzi. To był najbardziej zabójczy dzień dla Amerykanów w trakcie drugiej wojny światowej. Najgorzej było na plaży „Omaha". To była prawdziwa katastrofa.

Dlaczego?

V Korpus US Army miał w pierwszej fali inwazyjnej, o godz. 6.30, wyładować na plaży 9. kompanii piechoty, czyli ok. 2 tys. ludzi. Siły te miały obezwładnić Niemców i zabezpieczyć lądowanie kolejnych fal inwazyjnych. Dla porównania: na „Omaha" Niemcy mieli 12 umocnionych punktów ogniowych i 1,600–1750 żołnierzy.

Niestety, pierwsza fala utknęła i nie była w stanie wykonać swojej misji zgodnie z planami. Głównym powodem była początkowa mała skuteczność ognia okrętów zabezpieczających desant. Drugim problemem było bardzo szczupłe wsparcie ze strony czołgów – tylko niewielka ich część dotarła do brzegu.

Niespokojne morze zrobiło swoje?

Tak. Czołgi typu DD [pływające, przezywane też „Donald Duck" – przyp. red.] świetnie sprawdzały się na spokojnym morzu, ale miały problemy, gdy fale były większe. A jak już wiemy, 6 czerwca pogoda była naprawdę kiepska. Eisenhower rozumiał, że to będzie problem dla czołgów, ale nie było dobrego rozwiązania. Pierwsza fala, bez odpowiedniego wsparcia czołgów, była bardzo narażona na niemiecki ogień. Prawdziwym zabójcą Amerykanów na plaży „Omaha" były moździerze 88 mm. Możemy szacować, że ich pociski zabiły trzy czwarte Amerykanów poległych na „Omaha". Na tej plaży Niemcy mieli 12 umocnionych punktów. Czołgi miały się nimi zająć, ale skoro tej osłony nie było, to niemieckie karabiny maszynowe i moździerze siały spustoszenie wśród lądujących oddziałów.

Na „Omaha" najgorzej było w sektorze Dog Green, gdzie kompania A ze 116. pułku 29. Dywizji Piechoty wylądowała bez żadnego wsparcia ze strony czołgów. Mówimy o 164 żołnierzach, wliczając w to oficerów. W ciągu pięciu (!!!) minut kompania A straciła 65 zabitych i 91 rannych. Przypomnę – była to jedna z dziewięciu kompanii piechoty, które uderzyły na „Omaha" w pierwszej fali...

Dlaczego straty na pozostałych plażach nie były aż tak tragiczne?

Skupmy się na drugiej z „amerykańskich" plaż, czyli „Utah". Po pierwsze, VII Korpus US Army wylądował 1,5 km dalej na południe, niż powinien – został zepchnięty przez fale. W miejscu lądowania niemieckie pozycje okazały się stosunkowo słabe, więc żołnierze mieli dużo szczęścia. Dodatkowo ogień artylerii okrętowej bardzo dobrze naruszył niemieckie umocnienia. Tak było pierwszego dnia, ale jednak w kolejnych dniach ci żołnierze spotkali się w głębi lądu z potężnym niemieckim oporem.

Nieco podobnie wyglądała sprawa z lądowaniem sił brytyjskich – poszło ono lepiej niż planowano, ale potem dywizje SS potężnie naciskały na sektory brytyjski i kanadyjski. Nawiasem mówiąc, Kanadyjczycy też mieli bardzo ciężką przeprawę w D-Day.

eprasa.pl 88698580d6

To, że ktoś wylądował na plaży w miarę bezproblemowo, nie oznaczało jeszcze, że potem będzie miał łatwo. Spójrzmy na Polaków – w Normandii wylądowali bezpiecznie, a potem trafili do najgorszego piekła pod Falaise...

Dlaczego okręty wojenne nie starły w proch niemieckich pozycji przy plażach?

To ciekawe zagadnienie. Okręty miały przeprowadzić wstępny ostrzał od godz. 5.45 do 6.30, gdy pierwsze barki desantowe miały dotrzeć do brzegu. Ten ogień miał jednak swoje ograniczenia – pierwsze salwy wzniosły w powietrze takie tumany kurzu, że celowniczy nie widzieli już swoich celów. Ostrzał był więc masowy, ale prowadzony nieco na oślep.

Po wyładowaniu się pierwszej fali działa okrętowe miały niszczyć konkretne cele wskazywane przez żołnierzy na brzegu. Przeznaczono do tego specjalne drużyny, które miały na bieżąco korygować ogień artylerii okrętów.

Ten system zadziałał świetnie na plaży „Utah". Działa alianckich okrętów dokonywały chirurgicznych uderzeń w oparciu o przesyłane współrzędne, które roznosiły w proch niemieckie umocnienia.

Częścią problemu żołnierzy z „Omaha" było to, że podczas wyładowywania się z jednostek desantowych woda miała im sięgać do pasa, a w rzeczywistości sięgała im do szyi. Rezultatem było to, że ich radiostacje zostały zniszczone przez wodę morską.

Amerykanie walczący o przetrwanie na „Omaha" nie mieli żadnego wsparcia ze strony okrętów?

Po godz. 6.30 żadne pociski nie były wystrzeliwane z morza. Okręty z potężnymi działami czekały na sygnał od żołnierzy z „Omaha". Minął umówiony kwadrans, gdy działa miały milczeć, by żołnierze mogli się spokojnie wyładować, a jednak nie nadchodziły żadne wiadomości z plaż... Czas upływał i nic – minęły pierwsza godzina, druga, trzecia i wciąż panowała kompletna cisza!

W tym krytycznym momencie kilka niszczycieli pod dowództwem Harry'ego Sandersa podpłynęło ekstremalnie blisko brzegu, by – skoro nie docierają do nich żadne koordynaty – samemu widzieć cele. Sanders dowodził osobiście USS Frankford. Według relacji części żołnierzy przygwożdżonych na plaży, gdy okręt płynął w ich kierunku, niektórzy z nich myśleli, że jednostka została poważnie uszkodzona i załoga zamierzała ratować się, osadzając go na brzegu. Gdy jednak USS Frankford był zaledwie ok. kilometra od plaży, niszczyciel ustawił się burtą i odpalił salwę na widoczne niemieckie pozycje. Inne niszczyciele zrobiły to samo. To wsparcie było kluczowe dla bitwy o plażę „Omaha", ponieważ do tego momentu alianci przegrywali ją. Marynarze ponosili ogromne ryzyko – przecież te wody nie zostały sprawdzone pod kątem min! Dodatkowo niszczyciele znalazły się w zasięgu niemieckich dział. Dlatego to, co zrobiły załogi tych okrętów, było prawdziwym bohaterstwem. Niemieckie pozycje zaczęły wylatywać w powietrze i chłopaki z „Omaha" mogli odetchnąć z ulgą.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

REKLAMA



eprasa.pl 88698580d6



XX w. / Ciągniki siodłowe

Tiry zamiast torów

FOT. ADOBE STOCK, NADIA AI



Tymoteusz Pawłowski

W XIX w. przemysł rozwijał się tam, gdzie docierała kolej. Nad Wisłą rosyjski zaborca niechętnie budował linie kolejowe, co było kolejną barierą stawianą przez Moskali rozwojowi polskiego przemysłu. Sytuacja zmieniła się w ostatniej ćwierci XX w., gdy ciągniki siodłowe zaczęły zastępować kolej

Pierwszy samobieżny ciągnik drogowy zbudował Nicolas-Joseph Cugnot w 1769 r. Pojazdy takie – napędzane silnikami parowymi – budowano w kolejnych latach, choć dużo popularniejsze były ich wersje jeżdżące po szynach, zwane lokomotywami. W drugiej połowie XIX w. popularność zyskał natomiast napęd elektryczny – w tym przypadku samochodów elektrycznych było dużo więcej niż elektrycznych lokomotyw i tramwajów.

Na przełomie wieków XIX i XX dominowały pociągi, ale samochody były już dość popularne, szczególnie w miastach. Przewozy towarowe wykonywano głównie automobilami z napędem parowym, przewozy pasażerskie zaś – samochodami z napędem elektrycznym. Silniki spalinowe wykorzystywano głównie w nielicznych autach, które wyjeżdżały na wieś, gdzie dostęp do elektryczności – a także węgla i pary – był trudny. Samochody jednak z rzadka opuszczały miasta, ponieważ poza nimi nie było odpowiednich dróg.

Sytuację zmieniły rok 1914 i wybuch wielkiej wojny. Wówczas samochody musiały wyjechać z miast na pola bitew. Jako że lepiej nadawały się do tego pojazdy z silnikami spalinowymi, to je właśnie produkowano, a automobile elektryczne i parowe stawały się coraz rzadsze. Poza tym zbudowano gęstą sieć dróg samochodowych, najpierw w okolicach frontu, a gdy wojna się skończyła – także w innych miejscach (po wojnie łatwo dostępne były sprzęt budowlany i wykwalifikowana kadra). Wpływ kolejnej wojny światowej na rozwój automobilizmu był podobny, a być może nawet większy, ponieważ większość europejskich lokomotyw została zniszczona. I jak w takiej sytuacji przewozić towary?

Siodło i naczepa

Odpowiedź wydaje się oczywista – ciężarówkami. Nie było to jednak takie proste – zarówno ze względu na nierozwiązane problemy techniczne oraz infrastrukturalne, jak i ze względu na zwyczaje i podatki. Część problemów technicznych jest dziś zrozumiała: silniki miały zbyt małą moc, zawieszenie zbyt małą wytrzymałość, podobnie ramy, na których opierały się skrzynie ładunkowe. Wiele ówczesnych problemów technicznych jest dziś trudnych do zrozumienia, chociażby to, że rozwój transportu drogowego zależy przede wszystkim od odpowiednich opon, które muszą cechować się olbrzymią wytrzymałością.

Problemy techniczne rozwiązywano stopniowo. Przed drugą wojną światową standardem były samochody ciężarowe o nośności ok. 3 t. Po niej popularność zdobyły ciężarówki zdolne do przewiezienia kilkunastu ton. Można było do nich również dodać przyczepę, ale rozwiąza-

eprasa.pl 88698580d6



Ciągnik siodłowy
FOT. COMMONS WIKIMEDIA

nie takie sprawiało dużo kłopotu w ciasnych europejskich miastach. Problemem wciąż pozostawało przewożenie jednolitych, ciężkich ładunków: maszyn, elementów budynków czy pni drzew, których nie można było podzielić tak, aby jedna część jechała na skrzyni ładunkowej, a druga na przyczepie.

Rozwiązanie znalazł – jeszcze w 1898 r. – Amerykanin Alexander Winton. Pozbawił on samochód ciężarowy skrzyni ładunkowej, montując na jej miejscu zaczep do holowania długich przyczep pozbawionych przedniej osi. Hak przyjął po latach prób kształt siodła, na którym spoczywała część ciężaru przyczepy. Stąd też polskie nazwy tego rozwiązania: ciągnik siodłowy oraz naczepa.

Pomysł ten zaczął zdobywać popularność po drugiej wojnie światowej. Nie tylko pozwalał na przewożenie dużych i ciężkich ładunków, lecz także umożliwiał dostęp do oddalonych miasteczek oraz zwiększał elastyczność biznesową. Samochody ze skrzynią ładunkową są wyspecjalizowane: jedne przewożą meble, inne piach. Kupując samochód, trzeba się zdecydować, co będziemy wozić. Trudno bowiem ciężarówką do przewozu mebli wozić piach, chyba że mamy ciągnik siodłowy, którym można holować dowolną naczepę – czy to z meblami, czy z piachem.

Rozwiązanie problemów technicznych to tylko początek drogi do sukcesu. Kolejnym jest przekonanie przedsiębiorców, żeby zdecydowali się na transport swoich towarów ciężarówkami, a nie pociągami czy barkami rzecznymi. Skoro zaś dokonano i tego, to pojawiał się kolejny problem do rozwiązania: wyznaczenie odpowiedniej trasy. Z Katowic do Szczecina jest ok. 500 km, więc trzeba mieć pewność, że cała trasa będzie przejezdna, mosty będą miały odpowiednią nośność, tunele odpowiednią wielkość, a łuki będą łagodne. Trzeba zunifikować infrastrukturę drogową w całym kraju, a jeszcze lepiej: na całym kontynencie. Zajmowano się tym w drugiej połowie XX w.

Dalekodystansowy transport samochodowy rozwijał się najszybciej w Stanach Zjednoczonych, gdzie ogromne przestrzenie były jednym obszarem celnym, a kraj został połączony siecią autostrad międzystanowych. Wokół „osiemnastokołowców" – tyle kół ma zwykle amerykański ciągnik wraz z naczepą – wyrosła cała kultura wraz z muzyką, filmami, serialami. Duże znaczenie ma również dalekodystansowy transport samochodowy w Australii, gdzie linii kolejowych jest jak na lekarstwo.

Tiry na tory?

W Europie rozwój dalekodystansowego transportu samochodowego nastąpił po 1975 r., gdy podpisano Konwencję TIR (Transport International Routier – Międzynarodowy Transport Drogowy). Od tej pory samochody oznaczone niebieską tablicą TIR mogą przekraczać granice bez zatrzymywania się na kontrolę celną. Przewozy międzynarodowe stały się codziennością, co przyniosło zauważalną zmianę konstrukcyjną: szoferki się powiększyły, ponieważ były już nie tylko miejscem pracy, lecz także odpoczynku i snu.

W Europie są inne zwyczaje niż w Ameryce, inne też są ciągniki i nieco inne naczepy. Te ostatnie są z reguły cięższe i solidniejsze niż amerykańskie, a zamiast czterech podwójnych kół mają sześć pojedynczych. Inne są również ciągniki, co wynika zarówno z uwarunkowań technicznych, specyfiki pokonywanych tras, jak i ograniczeń administracyjnych. Większość europejskich zestawów ma 12 kół.



Ciągnik siodłowy Chevrolet 157 TB należący do Poczty Polskiej (1936–1939) FOT. NAC

Najlepszym rozwiązaniem technicznym jest umieszczenie silnika ciągnika przed kabiną. Dostęp do mechanizmów jest wówczas łatwy, a szoferka jest przestronna. Jeśli jednak przepisy ograniczają dopuszczalną długość zestawu, wówczas silnik montuje się pod kabiną, oszczędzając dwa metry długości, o które można powiększyć przestrzeń ładunkową. Szoferka jest wówczas ciaśniejsza – bo w niej lub pod nią znajduje się silnik – trudniejszy jest również dostęp do mechanizmów.

Długość zestawów ogranicza się z różnych powodów, chociażby dlatego, żeby w pogoni za zyskiem nie tworzono niebezpiecznych „pociągów drogowych". Pewien wpływ na ograniczenia ma również lobby kolejowe, które chce, aby towary były przewożone pociągami: warto pamiętać, że sieci kolejowe w Europie są państwowe, a przewoźnicy samochodowi to prywatny biznes. Istotne są również ograniczenia infrastrukturalne – nośność dróg, mostów, ciasnota ulic – oraz bezpieczeństwo: im większy zestaw, tym trudniej się nim manewruje. Ograniczenia administracyjne się zmieniają, na innych kontynentach są z reguły łagodniejsze niż w Europie. W Australii restrykcji prawie nie ma i tam mogą jeździć wielonaczepowe pociągi drogowe, natomiast w Ameryce ograniczenia są łagodne, stąd i ciężarówki są długie, potężne, z kabiną przed silnikiem. Takie pojazdy w Europie zauważyć można bardzo rzadko.

W Polsce – i w większości państw Unii Europejskiej – zestaw ciągnika siodłowego z naczepą nie może być dłuższy niż 16,5 metra, a dopuszczalna masa całkowita wynosi 40 ton. Zestawy dwuczłonowe mogą mieć większą masę i długość do 22 metrów. W ostatnich latach dyskutuje się o rozluźnieniu tych przepisów, dłuższe zestawy mają być bardziej ekonomiczne i ekologiczne. Być może zwiększona zostanie również prędkość maksymalna zestawów (w Europie ograniczona do 80 km/h), co oznaczałoby krótszą podróż, a co za tym idzie – mniejszy ślad węglowy.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 88698580d6



Atak powstańców na Esplanadę FOT. EUGENIUSZ LOKAJSKI/MPW

Sierpień '44 / Największa tragedia Polski

Nigdy więcej powstań



Piotr Zychowicz

Trudno dyskutować o sensie zrywu z 1944 r., gdy jedna strona wysuwa racjonalne argumenty, a druga sięga po obelgi i moralny szantaż

Dyskusja o sensie Powstania Warszawskiego trwa już od 80 lat. Zaczęła się jeszcze przed jego wybuchem – gdy oficerowie Komendy Głównej AK spierali się, czy „bić się czy nie bić" z Niemcami – trwa obecnie i trwać będzie dopóty, dopóki istnieć będzie naród polski. A może jeszcze dłużej.

Trudno, żeby było inaczej. Powstanie Warszawskie było bowiem największą katastrofą w dziejach naszego państwa i narodu. W jego wyniku straciliśmy stolicę, z tysiącami zabytków, kościołów i bezcennych dzieł sztuki. Eksterminowane zostały dziesiątki tysięcy cywilnych mieszkańców miasta. W nierównej walce z niemiecką armią życie straciła najwspanialsza polska młodzież skupiona w szeregach AK.

Oprócz tragicznych skutków ludzkich i materialnych Powstanie Warszawskie miało również opłakany wymiar polityczny – zniszczenie Armii Krajowej i Polskiego Państwa Podziemnego. Potworne osłabienie narodu polskiego w obliczu nowej okupacji skutkowało znacznie łatwiejszym podbojem Polski przez bolszewików i znacznie łatwiejszą sowietyzacją.

Pytanie o celowość

Rozmiary klęski, którą było Powstanie Warszawskie, były iście apokaliptyczne i odczuwamy je do dzisiaj. Będą je odczuwać również pokolenia naszych dzieci i wnuków. Co gorsza, taki, a nie inny wynik bitwy był z góry do przewidzenia. AK w Warszawie dysponowała śmiesznie szczupłymi siłami. A liczenie na pomoc Armii Czerwonej, która nadciągała ze wschodu, było aktem bezbrzeżnej naiwności politycznej.

Dlatego też od samego początku racjonalnie nastawieni polscy patrioci potępiali decyzję grupy oficerów Armii Krajowej, którzy wydali Niemcom bitwę na ulicach milionowego miasta. Jako przykład można podać choćby gen. Władysława Andersa. Oto kilka wypowiedzi legendarnego polskiego dowódcy:

„Żołnierze nie rozumieją celowości powstania w Warszawie. Nikt nie miał u nas złudzeń, żeby bolszewicy pomimo ciągłych zapowiedzi pomogli stolicy. W warunkach tych stolica, pomimo bezprzykładnych w historii bohaterstw, z góry jest skazana na zagładę. Wywołanie powstania uważamy za ciężką zbrodnię i pytamy się, kto ponosi za to odpowiedzialność".

„Wywołanie powstania w Warszawie w obecnej chwili było nie tylko głupotą, ale wyraźną zbrodnią".

eprasa.pl 88698580d6



Krakowskie Przedmieście, kamienice naprzeciwko kościoła św. Krzyża

FOT. BIBLIOTEKA NARODOWA

„Jestem na kolanach przed walczącą Warszawą, jednak sam fakt powstania w Warszawie uważam za zbrodnię. Dziś oczywiście nie jest jeszcze czas na wyjaśnienie tej sprawy, ale generał Komorowski i szereg innych osób stanie na pewno przed sądem za tak straszliwie lekkomyślne i niepotrzebne ofiary".

Przeciwnicy decyzji o wywołaniu Powstania Warszawskiego wysuwają żelazne argumenty. Liczą każdy granat i każdy pistolet, aby ukazać kolosalną dysproporcję sił między warszawskimi oddziałami AK a niemieckim garnizonem wojskowo-policyjnym. Przypominają, że powstańcy mieli butelki z benzyną, a Niemcy czołgi, działa i samoloty.

Przeciwnicy decyzji o wywołaniu Powstania Warszawskiego dokonują szczegółowej analizy sytuacji politycznej z sierpnia 1944 r. Udowadniają, że po sromotnej klęsce akcji „Burza" i utworzeniu PKWN – czyli kolaboracyjnego „rządu" – myśl o tym, że uda się osiągnąć kompromis z triumfującym Stalinem, była szaleństwem.

W świetle tych faktów nie ma najmniejszej wątpliwości, że decyzja o wywołaniu Powstania Warszawskiego była błędna. Każda decyzja, która prowadzi do klęski, jest bowiem błędna z definicji. Każda akcja polityczna i wojskowa ma zaś swoje określone cele. W przypadku Powstania Warszawskiego – jeszcze w trakcie jego trwania – tak cele te przedstawiał delegat Jan Stanisław Jankowski:

„Szereg przyczyn spowodował naszą walkę powstańczą. Chcieliśmy odeprzeć z bronią w ręku przygotowany przez Niemców ostatni zamach na żywe siły Polski w chwili opuszczania kraju, chcieliśmy przeszkodzić zapowiadanej zemście na buntowniczej Warszawie. Chcieliśmy światu okazać, że dążąc do istotnej niepodległości, nie chcemy już otrzymać wolności od nikogo w podarunku, aby wraz z podarunkiem nie były dyktowane warunki sprzeczne z interesami, tradycjami i godnością narodu. Wreszcie chcieliśmy uwolnić Polskę od gniotącej zmory kaźni Gestapo i mordowni więziennych. Chcieliśmy być wolni i wolność sobie zawdzięczać".

Spośród tych celów nie udało się zrealizować ani jednego. Armia Krajowa nie tylko nie przeszkodziła zemście na buntowniczej Warszawie, lecz także tę zemstę sprowokowała. Stolica Polski, a właściwie to, co z niej zostało, została „wyzwolona" przez Armię Czerwoną, a „warunki sprzeczne z interesami, tradycjami i godnością narodu" i tak zostały Polsce narzucone.

Klęska absolutna

Ludzie, którzy wywołali powstanie i walczyli w nim, po jego zakończeniu nie byli zaś wcale wolni. Byli martwi albo zostali zniewoleni przez nowego okupanta. Była to więc klęska absolutna, całkowita.

Mimo to zastępy historyków, polityków i publicystów od lat dokonują wręcz niebywałych wygibasów intelektualnych, aby zdjąć z dowódców AK odpowiedzialność za sierpniową hekatombę rodaków i zburzenie stolicy. Bronią sprawy, której obronić się nie da.

Uczestniczyłem w niezliczonej liczbie dyskusji z naszymi brązownikami i niestety nigdy nie usłyszałem od nich choćby jednego racjonalnego argumentu. Z reguły spotykałem się z krzykami i obelgami. Na porządku dziennym był szantaż moralny: kto krytykuje decyzję o wywołaniu Powstania Warszawskiego, ten pluje na powstańców.

Takie postawienie sprawy jest oczywiście podłością. Czytelnikom „Historii Do Rzeczy" – jako ludziom inteligentnym – nie muszę tłumaczyć dlaczego. Podobnie nie muszę tłumaczyć, dlaczego niedorzecznością są kluczowe „argumenty" wysuwane przez apologetów decyzji o rozpoczęciu zrywu.

Na czele ze standardowym już obrażaniem żołnierzy AK poprzez sugerowanie, że gdyby nie rozkaz, zbuntowaliby się przeciwko swoim dowódcom i sami zaatakowali Niemców. Albo twierdzenie, że Powstanie Warszawskie było zwycięstwem z opóźnionym zapłonem. Bo gdyby nie ofiara złożona w 1944 r... Polska nie odzyskałaby niepodległości w roku 1989. Jeszcze bardziej rozbrajające jest określanie powstania „zwycięstwem moralnym".

Przepraszam, że przytaczam te kuriozalne tezy. Nie chodzi mi o to, żeby obrazić inteligencję czytelników. Chodzi o to, aby unaocznić państwu, jak trudna jest dyskusja na temat sensu powstania, gdy z jednej strony są twarde fakty, a z drugiej emocje. Z jednej strony logika, z drugiej fantazje.

Oczywiście nie oznacza to, że ta dyskusja nie ma sensu. Wprost przeciwnie – ma! I to wielki. Wystarczy spojrzeć na zmiany, które zaszły podczas ostatniej dekady. Kiedy w 2013 r. wydałem książkę „Obłęd '44", wśród młodych Polaków można było jeszcze znaleźć zwolenników decyzji powstańczej. Dziś jest to niemal niemożliwe.

Młodzi Polacy są ludźmi myślącymi w sposób racjonalny. Rozumieją, że w dyskusji rację ma nie ten, kto się głośniej wydziera i wygraża pięściami pod nosem swojego adwersarza. Ale ten, kto ma mocniejsze argumenty. Przyszłość należy więc do twardo stąpających po ziemi realistów. A nie do bujających w chmurach mesjanistów i romantyków.

To świetna prognoza dla Polski. Bo romantycy i mesjaniści zawsze ściągali na naszą ojczyznę straszliwe nieszczęścia. Cały sens debaty o Powstaniu Warszawskim sprowadza się zaś do jednego hasła: taka katastrofa już nigdy nie może się w naszej historii powtórzyć.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 88698580d6

Rysują / Krzysztof Wyrzykowski i Maciej Jasiński



eprasa.pl 88698580d6

HISTORIA DO RZECZY

CZYTAJ CO MIESIĄC W LEPSZEJ CENIE

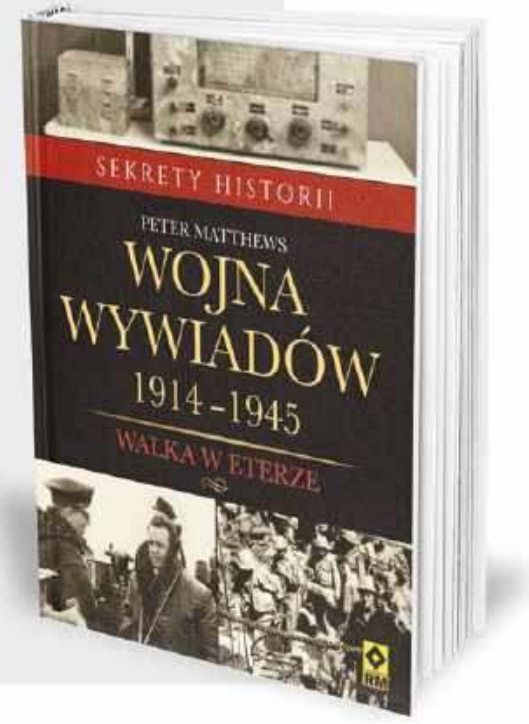
ZAMÓW PRENUMERATĘ

PRENUMERATA ROCZNA MIESIĘCZNIKA „HISTORIA DO RZECZY"
+ W PREZENCIE KSIĄŻKA PETER MATTHEWS: „WOJNA WYWIADÓW 1914-1945"

Wojna wywiadów 1914-1945. Walka w eterze

Podczas pierwszej wojny światowej szybko rozwijająca się łączność radiowa objęła swym zasięgiem całą kulę ziemską. Równocześnie pojawiła się nowa dziedzina wywiadu wojskowego, zajmująca się szyfrowaniem, odszyfrowywaniem oraz analizowaniem tysięcy radiowych telegramów i meldunków. Radiooperatorzy i kryptolodzy ze sławnego ośrodka wywiadowczego brytyjskiej Admiralicji, znanego jako Room 40, położyli podwaliny pod osiągnięcia kryptoanalityków z Bletchley Park z lat drugiej wojny światowej. Podczas tej wojny zmagania wywiadów sygnałowych, znanych też pod angielską nazwą Sigint (od signals intelligence), wiązały się z wykorzystaniem różnych maszyn szyfrujących, a agenci i kryptolodzy z Wielkiej Brytanii, Francji, Niemiec, Związku Radzieckiego, Stanów Zjednoczonych i Japonii starali się wzajemnie przechytrzyć, stosując coraz bardziej złożone kody. Swój udział w złamaniu kodu słynnej niemieckiej Enigmy mieli też Polacy.

Ta książka odkrywa tajemnice historii wywiadu sygnałowego podczas obu wojen światowych. Dopuszcza do głosu bezpośrednich uczestników zdarzeń: niemieckich kryptologów pracujących po wojnie dla aliantów, brytyjskich specjalistów od łamania szyfrów, a także amerykańskich i rosyjskich kryptoanalityków.



152 zł

oszczędność 33 zł

JAK ZAMAWIAĆ PRENUMERATĘ:
WPŁATA NA KONTO:
UWAGA NOWY NUMER
33 1600 1462 1816 5874 1000 0006
ORLE PIÓRO S.A.,
Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa

JEŻELI MASZ JUŻ PRENUMERATĘ:
Skorzystaj także z tej oferty, przedłużymy Ci obecnie trwającą prenumeratę, a prezent wyślemy kurierem.

WIĘCEJ INFORMACJI E-MAIL: **prenumerata@pmpg.pl** TELEFON: **508 040 664, 539 953 631 (pon-pt 10.00-16.00)** INTERNET: **subskrypcja.dorzeczy.pl**

eprasa.pl 88698580d6

HISTORIA DO RZECZY

CZYTAJ CO MIESIĄC W LEPSZEJ CENIE

ZAMÓW PRENUMERATĘ

PRENUMERATA ROCZNA MIESIĘCZNIKA „HISTORIA DO RZECZY"

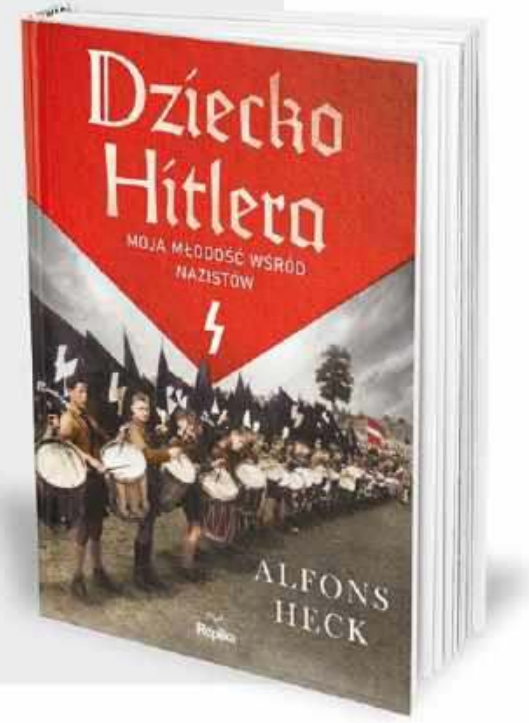
+ W PREZENCIE KSIĄŻKA ALFONS HECK: „DZIECKO HITLERA. MOJA MŁODOŚĆ WŚRÓD NAZISTÓW"

Dziecko Hitlera. Moja młodość wśród nazistów

Hitlerjugend – młodzi, ufni, wierni... Narodowy socjalizm miał być dla nich rajem. Okazało się, że zstępują do piekła.

Alfons Heck miał dziesięć lat, gdy wyruszył na norymberski Reichsparteitag – doroczny uroczysty wiec narodowych socjalistów przypominający ogromną mszę ku czci Führera. Jako członek Jungvolku, młodszej sekcji Hitlerjugend, wraz z tysiącami zafascynowanych młodych ludzi słuchał przemowy swego najwyższego przywódcy, boga nowego ładu świata, Adolfa Hitlera: "Wy, moja młodzieży" – krzyczał i wydawało mi się, że wbija oczy prosto we mnie – "jesteście dla narodu najcenniejszą gwarancją wspaniałej przyszłości". (...) Nie mieliśmy żadnych szans. Od tej chwili byłem duszą i ciałem oddany Adolfowi Hitlerowi.

Uderzająco szczera relacja chłopca, którego pochłonęły idee narodowego socjalizmu. Maszerując razem z nim w szeregach Hitlerjugend, poznajemy ukrytą stronę nazizmu, o której niewiele się pisze. Bardzo nieliczni, zapaleni niegdyś członkowie organizacji młodych nazistów, publicznie opowiadali o tamtych latach i swojej fascynacji hitleryzmem. Niniejsza książka pokazuje, jak wyglądało ich życie w tamtych czasach; kim byli, w co wierzyli i dlaczego dokonywali takich a nie innych wyborów.



154 zł

oszczędność 46 zł

JAK ZAMAWIAĆ PRENUMERATĘ:
WPŁATA NA KONTO:
UWAGA NOWY NUMER
33 1600 1462 1816 5874 1000 0006
ORLE PIÓRO S.A.,
Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa

JEŻELI MASZ JUŻ PRENUMERATĘ:
Skorzystaj także z tej oferty, przedłużymy Ci obecnie trwającą prenumeratę, a prezent wyślemy kurierem.

WIĘCEJ INFORMACJI E-MAIL: **prenumerata@pmpg.pl** TELEFON: **508 040 664, 539 953 631 (pon-pt 10.00-16.00)** INTERNET: **subskrypcja.dorzeczy.pl**

eprasa.pl 88698580d6